

Nie ma ciemności

Haldeman Joe i Jack



calibre 0.9.43

Nie ma ciemności

(Tłumaczył : Jan Andrzej Nikisch)

Mamie i Tacie

MALVOLIO: ...powiadam ci, ten dom jest ciemny.

CLOWN: Szaleńcze, mylisz się. Mówię ci, nie ma ciemności, lecz tylko ignorancja...

Dwunasta noc

NIKT NAM NIE OBIECYWAŁ, ŻE NA HELL BĘDZIE ŁATWO

Do czasu skolonizowania Springworld była to najbardziej nieprzyjemna planeta

Confederation. Teraz wydaje mi się to co najmniej wątpliwe. Tę rywalizację wygrałoby jednak Hell.

Hell posiada jeden znaczący przemysł, czyli szkolenie ludzi w przemocy poprzez

poddawanie ich przemocy. Prawie wszystko co się na tej przeklętej planecie porusza jest

zabójcze, włączając w to jej mieszkańców. Może właśnie oni szczególnie. Planety, które myślą

poważnie o wojnie, wysyłają tam swoich przyszłych dowódców, aby ćwiczyli się w wojennym

rzemiośle. I albo uczą się tego, albo giną. Nas zapisano na kurs ł a g o d n y. Powiedziano nam,

że najprawdopodobniej nie zginiemy.

PROLOG

Był taki okres, gdy dominującym językiem na starej Ziemi był angielski - zawiły język pokrewny hiszpańskiemu, nieznacznie tylko podobny do pan-swahili.

W większości światów Confederation angielski jest przedmiotem zainteresowania jedynie naukowców.

Jednakże jest ciągle kilka miejsc, w których traktowany jest jako język ojczysty: na jednej wyspie i w części kontynentu na Ziemi oraz na rzadko zaludnionej planecie Springworld.

Przyznać się do nieznajomości Springworld nie jest niczym szczególnie godnym potępienia, jako że ta młoda planeta nie posiada prawie nic interesującego poza swoim archaicznym językiem. Nawet jej nazwa - Springworld 1 brzmi ironicznie. Środowisko naturalne jest dla ludzkiego życia niemal równie zabójcze jak na każdej innej zamieszkaney planecie. Jej mieszkańcy musieli zostać poddani modyfikacji genetycznej, która dodała im wzrostu i siły nie tylko po to, by wyrównać szansę walki z agresywną zwierzyną, ale po prostu, by umożliwić utrzymanie się w pozycji pionowej w czasie gwałtownych wichur charakteryzujących jej klimat.

Jedyną bliską planetą o jakimkolwiek znaczeniu jest Selva, która umożliwia

Springworld kontakt handlowy z resztą Confederation. W skład niektórych środków farmaceutycznych produkowanych na Selvie wchodzi w znacznej ilości rosnący jedynie na Springworld porost *volmer*. Ponieważ Springworld wprost fanatycznie chce pozostać samowystarczalna, cały jej handel z Selwą odbywa się tylko za gotówkę, co po kilku pokoleniach dało nadwyżkę w wysokości kilku milionów pesos. Jako cywilizacja, która ma w pogardzie wszelki luksus i szczydzi się swą niezależnością, Springworld ma duże trudności z wydawaniem tej nadwyżki.

W A.C. 354 wydano trochę z tej sumy, wysyłając pewnego chłopca do obcych szkół.

Okazało się, że był to bardzo korzystny interes.

1 Springworld (ang.) - Kraina Wiosny (przyp. tłum.).

DRUGA WYPRAWA STARSCHOOL

Informacja ogólna oraz warunki przyjęcia

Starschool2 oferuje młodym ludziom wyjątkowe warunki kształcenia - zwłaszcza tym, którzy w przyszłości mają w swoich światach zająć czołowe stanowiska w polityce zagranicznej i handlu międzyplanetarnym. W trakcie pięcioletniego kursu Starschool odwiedzi szesnaście planet Confederation wybranych bądź ze względu na zainteresowanie ich kulturą i historią, bądź z przyczyn czysto pragmatycznych - dla ich politycznego znaczenia.

Pierwsza wyprawa Starschool (A.C, 348 - 352) była takim sukcesem, że zwierzchnicy zdecydowali się istotnie poszerzyć program, unikając znaczącej podwyżki kosztów nauki, które, trzeba przyznać, są dość wysokie. Dodano dwa nowe światy: Mundovidrio i Hell, umożliwiając poddanie studentów dwóm skrajnym doświadczeniom. Większość naszych klientów wie, że na Mundovidrio znajduje się siedziba *Institutio del Yo Esencial* - Instytutu Wiedzy o Sobie Samym, gdzie studenci spędzą miesiąc, systematycznie badając stany świadomości. Z drugiej strony znajduje się Hell, którego jedyna działalność sprowadza się do szkolenia własnych najemników i dowódców wojskowych z innych planet. Studenci, którym zezwolą przekonania, będą mieli możliwość wzięcia udziału w krótkim, aczkolwiek intensywnym kursie militarnym.

Ze względu na to, iż nasi potencjalni studenci wywodzą się z wielu różnych kultur, warunki przyjęcia nie są sztywno określone. Jednakże ci, którzy nie mają wykształcenia, odpowiadającego poziomowi *bachillerato*, muszą uzupełnić swoją wiedzę w trakcie podróży między planetami. Dyplom ukończenia Starschool jest równoważny wyższym studiom spraw interplanetarnych.

2 Starschool jest angielskim słowem oznaczającym: Nyota'skuli albo: Universidad de los Astros. Angielski był oczywiście językiem ojczystym pierwszych ludzi, którzy wyruszyli w

przestrzeń w poszukiwaniu wiedzy. Starschool (ang.) - Szkoła Gwiazdna, Universidad de los
Astros (hiszp.) - Uniwersytet Gwiazdny (przyp. tłum.).

ZIEMIA

Program nauczania. Uwagi

Większość z tego, co ludziom wydaje się, że wiedzą na temat Ziemi, jest całkowicie błędne. Jest to planeta zaawansowana technologicznie, a nie zacofany zakątek kosmosu. Pomimo że Ziemia aktualnie znajduje się w okresie ekonomicznego regresu, nadal posiada obfite zasoby zarówno materialne, jak i ludzkie, i chociaż być może nigdy nie odzyska pierwszeństwa, jakie dzierżyła we wczesnym okresie Confederation, nie jest bez wątpienia jej ślepym zaułkiem. Poza swoją, oczywistą dla historyków, archeologów i językoznawców wartością, Ziemia prowadzi aktywną wymianę handlową, zwłaszcza w dziedzinie techniki medycznej, a jej przemysł rozrywkowy jest drugim co do wielkości po Nairobi'pya. Jako że wszystkie najważniejsze kultury Confederation wywodzą się z różnych geograficznych, etnicznych czy politycznych ziemskich podgrup, każdy turysta może znaleźć na Ziemi coś szczególnie go interesującego. W przeszłości znacznie wyolbrzymiano trudności z porozumiewaniem się z jej mieszkańcami. Prawdą jest, że na Ziemi nadal używa się ponad dwustu języków i około tysiąca dialektów, ale nawet w najmniejszym miasteczku są ludzie mówiący po hiszpańsku lub w pan-swahili. Zabierzcie ze sobą na Ziemię otwarte umysły i ducha przygody!

I

Oczywiście miało to na mnie wywrzeć wrażenie: przepaska na biodra, koraliki - dwa metry twardego, czarnego Maasai'p्यान. Mr B'ooosa podszedł do mnie z kijami na ramionach: dwa aluminiowe wydrążone w środku pręty o długości porównywalnej z jego wzrostem. Był jednak znacznie niższy ode mnie.

- Mr Bok - zaproponował - przyjacielski pojedynek? Jednak wyraz jego twarzy nie był przyjacielski.

- Jestem zajęty, sir. - Próbowałem właśnie wykonać kilka pożytecznych ćwiczeń, podnosząc ciężary w maszynie zbudowanej dla ludzi o połowę niższych.

- Nie jest pan zainteresowany pojedynkiem? Westchnąłem i opuściłem ciężar do pozycji spoczynkowej.

- Nie mogę walczyć z panem, Mr B'ooosa. Przewyższam pana wagą o pięćdziesiąt kilo... i... i poza tym...

- Poza tym jest pan twardym pionierem ze Springworld, a ja tylko zwykłym synalkiem bogacza...

- ...o głowę niższym ode mnie i pięć albo sześć lat starszym. Zabójstwa mnie nie interesują. Dziękuję, sir.

- Ale rzecz leży właśnie w tym - stuknął o podłogę dwoma kijami - dzięki nim walka będzie zupełnie fair.

Byłoby bardzo przyjemnie dać mu nauczkę. Ale jeśli się jest gigantem pomiędzy Pigmejami, człowiek szybko uczy się trzymać nerwy na wodzy albo przykleją ci etykietkę sadysty.

Mały tłumek zbierał się wokół nas. Odbywało się to na Starschool między lekcjami, więc sala gimnastyczna o podwyższonej grawitacji wypełniona była studentami szykującymi

formę przed lądowaniem.

- Dalej, Carl. Każda chwila jest dobra, żeby dać nauczkę takiemu *ricon*³.

Był to Garcia Odonez, student jak i ja. Pomyślałem sobie, że studiuje głównie po to, by dawać zły przykład.

- Chyba się go nie boisz? Spojrzałem na niego, mając nadzieję, że wysłałem mu miażdżące spojrzenie.

- Miałeś już z tym do czynienia? - B'ooosa wyciągnął do mnie jedną z tyczek.

³ ricon (hiszp.) - bogacz (przyp. tłum.).

Wypróbowałem ją. Z łatwością skrzyłem ją, a następnie przywróciłem jej poprzedni kształt. No, mniej lub bardziej.

- Nie, sir. - Mógłbym mu zawiązać tę cholerną tyczkę jak krawat na szyi. - Springer⁴ walczy fair albo nie walczy w ogóle. - Próbowałem wręczyć mu ją z powrotem, ale odmówił.

- Imponujący pokaz brutalnej siły, Carl - przerzucał lekko kij z ręki do ręki - ale w tej walce siła nie ma znaczenia. Wyzwanie ciągle aktualne.

- Może gdyby wyjaśnił mi pan, dlaczego ni stąd, ni zowąd wyzywa mnie na pojedynek, zrozumiałbym. Nie wydaje mi się, abyśmy jak dotąd, mieli coś przeciwko sobie. - Na pewno nie przeciwko niemu osobiście. Ale to był ricon, a ricones nie uprzyjemniali mi życia w ciągu tego roku.

- To nieporozumienie. Nie chodzi o osobiste zatargi... Chciałbym rozstrzygnąć zakład.

Jeden z moich kolegów, Mr Mengistu, uważa, że wygrywam z nim li tylko ze względu na dłuższy zasięg rąk i większą siłę. Ja natomiast utrzymuję, że zwycięstwo zależy wyłącznie od umiejętności. Jeśli pokonam ciebie, on zgadza się przyznać, że siła i rozmiary nie mają znaczenia.

- Ile wynosi zakład w przypadku tak drobnego sporu? Wzruszył ramionami.

- Pięć tysięcy.

Pewnego udanego roku mój ojciec zarobił aż 4000 pesos na zbiorach, bo zła pogoda podbiła wysoko ceny. Te żniwa kosztowały go jednak utratę dwóch palców i niemal pozbawiły życia.

- Zgoda. Ale proszę przygotować się na stratę nie tylko kilku pesos. Kilku zębów na przykład również.

- Wątpię. Gdzie chciałbyś walczyć?

- Gdziekolwiek, gdzie będzie łatwo zmyć krew. Może być tutaj, jeśli tylko ci ludzie zrobią trochę miejsca.

Otoczający nas tłum odsunął się, tworząc koło o średnicy pięciu metrów. Dla mnie było to trochę mało, ale B'osa kiwnął głową i wycofał się w przeciwległy koniec.

Nigdy dotychczas nie używałem kijów w walce. My na Springworld nie mamy czasu uczyć się, jak pokonać kogoś kijami, ale widziałem kilka walk publicznych na Selvie w ciągu miesiąca, który spędziłem tam, oczekując na Starschool. Nie wydawało się to trudne. Tyczki używa się i do obrony, i do ataku. Próbuje się jednocześnie atakować i blokować uderzenia przeciwnika.

4 Springer - mieszkaniec Springworld - Krainy Wiosny (przyp. tłum.).

Szybkim ruchem machnąłem tyczką wokół, próbując ją wyczuć. Wydała dźwięk jak włócznia przeszywająca powietrze. Otaczający nas krąg poszerzył się.

- Gdyby była mocniejsza, mógłbym pana nią zabić, sir.

- Nie jest i nie mógłbyś. Przyjmij postawę.

- Jaką postawę?

- Przyjmij właściwą pozycję. Przygotuj się do obrony. W ten sposób.

Wysunął jedną nogę i trzymał tyczkę lekko ukośnie, ochraniając swoje ciało.

Przyjrzałem się i postarałem się go naśladować. Miałem jednak znacznie więcej ciała do chronienia.

- Czy obowiązują jakieś zasady? - spytałem.

- Dżentelmen nie celuje w oczy. Jeśli wydlubiesz przeciwnikowi oko, musisz uważać, by na nie nie nastąpić. - Jego oczy spoglądały zimno i bardzo dojrzałe. Sposób jego zachowania zmienił się. Zaczął przysuwać się powoli, trochę jak krab, jednak na swój sposób wdzięcznie. Rozluźniony i spięty jednocześnie jak drapieżnik, który podchodzi swą ofiarę.

Mam chyba lepszy refleks niż on. On jest mieszcuchem, a ja wyrosłem na planecie pełnej krwiożerczych zwierząt. Jego pewność siebie zrobiła jednak na mnie pewne wrażenie. Zdecydowałem, że najbezpieczniej będzie nie bawić się długo, lecz dopaść go szybko, zanim on dopadnie mnie. Naśladując Jego powolne, posuwiste ruchy, zastanawiałem się, gdzie najlepiej uderzyć, w podbrzusze? Nie! Przecież do diabła nie chciałem go zabić! Splot słoneczny? Tak. To powinno go powalić. Stałem i czekałem, aż dostanie się w zasięg mojej tyczki. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy: raptownie zatańczył przede mną i trzasnął mnie potężnie po kostkach obu dłoni tak, że upuściłem tyczkę. Gdy schyliłem się po nią, dostałem z backhandu w czubek głowy. Świat zawirował. Potrząsnąłem głową, by pozbyć się szumu, sięgnąłem po kij i skierowałem go wprost w jego plexus solaris. Odepchnął go z łatwością jednym końcem swojego kija, podczas gdy drugi śmignął w kierunku mojej głowy. Obudziłem się na swojej koi z zimnym okładem na lewej skroni. Siadłem i... ludzie! - piorun strzelił gdzieś pod czaszką, próbując oderwać mi głowę.

- Dobrze się czujesz, Carl? - To była Alegria, śliczna, mała dziewczyna z Selvy.

- Tak, świetnie. Wspaniale. Przejściowe trudności. - Opuściłem nogi na ziemię, przysłoniłem światło ręką. - Jak długo byłem nieprzytomny?

- Całą noc i pół ranka. Odzyskałeś przytomność, zanim dostarczyliśmy cię do szpitala.

- Tak, to chyba pamiętam.
- Ale lekarz dał ci pigułkę, po której znowu zasnąłeś, więc musieliśmy zwieźć cię na dół. Ważysz chyba tonę.
- Tylko sto sześćdziesiąt dwa kilogramy. - Nie byłem przeczulony na punkcie swojej wagi, ale ludzie lubią przesadzać.
- Jeśli cię interesuje, nie masz wstrząsu mózgu ani niczego w tym rodzaju.
- Wydaje mi się, że mam go w nadmiarze. Mógłbym podzielić się nim z tym małym skur...
- Bądź cicho, Carl. Dziekan jest przekonany, że to był wypadek.
- Wypadek?! Dlaczego miałbym kryć tego *ricon*?
- Pomyśl trochę, ty wielki wieśniaku! My nie kryjemy jego!

Oczywiście... gigant ze Springworld walczący z... O Boże! Położyłem się z powrotem. Uczyniłem to łagodnie.

- Opuściłeś trzy lekcje wczoraj wieczór i dzisiaj. Położyłam twoje zadania tam na stoliku.
- Dziękuję, Alegria, jesteś kochana.

Szkoda że nie jest o metr wyższa. Poczulem jej rękę na czole i uchyliłem troszeczkę powiekę.

- Chcesz, żebym ci dała jakieś pigułki na otrzeźwienie? Powinieneś odrobić zadania domowe, zanim dotrzemy do Ziemi. Inaczej przetrzymają cię w kwarantannie do chwili, aż nadrobisz zaległości. A chyba nie chcesz stracić tej części podróży?

Dla mnie Ziemia mogła iść do diabła.

- Ile mam czasu?

- Mniej niż trzy dni, a masz czterodniowe zaległości. Pigułkę?

- Tylko jakąś przeciwbólową.

- Jest na stoliku, obok książek. - Łóżko zaskrzypiało, gdy wstała i usłyszałem, że otwiera drzwi. - Ucz się pilnie, Carl. - Wyszła.

Wziąłem pigułkę od bólu głowy. Czuję się marnie. Poleżałem na koi jeszcze dziesięć minut, potem wstałem i spojrzałem na książki. Wszystkie dotyczyły Ziemi, historii, geofizyki, zwyczajów itd. Niezbyt wielka przyjemność, nawet gdyby były po angielsku. Ale oczywiście większość była po hiszpańsku i pan-swahili. Oba te języki powinienem znać lepiej niż faktycznie znałem.

* * *

Głowa ciągle bolała, gdy Starschool zatrzymała się na orbicie w pobliżu ziemskiego satelity celnego. Podobny do wydłużonego pająka nasz statek-universytet jest wspaniały, gdy przebija się przez przestrzeń, ale w ogóle nie nadaje się do lądowania na planetach. Nawet najslabsze pole grawitacyjne może zakłócić jego moment i rozerwać na strzępy. Zawsze więc orbituje wokół planety, a my lądujemy promami. Zanim jednak to nastąpiło, mieliśmy przejść długą, uciążliwą procedurę. Rozumiecie - biurokracja.

Najpierw na pokład Starschool przybył zespół ziemskich lekarzy, którzy obstukali nas i ponakłuwali, by upewnić się, że nie przywieźliśmy na ich cenną planetę żadnych obcych, wstrętnych pluskiew. Potem musieliśmy wypełnić mnóstwo formularzy. Podpisałem się tyle razy, że zaczęły mnie chwytać skurcze dłoni. W końcu przetransportowano nas na satelitę, gdzie długo staliśmy w dwu rzędach. Szereg, w którym się znalazłem, był dla tych, którzy ważą ponad siedemdziesiąt pięć kilogramów. Nie był długi.

Nadszedł nasz dziekan dr M'bisa, kłócąc się zajadle z małym Ziemianinem w jasnoblękitnym mundurze.

- Podpisaliśmy umowę, Mr Pope-Smythe, umowę z g o d n ą z prawem, w której nie

ma słowa o tym idiotycznym podatku. Wyszczególniono wszystkie wydatki, podczas gdy...

- Panie profesorze! Nie twierdzę, że coś jest nie w porządku z umową. Ale to jest kontrakt pomiędzy wami a Ziemskim Biurem Podróży SA. Nie nasza sprawa. Może pan domagać się od nich zwrotu pieniędzy, ale żaden z pańskich studentów nie wylądował na Ziemi, dopóki nie zostanie opłacony podatek od nadwagi dla obcych.

- Wie pan doskonale, że Ziemskie Biuro Podróży nigdy...

- Jeszcze raz powtarzam, to jest pański problem. Natomiast mój problem polega w tej chwili na tym, aby ci wszyscy ludzie, którzy mają zapłacić, zrobili to, zanim pójdę na obiad. A podatek prawdopodobnie nie jest uwzględniony w kontrakcie, ponieważ został wprowadzony dopiero w kwietniu. Jednak musicie go uiścić. W prawach Aliancy nie ma wyjątków dla umów między prywatnymi korporacjami dochodowymi. A poza tym, podatek nie jest szczególnie wysoki. Tylko dziesięć albo dwadzieścia pesos od każdego z wyjątkiem tych paru osób.

- A za nich?

- Cóż, rośnie dosyć szybko powyżej dziewięćdziesięciu kilo. Ile ważysz synu? - To było do mnie.

- Sto sześćdziesiąt dwa kilogramy. Wszystko mięśnie, bez grama tłuszczu.

- Tak, wiele! Mój Boże! Muszę sprawdzić. - Przeleciał szybko kilka tabel znajdujących się na tyle małej broszury.

- To będzie szesnaście tysięcy osiemset pesos. Dziekan wybuchnął:

- To jest beczelnie wygórowane.

- Takie jest prawo. - Mr Pope-Smythe wzruszył ramionami, wyciągając książeczkę, tak aby dziekan mógł do niej zajrzeć.

- Wierzę panu. - Odsunął broszurę. Potem jednak wziął ją i sprawdził wysokość

podatku.

- Doktorze M'bisa - powiedziałem —nie chcę aż tak bardzo dostać się na Ziemię. Nie za siedemnaście tysięcy pesos. Siedemnaście tysięcy to fortuna na Springworld. Najlepsza zima mojego ojca przyniosła mu cztery tysiące... A poza tym, nie mam nawet dziesiątej części tej sumy.

- Decyzja nie należy do ciebie, Carl - spojrzał na mnie pochmurnie - ani pieniądze. Na to przeznaczony jest fundusz ogólny. Na nieprzewidziane wydatki.

- Ale to więcej niż połowa opłaty za moją naukę!

- Zdaję sobie z tego sprawę. Twoja planeta robi świetny interes.

Kolegom nie mogło to się spodobać. Fundusz ogólny był przeznaczony na nieprzewidziane wycieczki i dofinansowanie zakupów studentów. Bez niego tylko *ricanes* stać było na zakup pamiątek z takich miejsc jak np. Nuovo Columbia.

- Sądzę, że to za dużo. Nie jest tego warte.

- Być może nie - warknął, potem kontynuował nieco łagodniej: - Ani ty, ani ja nie mamy wyboru. Korporacja Hastford podpisała umowę z twoim rządem określającą precyzyjnie korzyści, jakie powinieneś wynieść ze Starschool. Możesz zrezygnować z lądowania na Hell albo Thelugi, ale musisz przynajmniej postawić nogę na każdej z pozostałych planet. Jeżeli tego nie uczynisz, twój rząd będzie mógł zaskarżyć Hastford o niedotrzymanie warunków umowy.

- Gotów jestem wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

- Bardzo to uprzejme z twojej strony, ale niestety nie możesz. Zwierzchnicy Starschool zastępują w obliczu prawa twoich rodziców do dnia dwudziestych pierwszych urodzin. Do tego czasu możliwości podejmowania przez ciebie samodzielnych decyzji są ograniczone w sensie prawnym. - Położył mi rękę na ramieniu. - Tak jak powiedziałeś, jest to olbrzymia suma, ale

wszyscy musimy stosować się do obcych praw, obcych cel, nawet jeśli są nierozsądne. Ludzie to rozumieją.

Kiedy to mówił dziekan, brzmiało to rozsądnie. Ale gdy wszyscy zostali zważeni, znalazła się tylko jeszcze jedna osoba powyżej dziewięćdziesięciu kilogramów. Łączny podatek za pozostałych wyniósł 1130 pesos, czyli nawet niejedną dziesiątą mojego. Tym drugim był Mr B'osa, który miał zapłacić 1900 pesos. Wyciągnął książeczkę czekową i zapłacił sam. Do diabła? Czemu nie! Miał przecież ekstra pięć tysięcy za znokautowanie mnie. Podatek pochłonął ponad połowę funduszu studenckiego. Fakt ten spowodował niewątpliwy wzrost mojej popularności wśród studentów. Byłem przecież odpowiedzialny za dziewięć dziesiątych tej sumy.

Gniewnie pokrzykując, ustawiono nas w porządku alfabetycznym i na objazd Ziemi podzielono na trójosobowe grupy. Miałem dzielić pokój z dobrym, starym panem B'osa i innym *ricon* o nazwisku Francisco Bolivar. Zanosilo się na długi objazd. Ale nim dotarliśmy promem do jedyne go ziemskiego kosmoportu Chimbarazo Interplanetario, miałem przygotowany plan. Prosty plan. Tak w każdym razie sądziłem. Inżynieria genetyczna, która uczyniła ze mnie giganta, sprawiła, że wszyscy Ziemianie są karzełkami - nikt nie waży więcej niż 40 kilogramów. Przecież gdzieś na tej zminiaturyzowanej planecie musi być praca - dobrze płatna praca czekająca na mężczyznę lub chłopaka, który waży więcej niż czterech Ziemian i ma dwa i pół metra wzrostu. Przysięgłem sobie, że zarobię i zwrócę te 16 800 pesos co do grosza. I niech się ode mnie odczepią.

II

Chimbarazo Interplanetario było jeszcze jednym zwykłym kosmoportem. Był duży, ale czy kto kiedykolwiek widział mały? Było pół godziny do odlotu flyera, którym mieliśmy udać się na objazd Ziemi. Poszukałem automatu informacyjnego, wrzuciłem monetę w otwór i nacisnąłem przycisk: Angielski.

- Jaki dział? - spytała maszyna.
- Dział poszprac, proszę - powiedziałem.
- Poszprac. Pytanie? Nie ma takiego działu.

Jak oni na to mówią na Ziemi? Zacząłem żałować, że w ciągu ostatnich trzech dni nie przyłożyłem się solidniej do nauki.

- Coś na temat roboty?
- Coś na temat roboty - odpowiedziała jak echo. Bezmyślna, głupia maszyna.
- Czy masz dział "roboty"?
- Roboty. Zapytanie? Nie mamy działu "roboty". Mam! Zatrudnienie.
- Czy masz dział "zatrudnienie"?
- Tak. Mam dział "zatrudnienie". - Klik! - Pański czas już się skończył. Proszę wrzucić dwie kolejne monety.
- Ale ja już zapłaciłem, ty głupkowata... - Klik! Poddałem się i wrzuciłem następne dwie monety.

Lista prac pojawiła się na ekranie. Kręcąc gałką, zacząłem ją przeglądać, Nie wyglądała zbyt obiecująco.

OFERTY ZATRUDNIENIA

Obszar Chimbarazo-Macro-BA

ABSTRACO-OPER, wyższe, 30K, dobre war. pracy, 314-90343-098367

ACETOKREŚL. - tylko ukończ. studia, 12K, 547-23902-859430

**AEROSPACE INŻ., dr, 38K, pierwsz. specj. plan. śród. Biuro Księżyc.,
452-78335-973489**

AKTOR - płace zm. wrażli. tylko dośw., małolet. wykl., 254-34290-534265...

i tak dalej, i tak dalej. Nie miałem nawet pojęcia, czego połowa z nich dotyczy.

Przejrzałem chyba z setkę, zanim rzuciło mi się w oczy:

**GLADIATORZY, nagrody do 20K, bez podatku, zwł. wibrołapka, 8 indyw., 75 zespól. występ.,
praca ze zwierzętami, 738-49380-720843.**

Zanotowałem numer i pobiegłem do flyera. Ledwo zdążyłem na czas. Dziekan

gniewnie popatrzył na mnie, gdy zapinałem pasy. Zająłem cały rząd trzech siedzeń. Czułem się

więc nieco winny. W drodze do muzeum pilnie studiowałem plan miasta i znalazłem duży

stadion niedaleko naszego celu. Gdy tylko wylądowaliśmy, wymknąłem się chyłkiem w

kierunku mojego celu. Tyle mogłem zrobić dla kultury. Dla siebie musiałem załatwić pracę.

Widziałem już kilka walk gladiatorów. Oczywiście nie na Springworld, ale na Selvie i

Neurodesii. Ich mieszkańcy nie muszą zмагаć się ze swoimi planetami, więc walczą ze sobą na

arenach. Okazało się jednak, że na Ziemi walki wyglądają zupełnie inaczej i są znacznie

bardziej popularne.

Kupiłem najtańszy bilet i dotarłem do miejsc na szczycie korony stadionu. Wszyscy

widzowie naraz wydzielali się i wykrzykiwali coś radośnie. Trwał nieustanny, ogłuszający ryk.

Nie wiedziałem, co ich tak podnieca. Dwóch mężczyzn wałkonilo się pośrodku areny, a z

mojego miejsca trudno było dostrzec, co się tam naprawdę dzieje. Wypożyczyłem lornetkę od

pobliskiego robota-sprzedawcy.

Pomyślałem, że żaden z walczących nie jest na pewno Ziemianinem. Jeden był wysoki i czarny jak B'osa, prawdopodobnie Maasai'pian. Drugi, mocno opalony, był niższy, ale robił wrażenie cięższego. Walczyli krótkimi pałkami, lewe ręce mieli przywiązane do pleców. Było to podniecające widowisko i wyglądało na trudne: intensywna praca nóg, ciągłe doskoki i odskoki. Po kilku minutach niższemu udało się zadać potężny cios w gardło, który powalił jego przeciwnika. Biało ubrany mężczyzna podbiegł i spojrzał na leżącego. Gdy ten usiłował powstać, niezbyt delikatnie przycisnął go do ziemi. Zataczając rękoma duże koła, zasygnalizował coś w kierunku trybun. Tłum zwariował. Można się było domyślić, że facet w bieli jest kimś w rodzaju sędziego i właśnie ogłosił zwycięstwo niższego zawodnika. Podbiegło kilku chłopców z noszami, by wynieść pokonanego, odepchnął ich jednak i powłócząc nogami, zwłókł się z areny, masując sobie gardło.

Obróciłem się do mężczyzny siedzącego obok i trąciłem go w ramię. Spojrzał na mnie i podskoczył, n a p r a w d ę podskoczył. Musiał cały czas intensywnie obserwować walkę i nie zauważył olbrzyma siedzącego obok.

- Przepraszam za zaskoczenie - powiedziałem moim złym hiszpańskim. - Jestem tu obcy i potrzebuję pewnej informacji.

- Z pewnością jesteś obcy - powiedział z uśmiechem. - Sądzę, że nie widziałem dotąd nikogo bardziej obcego. - Miał to być pewnie rodzaj dowcipu. - Co chciałbyś wiedzieć?

- Ile dostał ten mały za zwycięstwo?

- Mały?! - Obejrzał mnie od góry do dołu i potrząsnął głową. - Może dla ciebie. Właśnie zdobył mistrzostwo wagi ciężkiej obszaru Macro-BA, pałka wibracyjna. Dwadzieścia pięć tysięcy pesos.

- Łatwo mu przyszło.

Zaśmiał się znowu.

- Na każdego, kto znajduje się w zasięgu tytułu mistrzowskiego przypada wiele tuzinów *perdid*.

- *Perdid*? Co to?

- Gladiator, który już nie może walczyć. Niekiedy, ponieważ odniósł tak ciężkie rany, że musiał odejść. Niekiedy, ponieważ strach dusi go za gardło i nie potrafi już stanąć na arenie. Niekiedy wreszcie, bo już nie żyje.

- Naprawdę pozwala się ludziom ginąć na arenie?! - O Boże! O tym nie wspomiano w podręcznikach.

- Nie "pozwała się ginąć". Wszyscy gladiatorzy są przyjaciółmi, a nikt nie zabija przyjaciela. Uważa się to za czyn niegodny. Jednak czasem to się zdarza.

Odwrócił się z powrotem w kierunku areny. Oficjalnie wyglądający mężczyzna wręczał właśnie zwycięzcy kawałek papieru - zapewne czek. Ten uniósł go wysoko i dumnym krokiem obszedł arenę. Tłum ryczał. Jedna połowa wiwatowała radośnie, gdy tymczasem druga gwizdała niezadowolona.

- Skąd Jest ten facet? Jest zbyt duży jak na Ziemianina.

- Z Hell. Większość zawodników wagi ciężkiej pochodzi stamtąd. Nędzne bękarty. Jest kilku Maasai'pian wagi ciężkiej, na przykład jego ostatni przeciwnik, kilku z Perrin lub Selvy, rzadko z Dimian. Nigdy dotąd nie widziałem kogoś tak dużego jak ty. Jesteś ze Springworld?

- Taa... Mógłbym walczyć w ich wadze? Zaśmiał się znowu.

- Nie ma przecież żadnej cięższej. Macie takie walki na Springworld?

- Nie. Nie widziałem żadnej, dopóki nie przybyłem na Selwę.

- Więc nawet nie myśl o tym, przyjacielu. Stań tylko przeciw takiemu Hellerianinowi⁵ i jesteś *perdid* po trzech sekundach. Są szkoleni od urodzenia, by ranić i zabijać.

- Springworld też nie jest kurortem wypoczynkowym. Sądzę, że mógłbym niejednego pokonać. Wzruszył ramionami.

- Nie ufaj zbyt swoimi rozmiarom czy sile. Ci najwięksi przegrywają również.

Trening przede wszystkim.

Przypomniałem sobie, w jak pięknym stylu załatwił mnie B'oosa.

- Sądzę, że ma pan rację. Mógłbym jednak się tego nauczyć. Dokąd powinienem pójść, by dowiedzieć się czegoś więcej o walkach?

5 Hell (ang.) - piekło; Hellerianin - mieszkaniec planety Hell (przyp. tłum.).

- Hmm... Biuro informacyjne jest tam, pod trybunami. Ale jeśli naprawdę chcesz je poznać i dowiedzieć się co jest co, idź na Plaza de Gladiatores. Tam spotykają się zawodnicy.

- Daleko to stąd?

- Nie, w środku miasta. Około dwustu kilometrów na północ.

Obejrzałem jeszcze jeden mecz, walkę z kijami, i naprawdę współczułem facetowi, który przegrał, po czym ekspresmetrem udałem się na Plaza de Gladiatores. Był to olbrzymi plac, pięknie wyglądający w popołudniowym słońcu, pełen drzew i kolorowych kwiatów.

Wokół znajdowały się tawerny wypełnione ludźmi. Tłum kłębił się przy stolikach wystawionych na zewnątrz, rozprawiając głośno w cieniu pod markizami. Grupy muzyków przechodziły od tawerny do tawerny, dmąc w trąbki i szarpiąc struny gitar, starając się zagłuszyć wszystko i wszystkich. Z początku brzmiało to dziwnie, ale po pewnym czasie, gdy wciągnąłem się w tę atmosferę, zaczęło to mi się nawet podobać.

Wybrałem najbliższą knajpę i wszedłem do środka. Musiałem zgiąć się wpół, by zmieścić się w drzwiach. Po moim wejściu głośny gwar i śmiech ucichł na chwilę, lecz gdy bywalcy szybko i prawidłowo rozpoznali we mnie turystę, przestali się mną interesować.

Podszedłem do stolika, krzesło było zbyt małe i zbyt niskie dla mnie. Odkurzyłem więc

kawałek podłogi i siadłem. Zamówiłem cerweza preparada - piwo z cytryną, a gdy mi je podano, zbliżyło się dwóch mężczyzn. W tłumie trudno było odróżnić turystów od gladiatorów, lecz co najmniej Jeden był z pewnością zawodnikiem. Pierwszy wyglądał na Ziemianina - niski, szczupły, ale muskularny, ubrany w biały kombinezon tak obcisły, że wyglądał jakby zanurzono go w kadzi z plastykiem i wystawiono, by wysechł. Drugi, zawodnik, był trochę za wysoki i za ciężki jak na Ziemianina. Twarz miał potwornie okaleczoną. Trzy pomarszczone blizny przechodziły od czoła do szczęki. Brakowało mu połowy nosa, a ściągnięte bliznami powieki nadawały mu wygląd ciąglego zadziwienia. Przemówił pierwszy, po angielsku:

- Możemy się z kumplem przysiąc? - i nie czekając na odpowiedź, zahaczył nogą krzesło, przyciągnął je i z rozmachem usiadł. Jego towarzysz uczynił to samo, jednak znacznie spokojniej.

- Jak poznaliście, że mówię po angielsku?

- Szajs, ktoś tak duży jak ty musi być Springerem, a na Springworld mówi się po angielsku, no nie?

Nigdy na Springworld nie spotkałem nikogo, kto "mówiłby" po angielsku jak on.

Zwykle takie wyrażenia pozostawiamy na specjalne okazje. Jednak przytaknąłem i spytałem dużego, skąd pochodzi.

- New Britain. To na Hell, a mój kumpel jest Ziemianinem. Skąd jesteś, Angelo?

- Z Mexico - odpowiedział po hiszpańsku, wymawiając x jak h. - Ale mówię również po angielsku.

- Obaj jesteście gladiatorami?

- Ja jestem gladiatorem - ryknął Hellerianin. - Ten mały Angelo dopiero zaczyna.

- Co trzeba zrobić, żeby zacząć? - spytałem Angelo.

Pociągnął łyk przyprawionego wina ze swego kubka.

- Najpierw wiele lat szkolenia, potem, jak mógłbyś to nazwać, terminowanie, czyli walczysz ze zwierzętami. Jeżeli jesteś dobry i masz szczęście, zaproponują ci przyłączenie się do drużyny. Na razie dotarłem do poziomu wstąpienia do Mexico DF. Po angielsku byłoby to: drużyna tyczkarzy Mexico City.

- Potem, jeśli stajesz się prawdziwym gladiatorem - wtrącił się Hellerianin - tłum zaczyna cię zauważać. Zaczynasz się wyróżniać, otrzymujesz oferty walk indywidualnych. I tam dopiero zaczynają się prawdziwe pieniądze.

- Jak duże?

- Najmniejsza nagroda to około pięć paczek. Dalej już więcej. Największa to mistrzostwo Ziemi, ćwierć bańki! Bez podatku co do grosza twoje. W każdym innym zawodzie podatek zabiera ci dziewięćdziesiąt cholernych pesos z każdej setki, którą zarobisz.

- To jest po prostu podatek - powiedział Angelo. - równy dla każdego.

- Gówno! - parsknął - jak możesz tak pieprzyć! Mniej niż milion ludzi pracuje na miliardy cholernych obiboków.

- Ale to działa, *amigo*, to działa.

- Jasne. Tak długo jak długo tyrają faceci płacący podatki. Co będzie, jeśli oni wszyscy się skrzykną i wyjadą? Wszystko się rozpadnie. Ludzie z innych planet przestaną przyjeżdżać do pracy. - Odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby. - Z wyjątkiem gladiatorów. Zawsze będzie nas dużo, tak długo jak nagrody nie są obłożone podatkiem.

- A co ze mną?

- Z tobą? Co z tobą?

- Chciałbym skorzystać z tych bezpodatkowych pesos. Chciałbym zostać gladiatorem.

Hellerianin zarechotał, wybuchnął głośnym śmiechem, po czym opróżnił swój kufel piwa. Stuknął nim dwukrotnie w stół.

- Przykro mi, Goliacie, ale to zupełnie inna gra. Angelo naopowiadał ci masę głupot, ale powiedział jedną rzecz prawdziwą. Jeżeli nie trenujesz przez lata, nie masz szansy na ringu.

Jesteś *perdid* po kilku sekundach.

- I to nie ranny - dodał Angelo, potakując głową - ale najprawdopodobniej zabity.

- Cholerna racja. Każdy zawodnik, który dałby ci szansę uchwycenia siebie, byłby głupcem. Założę się, że mógłbyś złamać mężczyznę jak patyk.

Chyba mógłbym.

- Więc dlaczego sądzicie, że zostałem z miejsca zabity. Może nie dałbym przeciwnikowi takiej możliwości. Jestem w niezłej formie.

Barman podszedł z dzbanem i napełnił szklanki Hellerianinowi i mnie. Ten upił łyk wina i obejrzał mnie znad krawędzi naczynia.

- Słuchaj no, czy Springerzy siłują się na ręce?

- Masz na myśli "łokcie na stole"?

- Tak. - Oparł swój łokieć na wprost mnie, wyprostował przedramię. Muskularne, ale przy Springerze wyglądałyby na drobne. - Założę się o kufel piwa, że położę cię.

Małe piwko.

- Zakład stoi.

Przystawiłem swój łokieć do jego i pochwyciliśmy się za dłonie. Przymierzałem się właśnie, by zacząć, gdy jego lewa ręka wystrzeliła naprzód i poczułem czubek sztyletu na gardle.

- Teraz albo łagodnie położysz rękę na stole, albo poderżnę ci gardło, a wtedy ręka już sama opadnie.

Stojący za Hellerianinem barman śmiał się szeroko. Angelo uśmiechając się łagodnie, spoglądał w bok. A Hellerianin po prostu wpatrywał się we mnie z twarzą zimną jak stal

sztyletu na moim gardle. Miał mnie.

- Wygrałeś - pozwoliłem przycisnąć swoją rękę do stołu i rzuciłem barmanowi peso.

Hellerianin schował sztylet do pochwy na biodrze, pochylił się na krześle i uśmiechnął.

- Wyglądasz na mądrego gościa. Pojąłeś w czym rzecz?

- Tak... Żadnych reguł.

- Nie, są pewne zasady, ale nie są przestrzegane zbyt rygorystycznie. A zawodnicy znają masę trików.

Wcisnąłem resztę cytryny do piwa i upiłem trochę. Było gorzkie i ciepłe.

- Wydaje mi się, że mógłbym jednak spróbować.

- Za cholereę. Nie pozwolą ci. Są prostsze sposoby popełnienia samobójstwa.

- Ale potrzebuję pieniędzy i to szybko. Wydaje się, że tylko gladiator może zrobić pieniądze na Ziemi.

- Jak dużo potrzebujesz, Springerze? - spytał Angelo.

- Prawie siedemnaście tysięcy. I mam niewiele ponad miesiąc, aby je zdobyć.

- Jest pewien sposób...

- Jaki?

- Cokolwiek. Jest wiele miejsc, gdzie odbywają się walki ze zwierzętami. I nie trzeba być gladiatorem, a płacą cztery, pięć setek bez podatku.

- Szajs, Angelo, chcesz go zabić? - Potrząsnął głową i spojrzał wprost na mnie. - Jesteś prawie tak wielki jak byk. Mógłbyś walczyć z bykami w Mexico.

- Co to takiego byk?

- To cholernie wielkie zwierzę, z rogami na milę. Może cię schrupać na śniadanie.

- Zatem ma zęby?

- Nie, *amigo*, on żartował. Byki nie gryzą. Jednak to groźne zwierzęta, a ich rogi są

ostre. Ale jest to mniej niebezpieczne niż walka z gladiatorem. - Nabazgrał coś na świstku papieru i wręczył mi go.

- Idź na Plaza de Toros w Guadalajara i porozmawiaj z tym facetem. Może uda mu się zorganizować walkę dla ciebie.

Dokończyłem piwo i poszedłem na ekspresmetro. Może powinienem udać się od razu do Guadalajara, ale chciałem przemyśleć to wszystko i dobrze odpocząć. I dowiedzieć się czegoś więcej o bykach.

III

Nasza grupa nocowała w Hotelu de la Bahia, olbrzymim, starym hotelu prawie w centrum śródmieścia Macro-BA. Facet w recepcji podał mi numer pokoju i szybką windą dostałem się na 167 piętro. Moi koledzy B'oosa i Bolivar już tam byli.

- O! wieśniak wraca - powiedział Bolivar.

Stał przed lustrem, czesząc brodę. B'oosa czytał ułożony wygodnie na małej kanapce.

Mruknął coś, nie podnosząc wzroku.

- Jak było w muzeum? - spytałem.

- Masa obrazów. Skamieniałości. Relikty kulturowe różnego rodzaju. Warto zobaczyć.

Gdzie byłeś cały dzień?

- Szukałem pracy.

- Pracy? Na co ci praca?

- Muszę zwrócić pieniądze za podatek od nadwagi.

- Do diabła. Czemu się tym przejmujesz? - Bolivar rzucił się na miękkie krzesło. - Nikt inny nie ma zamiaru zawracać sobie tym głowy. Nic nie poradzisz na to, że urodziłeś się jako olbrzymi potwór.

- To ważne. Dla mnie.

- Poza tym, jakiego rodzaju pracę możesz dostać na tej zwariowanej planecie? Każdy od szczytu do dołu objęty jest opieką socjalną, ale też nikt nie może zatrzymać nawet dziesiątej części swoich zarobków. - Uśmiechnął się. - Z wyjątkiem. Jak się wydaje, kryminalistów.

Czyżbyś miał zamiar...

- I gladiatorów - powiedziałem.

- To nonsens! - wybuchnął B'oosa. - Czy wiesz, że tutaj zabija się gladiatorów?

Nieokrzese dzikusy. Masz zamiar ryzykować życie, ponieważ kilku facetów wściekło się na

ciebie?

- Jak już powiedziałem, Mr B'oose, to ważne.

- To śmieszne - powrócił do czytania.

- Mr B'oose ma rację, Carl. Byłoby samobójstwem wystąpić przeciwko zawodowcom.

Czy nie udało mu się wbić trochę rozumu do twego zakutego łba?

- Nie będę walczył z ludźmi, Francisco. - Nie muszę zwracać się do niego "Mister", dopóki nie ukończy dwudziestu jeden lat. - Mogę zarobić wystarczająco dużo, walcząc ze zwierzętami.

- Ze zwierzętami? Tutaj? Jakimi?

- Ktoś wspominał coś o bykach.

- Bykach? Co to?

- Byk to samiec krowy - poinformował nas B'oose bez zaglądania do encyklopedii.

- Wspaniale! - powiedziałem. - A co to krowa? Francisco wzruszył ramionami, B'oose tym razem nie odezwał się.

- Jest jeden sposób, żeby się dowiedzieć. - Wyłowiłem z torby kawałek papieru, który dał mi Meksykanin. Było tam nazwisko i numer. Wystukałem go na telefonie. Dziewczęca twarz wypełniła ekran.

- *Buenos noches*, Plaza de Toros de Guadalajara. Przełączyłem się na swój skrzypiący hiszpański. Przy Mr B'oose zawsze mówimy pan-swahili.

- Chciałbym mówić z panem Mendezem.

- Chwileczkę, proszę. - Zniknęła i po kilku sekundach pojawiła się ponownie. - Kogo mam zapowiedzieć?

- Jestem Carl Bok ze Springworld.

- Ach, tak. O czym chciałby pan rozmawiać z panem Mendezem?

- Chciałbym wziąć udział w walce byków.

- Chwileczkę, proszę.

Sygnal oczekiwania łączności pojawił się na ekranie, po chwili zniknął, ukazując ciemnego mężczyznę w ubraniu handlowca, z grubym cygarem sterczącym poniżej krzaczastych wąsów. Odezwał się po angielsku. Miał ciężki akcent.

- Panie Bok, jak rozumiem pochodzi pan ze Springworld i chciałby pan walczyć z bykami.

- Tak.

- Czy brał już pan udział w walce byków?

- Panie Mendez, ja nigdy nawet nie widziałem byka. Ale potrzebuję pieniędzy. Zaśmiał się.

- Należy pochwalić pańską odwagę, ale... - sięgnął w prawo i pokazał lśniący, czarny, ceramiczny posążek. - Oto jak wygląda byk, panie Bok. W rzeczywistości jest bardzo duży, waży niekiedy ponad pięćset kilogramów i jest bardzo, ale to bardzo niebezpieczny.

- Ja też w rzeczywistości nie jestem karzełkiem. Na czym polega walka z bykiem?

- *Señor*, są dwa rodzaje walk byków. Jeden to *corrida*, polega na... to trudno wyjaśnić, ale i tak nie mógłby pan wziąć w niej udziału. Jest to specjalny sposób walki wymagający wielu lat ciężkiego treningu. I byk zawsze ginie. Czasami *matador*, jak nazywamy ten rodzaj gladiatorów, ginie również. Jednakże nieczęsto. W tej profesji nie jest łatwo dojść do mistrzostwa.

Nieświadomie pogłodził porcelanowego byka. Popiół opadł z jego cygara.

- A drugi sposób?

- Drugi rodzaj nie wymaga takiej wiedzy i doświadczenia. Ale jest znacznie bardziej niebezpieczny. Byk nie zawsze ginie, właściwie zwykle nie ginie. Uczy się więc walczyć z

ludźmi i jak my to nazywamy, staje się “mądry”. A ludzie giną prawie tak często jak byki. Niemal co noc ginie młody mężczyzna. Jest to smutne, ale wydaje się, że *turistas* wolą ten rodzaj walk od *corrida*. A poza tym nigdy nie brakuje młodzieńców, głupich chłopców, chętnych stawić czoła bykowi. Wszystkim bykom z wyjątkiem tych, które nauczyły się już zbyt dużo. Nawet ci młodzieńcy czują lęk przed nimi.

- Jakiej broni wolno używać?

- Są trzy rodzaje walk, panie Bok. We wszystkich można mieć pelerynę, aby móc odwrócić uwagę atakującego byka. Pierwszy rodzaj może używać *estoquita*. Pan nazwałby to krótkim mieczem lub długim nożem. Za tę walkę płacą dwieście pesos. W drugim dopuszcza się pałkę, lecz nie wibropałkę, zwykłą pałkę. Za to płacą czterysta. Za trzeci rodzaj walk płacą siedemset pięćdziesiąt, ale tam można mieć przy sobie tylko pelerynę.

- Rozumiem, że w tej trzeciej grupie trzeba gołymi rękami zabić byka.

- O nie, *señor*. W każdej z tych walk wystarczy ogłuszyć byka, powalić go na kolana.

- Kiedy najwcześniej mógłbym walczyć?

Przejrzał pobieżnie kilka kartek małego notesu.

- Panie Bok, jedyny termin, jaki mogę panu zaproponować w ciągu najbliższych dwóch tygodni to jutrzejszy wieczór. Lecz z tym bykiem nie będzie pan chciał walczyć.

- Dlaczego? Czy to jeden z tych “mądrych”?

- *Si*, bardzo mądry. Jest nazywany La Muerte Vieja, czyli Stara Śmierć. Za każdym razem, gdy stawał na arenie, pokonał swych przeciwników we wszystkich walkach. A wystąpił już dwanaście razy. Nawet ci niemądry młodzi ludzie, których odwaga przewyższa rozum, wiedzą, że nie należy z nim walczyć. Dlatego na jutrzejszy wieczór nie mam dla niego przeciwnika. Dwanaście walk...

- Dobra, zatem przegra trzynastą. Proszę mnie wystawić w trzeciej klasie. Tej z

peleryną.

- *Señor*, pan nie zdaje sobie...

- Jestem bardzo duży, *señor* Mendez. Ponad dwukrotnie większy od przeciętnego Ziemiianina.

- Ale też dwukrotnie mniejszy od *Muerte Vieja*. Nie ma pan żadnego doświadczenia.

Naraża się pan na olbrzymie niebezpieczeństwo.

- Zobaczymy. Wpadnę jutro do pańskiego biura.

- Zgoda. *Turistas* kochają krew. - Potrząsnął ze smutkiem głową. - *Buenas noches*, *señor* Bok. I powodzenia.

- *Buenas noches*. - Ekran ściemniał.

- Jesteś wariat - Francisco powiedział spokojnie - zupełnie szalony.

- Nie, niezupełnie. Na pewno nie - odezwał się B'osa. - Nie wiesz zbyt wiele o

Springworld, prawda Pancho? - Mógłby przestać nazywać go Pancho. - Planeta ta pełna jest nierozgarniętych olbrzymów i nie jest nawet wystarczająco ważne, by robić przystanek na trasie Starschool. A dlaczego? Powiedz mu, Carl. - B'osa powrócił do lektury.

- Cóż takiego powinienem wiedzieć o tym twoim słynnym świecie?

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć. Spójrz na mnie. - Podeszedłem do jego krzeselka i

górując nad nim, kontynuowałem: - Jestem olbrzymem, bo tylko olbrzymi mogą przeżyć na

Springworld. Z wyjątkiem być może Hell, Jest to najsurowsza planeta do tej pory

skolonizowana. Wyobraź sobie huragany czterokrotnie silniejsze od tych, które szaleją na

twojej planecie. Przewalają się przez Springworld pięć albo sześć razy do roku, zrównując z

ziemią wszystko, na co natrafiają. Stałe konstrukcje znajdują się u nas z konieczności pod

ziemią. Między sztormami uprawiamy i zbieramy *volmer*. To rodzaj porostu rosnącego w

szczelinach skał. Ciągłe musimy być niezwykle czujni, bo zagrażają nam nieustannie trzęsienia

ziemi, trąby powietrzne i zwierzęta, które z trudnością potrafiłbyś sobie wyobrazić.

- Mów dalej.

- Mamy wiele rodzimych zwierząt, Francisco, oraz kilka gatunków, które przedostały się na naszą planetę i zaadaptowały. Wszystkie są wielkie i groźne. Ten byk jest prawdopodobnie wielkości mojego domowego ulubieńca, jaszczura tnącego. Ale mój pupilek ma kły, kolce i pazury... i ja sam go oswoiłem.

- Dobra, ale wątpię czy ten twój pieszczonek był w pełni rozwinięty, gdy go poskramiałeś i wątpię, czy pokonał dwunastu mężczyzn, zanim ty przyszedłeś ze smyczą.

- To prawda. Był mały, niewiele większy od ciebie, gdy złapałem go gołymi rękami. Mógłbym powiedzieć, że w tym przypadku mam zaufanie do siebie.

- Mam nadzieję, że uzasadnione. - Potrząsnął: głową. - Jednak przekonamy się jutro.

My? Masz zamiar mi towarzyszyć?

- Oczywiście! Ktoś musi pozbierać to, co z ciebie zostanie.

IV

Przybyliśmy na Plaza de Toros wcześniej. Podpisałem kontrakt pełen najrozmaitszych zastrzeżeń, zwalniający każdego w zasięgu wzroku od odpowiedzialności za bezpieczeństwo mojego ciała i udałem się na miejsca gladiatorów - kilka siedzisk w pierwszym rzędzie.

Ogłuszanie i wywlekanie byków, czyli walki, na które czekałem, jeszcze się nie zaczęły. Ciągle Jeszcze trwały *corridas*. Było to fascynujące widowisko. Fascynujące, ale smutne. Chwilami delikatne i wdzięczne, chwilami brutalne. *Señor* Mendez wspominał, iż od dwóch tysięcy lat, bo tyle liczy sobie *corrida*, niewiele uległo zmianie. To nadawało jej pewien pogański, prymitywny charakter. W naszych czasach, zwłaszcza na Springworld i Hell, śmierć nie jest otoczona rytuałem o tak odległym rodowodzie.

Występujący w *corridas* zawodnicy ubrani byli w dziwaczne kostiumy (normalnie gladiatorzy walczą nago, tak przynajmniej było na Selvie) i zanim został zabity kolejny byk, odbywał się bardzo skomplikowany rytuał. Na początku, gdy wpuszczono byka na arenę, grupa mężczyzn, dosiadających olbrzymich zwierząt zwanych koźmi, prowokowała go, a gdy atakował ich konie, próbowała wbijać w niego włócznie. Te włócznie, zwane pikami, zanurzające się w ciało zaledwie na kilka centymetrów, miały za zadanie zmęczyć byka i jednocześnie doprowadzić go do szaleństwa. W końcu pojawił się nie uzbrojony matador i sprawił, że byk zaatakował jego pelerynę - duży kawałek czerwonego, sztywnego materiału trzymany z dala od ciała. Im bliżej matador pozwalał bykowi przejść obok własnego ciała, tym głośniejsze tłum wiwatował.

Jeśli o mnie chodzi to była najlepsza część widowiska. Ten mały facet musiał być w pewnym sensie odważny. Obejrzałem pół tuzina tych walk i nikt nie został nawet zraniony.

Zacząłem rozumieć, dlaczego *señor* Mendez powiedział, iż wymaga to tak wielu lat treningu.

Ostatnia część walki była najbardziej niebezpieczna. Była także najbardziej smutna. Był to tak zwany

moment prawdy, chwila, w której matador zabija byka. Trzyma szpadę schowaną za peleryną i gdy byk ją atakuje,

odkrywa szpadę i wbija w ciało zwierzęcia. Czasami musi to powtarzać kilka razy, zanim byk ostatecznie pada.

Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy z tego, że śmierć zwierzęcia może na mnie

wywrzeć takie wrażenie. Zabiłem ich przecież tysiące, broniąc siebie i chroniąc zbiory na

Springworld. Ale podczas tej ostatniej *corrida* zdecydowałem, że nie zabiję Muerte Vieja. Za nic.

Ciemnoskóry mężczyzna usiadł obok mnie.

- *Buenos dias*.

- Dzień dobry - odpowiedziałem po hiszpańsku. - Walczysz dzisiaj?

Głupie pytanie. Siedział przecież na ławce gladiatorów i był nagi jak i ja.

- Oczywiście. - Nie przestawał wpatrywać się we mnie. - Z pierwszym bykiem

Hermano de la Oscuridad. A ty?

- Z drugim. Muerte Vieja.

- Chryste Panie! Jak Mendez cię na to namówił?

- Nie musiał. Próbował nawet mnie od tego odwieść. Wzruszył ramionami.

- W porządku. Jesteś wystarczająco duży. Myślę, że jeśli ktoś może pokonać Muerte

Vieja, to tą osobą jesteś ty. Gdzie jest twoja *estoquita*?

- Nie mam.

- *Ai!* Chyba oszalałeś! Pałka to nie jest...

- Nie - powiedziałem - tylko peleryna.

Wypuścił ze świstem powietrze i potrząsnął głową.

- *Señor*, obawiam się, że masz więcej *cojones* niż mózgu.

- Kto nie ma? - Czuję się trochę zagubiony. Cóż? Lekki przypadek scenicznej tremy. - Mężczyzna

posiadający dwa mózgi wyglądałby bardzo dziwnie.

Zaśmiał się, chichocząc piskliwie. Myślę, że był równie zdenerwowany jak ja.

- Prawdę mówiąc, nie spodziewam się poważnych kłopotów. Wyrosłem na planecie pełnej olbrzymich, w

znacznej części dzikich zwierząt. Wcześniej nauczyłem się dawać sobie z nimi radę.

- Jaka to planeta?

- Springworld.

- Nigdy o niej nie słyszałem. Czy wszyscy na Springworld są tak potężnie zbudowani jak ty?

- Większość jest jeszcze większa. Gwizdnął znowu.

- Może go zatem pokonasz. Życzę ci szczęścia Na chwilę wróciliśmy do oglądania *corrida*. Wyciągano właśnie martwego byka. Matador obchodził arenę, dziękując ukłonami za oklaski. Trybuny zaczynały się powoli wypełniać. W większości zapewne byli to *turistas*, którzy przyszli oglądać prawdziwą walkę. Nas.

- Czy wiesz, dlaczego nazywają go Muerte Vieja? Skąd ma to przezwisko? - spytał mój sąsiad.

- Domyślam się, że zabił kilku ludzi.

- Wiele byków zabija ludzi. Ale tylko Muerte Vieja zabił sześciu. Połowę z tych, którzy z nim walczyli. A ci co przeżyli... cóż, oni już nigdy nie staną na arenie.

- Czy widziałeś kiedyś jego walkę? - spytałem.

- Tak, cztery. - Podrapał się po twarzy z kilkudniowym zarostem. - W trzech ostatnich gladiatorzy zmarli na jego rogach. Teraz już nikt nie chce z nim walczyć, nawet ci młodzi szaleńcy. Tylko ty. - Ton jego głosu wskazywał, że nie był to komplement.

Z jakiegoś powodu dotąd nie przyszło mi do głowy, aby się bać. Lecz nagle zdałem sobie sprawę z szelestu piasku przesypującego się na arenie, zapachu krwi, szorstkości drewna

ławki, na której siedziałem. Nagle wszystko przestało być zabawą, stało się prawdziwe.

Poczułem suchość w gardle, zimny pot na czole i wilgoć na dłoniach.

- Chcesz mojej rady? Mam za sobą więcej walk byków niż ty.

Nie wiem czy miało to brzmieć ironicznie, czy nie. Co więcej nawet mnie to nie obchodziło.

- Pewno. Każda rada się przyda.

- Po pierwsze, zapomnij o pelerynie. Muerte Vieja wie wszystko na jej temat, a jest bardzo mądrym bykiem. Nie będzie w ogóle na nią zważał, tylko zaatakuje bezpośrednio ciebie. Najlepiej mieć obie ręce wolne. - To była cenna informacja. Miałem zamiar walczyć sposobem, jakim u nas walczymy z młodymi jaszczurami. Peleryna by po prostu przeszkadzała. - Po drugie, zawsze trzymaj się jego prawej strony. Będzie próbował zahaczyć cię lewym rogiem. Jest prawie ślepy na prawe oko.

- Walczy zatem lewym rogiem, bo niedowidzi na prawe oko.

- Nie, *señor*, każdy byk zwykle preferuje jeden z rogów. Szkoda że człowiek, który sięgnął do jego oczu trafił w lewe. Gdyby to było prawe, byłby to koniec Muerte Vieja, zanim zdążyłby zapracować na to imię. A pięciu wspaniałych mężczyzn żyłoby nadal.

- Pięciu?

- Tak. Mężczyzna, który trafił go pałką w lewe oko, tkwił w tym momencie na jego lewym rogu. Róg wszedł mu w pachwinę i wyszedł powyżej pępka. Umarł, zanim zniesiono go z areny. Był ostatnim, który próbował walczyć z Muerte Vieja uzbrojony tylko w pałkę. Był moim przyjacielem, odważnym mężczyzną, który pokonał wiele byków.

Otrząsnąłem się. W co ja się wpakowałem?

- Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć?

- Hmm... Muerte Vieja jest stary, za stary jak na walki byków. Spróbuj przetrzymać go,

zmuszając do atakowania z daleka. Zrób to wiele razy. Rób unik przy każdym ataku, odskakuj i biegnij w przeciwnym kierunku. Zanim zatrzyma się i zawróci, będziesz na tyle daleko, że znowu zmuszony będzie atakować z większej odległości. Nie próbuj niczego stylowego ani brawurowego. Po prostu uciekaj od niego tak długo, aż go zmęczysz. *Turistas* tego nie lubią. 6 *cojones* (hiszp.) -jaja (przyp. tłum.).

Ale lepiej być wygwizdanym niż martwym.

- Płacą niezależnie od tego czy będą oklaski, czy nie?

- Właśnie. Chociaż wolałbym... wolałbym, żebyś miał *estoquita*. Przy twoich długich ramionach może udałoby ci się znaleźć lukę i zabić tę bestię. To jest szlachetne zwierzę, zawsze przykro jest patrzeć, gdy ginie ktoś odważny. Jednak może zabić następnych sześciu, zanim będzie za stary, aby jeszcze walczyć. A tylko młodzi chłopcy stają przeciwko niemu, zdesperowani, początkujący. Zbyt wielu jeszcze ich może umrzeć na tym piasku.

Było już późne popołudnie i zaczynało się robić szaro. Cienie kładły się na arenie.

Nagle zabłyśły światła, a głośnik zahuczał po angielsku: Panie i panowie! Walki gladiatorów rozpoczynają się za piętnaście minut. Pierwszą parę stanowią Octavio Ramirez, weteran czternastu walk, przeciwko bykowi Hermano de la Oscuridad, dla którego jest to trzecia walka.

Tylko peleryna. Potem spiker powtórzył zapowiedź po hiszpańsku i w pan-swahili.

- Ty także nie używasz broni.

- Nie, ale Hermano nie jest Muerte. Tego jestem pewien.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę o walkach byków, o obu rodzajach. Octavio chciał niegdyś zostać matadorem.

W końcu z głośników zagrzmiały fanfary, sygnalizując, że walka wkrótce się zacznie.

Otwarto wrota i Hermano wgalopował na arenę. Był mniejszy od byków, które występowały w *corrida*. Octavio wyjaśnił, że takie zwykle występują w tego rodzaju walkach. Mężczyźni na

koniach, zwani pikadorami, czekali już na byka. Tym razem jednak zarówno konie, jak i ludzie zamiast barwnymi strojami okryci byli lekkimi, plastikowymi zbrojami. Octavio z wielkim skupieniem oglądał byka szarżującego na konie. W ten sposób, powiedział, można przewidzieć, jak byk będzie reagował, gdy staniesz samotnie naprzeciwko niego.

Pikadorzy wbili w byka około tuzina pik i zjechali z areny. Octavio przeskoczył przez ścianę dzielącą nas

od areny.

- Życz mi szczęścia, Carl!

- *Buena suerte*, Octavio!

Pomachał ręką i pobiegł na spotkanie byka. Sędzia obserwował ich bardzo uważnie.

Trzymał gotowy do użycia sztucer załadowany pociskami usypiającymi. W wypadku gdyby

Octavio został ranny, co oznaczałoby również koniec pojedynku, mógł powalić byka jednym

strzałem, by lekarze mogli bezpiecznie zająć się Octaviem. Niestety, zbyt często pociski nie

działały natychmiast albo gladiator był zraniony zbyt poważnie, by miało to jakiegokolwiek

znaczenie. Ale Octavio nie wyglądał na wystraszonego. Zatrzymał się około dwudziestu stóp

od byka i machnął na niego peleryną. Hermano spoglądał na Octavia bez szczególnego

zainteresowania do momentu, gdy zobaczył pelerynę. Wtedy ruszył gwałtownie, w połowie

drogi przechodząc w galop.

Octavio stał pewnie i pozwolił bykowi przebiec kilka cali od swego ciała, prowadząc

bestię z gracją powolnym, półkolistym ruchem peleryny. Wiedziałem już, że ten ruch nazywa

się “veronica”, klasyczny manewr mający ponad tysiąc lat. Tłum wybuchnął oklaskami, gdy

byk prześlizgnął się tuż obok Octavia. Hermano wyhamował tak gwałtownie, aż nim zarzuciło.

Zawrócił i zaatakował ponownie. Zwierzę powtórzyło to kilka razy, aż wreszcie czyniąc

wrażenie zdegustowanego, odeszło. Hermano oparł się o ścianę, nie wiadomo, zmęczony czy

znudzony.

Octavio zbliżył się, stanął naprzeciwko, machnął peleryną. Podszedł jeszcze bliżej i zamachał ponownie. Nic. Jeszcze bliżej i nagle Hermano skoczył na niego. Octavio odsunął pelerynę, ale byk nie dał się zwieść i biegł prosto na gladiatora. Octavio zorientowawszy się w sytuacji, zarzucił pelerynę bykowi na oczy i odskoczył w bok. Zauważyłem, że sędzia podnosi sztucer i zaczyna celować. Lecz byk nie trafił i przebiegł dobre dwanaście metrów, zanim zatrzymał się i odrzucił pelerynę, potrząsając głową. Teraz Octavio musiał walczyć bez niej. Wyobrażałem sobie, że nie zrobi mu to wielkiej różnicy, byk był przecież wyraźnie “mądry”. Octavio przesunął się do środka areny, a Hermano obserwował go, skręcając powoli swój potężny łeb.

Naraz byk gwałtownie zaatakował. Octavio wysunął nogę, skulił się, czekał. Gdy byk znalazł się zaledwie kilka stóp od niego, podskoczył i dotykając grzbietu zwierzęcia, wykonał nad nim salto. Wylądował na nogach i zakręcił się. Byk szarżował dalej, rzucając łbem. W końcu zatrzymał się i spoglądał na boki zadziwiony. Tłum wybuchnął śmiechem. Octavio krzyknął i byk obejrzał się. Zatoczył powoli małe kółeczko i zaatakował znowu. Ta sama sztuczka powtórzyła się jeszcze pięć razy. Widać było, że Hermano zaczyna być zmęczony. Po każdej kolejnej szarży, coraz więcej czasu zabierał mu nawrót. Chyba Octavio również zaczynał odczuwać zmęczenie. Za szóstym razem skoczył za wcześnie i wylądował zamiast na grzbiecie byka - na jego głowie, a Hermano wyrzucił go w powietrze. Octavio upadł na brzuch i nie ruszał się. Hermano zahamował, zawrócił i pognął na niego z nisko pochylonymi rogami. Strzelba szczęknęła, byk jednak gnał dalej, w końcu potknął się i zwałił jak kłoda nie dalej niż dwa metry od Octavia.

Dało się słyszeć olbrzymie westchnienie ulgi, a potem oklaski.

- Panie i panowie - odezwały się głościki. - Chociaż *señor* Ramirez został pokonany przez byka Hermano i nie przysługuje mu normalne wynagrodzenie, sędziowie zdecydowali

przyznać mu pięćset pesos za niezwykłą zręczność i walory widowiskowe.

Turistas wiwatowali, a ja patrząc na Octavia rozciągniętego na piasku miałem wrażenie, że moje siedemset pięćdziesiąt pesos to nie tak dużo.

- Następny pojedynek, panie i panowie, będzie szczególnym wydarzeniem. Po raz pierwszy w Guadalajara, a prawdopodobnie po raz pierwszy na świecie, jeden z olbrzymich supermanów ze Springworld będzie walczył, tylko z peleryną w ręce, przeciwko bykowi, ale nie zwykłemu bykowi, lecz, panie i panowie, przeciwko słynnemu i przerażającemu Muerte Vieja!

Oklaski. Wcale nie czułem się jak "olbrzymi superman". Po prostu zaczynałem się bać.

- A więc za piętnaście minut Carl Bok ze Springworld w swojej pierwszej walce przeciw Muerte Vieja, dla którego Jest to trzynasta walka. Sto sześćdziesiąt dwa kilogramy ludzkich mięśni i sprytu przeciwko czterystu pięćdziesięciu kilogramom "mądrego" byka.

Zakłady są przyjmowane przez roboty.

Ciekaw byłem, ile wynoszą stawki. Ale nie byłem pewny, czy chcę się tego dowiedzieć.

Medycy wynieśli Octavia, a elektryczny traktor wyciągnął śpiącego byka. Z ukrytych przewodów trysnęła mgiełka wodna likwidująca unoszący się nad areną kurz. Po kilku minutach wjechali pikadorzy. Zabrzmiały fanfary i Muerte Vieja grzmiąc kopytami, wbiegł na arenę. Czyżby Octavio rzeczywiście wspominał, że te byki są mniejsze? Ha! Ten wyglądał na bardzo dużego, i bardzo groźnego. Z miejsca skierował się na najbliższego konia, ale zwołnił i zatrzymał się poza zasięgiem piki pikadora. Pamiętał! Pikador zmusił konia do zbliżenia się, ale byk utrzymywał się poza zasięgiem jego broni. Wyglądając raczej na przebiegłego niż przestraszonego, wycofywał się przez pół długości areny. Któryś z pikadorów okrążył go i od tyłu wbił swoją pikę. Muerte zaryczał, okręcił się i rogami zahaczył okryty zbroją brzuch konia. Podrzucił głowę i uniósł zwierzę z jeźdźcem prawie metr nad ziemię. Wydawało się, że przez krótki moment zawisli nieruchomo, po czym runęli na ziemię z chrzęstem plastikowej zbroi. Pikador przeleciał nad głową konia i zarył głową w piasek. Próbował wstać, gdy Muerte Vieja wpadł na niego od tyłu. Podrzut i mężczyzna znów leciał w powietrzu, wirując jak szmaciana lalka. Koń podniósł się i odszedł, kuśtykając na trzech nogach. Muerte Vieja nawet na niego nie spojrzał, tylko podbiegł i pochwycił na rogi człowieka, zanim ten zdążył spaść na ziemię. Natychmiast ponownie wyrzucił go w górę, lecz inni pikadorzy otoczyli go tak, że nie mógł dłużej znęcać się nad swą ofiarą. Kłuli go bezlitośnie, podczas gdy wyrzucony z siodła i pozbawiony konia jeździec pełzł ku bezpiecznemu schronieniu. Wyglądało na to, że pomimo zbroi, którą posiadał, byk nie tylko pozbawił go oddechu na krótki moment. Pomimo to chętnie zamieniłbym się z nim miejscami.

Wbili w niego jeszcze ze trzydzieści pik, zanim sformowali linię i dumnie zjechali z areny. Przegroda oddzielająca nas od areny skrzypnęła i niemal ugięła się, gdy przeskakiwałem nad nią. Kolana trzęsły mi się ze strachu tak, że niemal upadłem. Zanim odzyskałem

równowagę, byk przebył już połowę dzielącego nas dystansu. Czuję uderzenia jego kopyt w ziemię. Stosując się do rady Octavia, stałem tak spokojnie, jak tylko mogłem do chwili, gdy Muerte Vieja znalazł się kilka metrów ode mnie. Wtedy odskoczyłem w lewo i ruszyłem biegiem. Poczuję podmuch powietrza, gdy byk przebiegał za moimi plecami i usłyszałem głośny trzask rozłupywanego drewna. Spoglądając ponad ramieniem, zobaczyłem, że byk wpadł w ogrodzenie, a jego rogi ugrzęzły w drewnie. Uwolnił się jednym szarpnięciem głowy, wyrzucając na boki kawałki desek. Podbiegłem jeszcze kilka kroków, zatrzymałem się i odwróciłem, stając twarzą do niego. Zdażył już rozpocząć atak. Przygotowałem się do skoku. Znowu pochylił głowę, próbując nadziać mnie na swój lewy róg, gdy po moim skoku przebiegał z łoskotem tuż obok mnie. Przebiegłem sprintem sto metrów - w końcu żaden problem przy ziemskim przyciąganiu - i obróciłem się. Tym razem nie pobiegł za mną. Stał tam, patrząc na mnie. Gdy zatrzymałem się, podbiegł wolnymi krokami i stanął w odległości dziesięciu metrów. Jego oddech przypominał zgrzyt papieru ściernego, a pysk miał wypełniony białą pianą. Strumyczki krwi, brązowej od kurzu sączyły się z ran zadanych przez pikadorów. Wpół zasunięta powieka przysłaniała jego chore oko pokryte mlecznobiałą błoną. Koniec jednego z rogów był ułamany i kończył się sterczącymi drzazgami zamiast ostrym czubkiem. Kopytami rozgrzebywał piasek, a prawe ucho drgało nieustannie. Nawet z tej odległości śmierdział mieszaniną wilgotnej sierści i zepsutego mięsa.

Zaatakował. Sprężyłem się i skoczyłem, ale tym razem nie dał się zwieść ani trochę. Poczuję ostry ból w nodze, obróciłem się niezgrabnie i upadłem na twarz, próbując podeprzeć się ramieniem. Otarłem oczy z piasku i niepewnie stanąłem na nogach. Jasnoczerwona krew tryskała z mojej łydki. Sędzia podniósł sztucer, ale nie strzelał. Zbyt późno zdałem sobie sprawę, że powinienem pozostać na ziemi. To mogło przerwać walkę. Muerte Vieja potknął się zawracając - był już zmęczony - i rozpoczął kolejną szarżę.

Nie mogłem już skakać, czekałem więc, a gdy podbiegł wystarczająco blisko, zrobiłem krok w bok, chwyciłem za róg i wskoczyłem mu na grzbiet dokładnie tak, jak to robiłem, gdy miałem do czynienia z jaszczurami. Ścisnąłem go nogami i pogalopowaliśmy. Kurczowo trzymałem się jego karku, podczas gdy on wierzgał i rzucał łbem, próbując sięgnąć mnie rogami. Zmierzał w kierunku ściany i wiedziałem, że zmiażdży mnie, jeśli czegoś nie wymyślę. Gdy kolejny raz rzucił łbem, pochwyciłem oburącz rogi i całym ciężarem ciała skręciłem jego łeb w jedną stronę. Róg utkwiał w ziemi, wyrzucając fontannę piasku. Coś trzasnęło.

Leciałem w powietrzu, jak mi się wydawało całkiem długo, potem jeszcze długą chwilę szorowałem piersiami po piasku, zanim się zatrzymałem. Spróbowałem się podnieść, upadłem, uniosłem się znowu i obejrzałem. Muerte Vieja leżał na boku wstrząsany drgawkami. Kilka razy kopnął piasek tylnymi nogami i znieruchomiał. Tłum gwizdał i tupał. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle. Podszedłem do byka i zrozumiałem, co go zabiło. Jego róg orząc piasek, zahaczył o rurę zagrzebaną pod powierzchnią - część instalacji używanej do zwilżania piasku między walkami. Przy pełnej szybkości taki wstrząs musiał złamać mu kark.

Dwóch biało ubranych medyków oraz mężczyzna w garniturze weszli na arenę.

Mężczyzna wręczył mi czek na siedemset pięćdziesiąt pesos, mówiąc szybko po hiszpańsku coś, czego w ogóle nie rozumiałem. Medycy natomiast sprowadzili mnie z piasku do szpitalika. Tłum nadal ryczał, a ja starałem trzymać się prosto.

Położono mnie na stole - łóżka były zbyt małe - i zajęto się moją nogą. Na jednym z sąsiednich łóżek leżał Octavio, ciągle jeszcze nieprzytomny. Drzwi otworzyły się i wszedł Francisco.

- Carl! Wszystko w porządku?

- Wspaniale. Krwotoki to przecież moje hobby.

- Proszę się nie obawiać, señor - powiedział jeden z medyków. - Wyjdzie pan stąd w

ciągu pół godziny. Wyleczyliśmy już z milion takich małych *cornadas* 7.

- Francisco, czy poszło dobrze? Jak wyglądałem?

- Mów do mnie Pancho, człowieku. Nie słyszałeś głośników?

- Nie.

- Nazwano to jednym z największych... uśmierceń, jakie widziano w Guadalajara. Chcą cię widzieć znowu.

- Dziękuję, nie skorzystam. Sądzę, że wykorzystałem swój limit byków.

- Też tak myślę.

Obserwowaliśmy lekarzy opatrujących moją nogę. Spryskali ją czymś zimnym, co uśmierzyło ból i założyli plastikowe klamry ściągające brzegi rany. Potem jeden wymieszał w miseczce mięśnioplast i nałożył na ranę.

- Zdejmujemy klamry, gdy tylko mięśnioplast wyschnie. Będzie bolało przez dzień lub dwa, potem opatrunek złuszczy się i noga będzie jak nowa.

- Proszę. - Wręczył mi małą fiolkę z pigułkami.

- Proszę nie brać więcej niż cztery dziennie.

- Czy nie powinien tego zobaczyć lekarz? Zaśmiał się.

- Z powodu takiego małego zadrapania? Nie, señor. Lepiej niech pan zje kilka dużych krwistych steków, aby pomóc organizmowi uzupełnić krew, którą pan stracił. Po co płacić lekarzowi tylko po to, żeby dowiedzieć się, że jest pan zdrowy.

- On ma rację, Carl - powiedział Pancho. - Ziemia może nie chwali się tym głośno, ale jeśli masz już chorować, to tylko tutaj. Nawet Paradise przysyła tu ludzi, aby uczyli się ziemskiej medycyny.

Po piętnastu minutach zdjęli mi klamry i usiłowali znaleźć odpowiednią dla mnie laskę.

Mieli ich niezłą kolekcję, ale żadna nie była wystarczająco długa.

Połknąłem zatem pigułkę i kuśtykając odszedłem. Zanim dotarliśmy do metra, ból prawie przeszedł. Prawie.

- Dobra, Carl. Mam nadzieję, że byk ostatecznie wbił ci trochę rozumu do głowy. To był ładny gest, ale...

- Nie chodzi o gesty. Mam ciągle zamiar spłacić dług. Co do peso.

- Ale przecież powiedziałaś!

- Powiedziałem, że nie mam już zamiaru walczyć z bykami. I nie będę. Te zwierzęta są hodowane na walki od ponad dwóch tysięcy lat. I stały się w tym dobre. Chcę walczyć z normalnymi, dzikimi zwierzętami. Nie wiesz, czy mają tu jakieś gady, takie jak na przykład jaszczury? Z jaszczurami dałbym sobie radę.

- Nie, tego nie wiem. Ta planeta jest tak przeludniona, że wątpię, czy są tu Jakikolwiek inne zwierzęta poza tymi przeznaczonymi na spożycie.

- Czy wiesz, co powiedział Octavio, ten maty facet, który walczył przede mną?

Powiedział, że byki zabite na arenie są zjadane. Może są inne rodzaje zwierząt, z którymi postępują podobnie?

- Może. Trzeba popytać.

- Tak... Znam nawet właściwe miejsce. Pancho wyszczerzył w uśmiechu zęby i zatarł rękę.

- Dobra, tylko nie wyłączaj mnie z tego. Jak już powiedziałem, ktoś musi ci towarzyszyć, aby pozbierać szczątki.

7 *cornadas* (hiszp.) - rany klute (przyp. tłum.).

VI

Plaza de Gladiadores wyglądał nocą zupełnie inaczej. Nie to, żeby było więcej ludzi niż w ciągu dnia, ale teraz wszyscy chyba byli na zewnątrz. Było gorąco, więc raczej trudno było ich za to winić. Na zewnątrz byli również wszyscy muzycy, było głośno, było świątecznie. Plac tonął w mroku oświetlany przez nieliczne latarnie. Głównym źródłem światła były płonące tu i ówdzie długie pochodnie. Unosił się wspaniały zapach smażonego mięsa. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem głodny.

Przed jedną z tawern przygotowywano właśnie olbrzymi kawał mięsa, opiekając go na żarzących się węglach. Kelnerzy wbiegali i wybiegali, balansując olbrzymimi tacami z piętrzącymi się na nich górami jedzenia. Tace były niemalże tak duże jak kelnerzy, a jedzenie wyglądało wspaniale.

- Więc to tutaj spędziłeś dzień - powiedział Pancho. - Żałuję, że również nie odpuściłem zwiedzania muzeum.

Usiedliśmy przy małym, plastikowym stoliku pod olbrzymim dębem. Zbliżył się kelner. Zamówiliśmy coś do picia i mięso. Napoje miały być mocne, a mięso na wpół surowe.

- Co teraz? - spytał Pancho. - Będziemy tu siedzieli, aż... - przerwało mu nagłe, głucho uderzenie zakończone cichym, niskim brzdękiem. Sztylet wbił się w drzewo między naszymi głowami. Zdawał mi się dziwnie znajomy.

- Szajs, Springer! Ty ciągle tutaj - poznany po południu Hellerianin zbliżał się buńczucznym krokiem. Podeszedł, wyciągnął z drzewa swój nóż i usiadł. - Nie możesz nasycić się tym lokalnym kolorytem, co?

W kilku słowach opowiedziałem mu o swojej walce. Słyszał o Muerte Vieja, ale nigdy nie widział go w akcji. Obejrzał dokładnie świeżą ranę na mojej nodze.

- Chcesz przestać walczyć z bykami z powodu takiego zadrapania? Szajs! Widziałem

już ludzi nadzianych na rogi, którzy mimo to wrócili.

- Do diabła! Nie! - wykrzyknął z pasją Pancho tonem, którego obawiałbym się użyć przeciwko takiemu gościowi. - Carl chce po prostu spróbować z innymi zwierzętami. Byki...

- No taa... - wymamrotał Hellerianin, skrywając śmiech. - Powinienem wiedzieć... Na takiego wielkiego faceta jak ty wielki byk to za mało. Dokąd się wybierasz? Do Houston?

- Jeszcze nie wiem. Po to tu wróciłem. Chcę dowiedzieć się, z czym jeszcze można walczyć.

- Słyszeliście coś o Houston, o Morzu Houston? - Obaj potrząsnęli przecząco głowami. - *Tiburones!* To jest to! Nigdy nie widzieliście walk *tiburon*?

- Co to za zwierzę? Jak to jest po angielsku? - pytał Pancho.

Wynikało z tego, że na Selvie też ich nie znają.

- Rekiny! człowieku, *tiburones!* Wielka, olbrzymia ryba! Rekiny, rzędy zębów, wielkich zębów! Wspaniała zabawa!

- Ile płacą za zabicie takiego rekina? Zaśmiał się.

- Człowieku! Nie należy ich zabijać. Prawdopodobnie posiekałyby cię na kawałki, jeśli zabiłbyś jednego. Masz jedynie pozostać żywy. Wydaje mi się, że dają trzysta pesos za minutę.

- Ludo...jady? - wykrztusił Pancho.

- Tak jest! Masz rację człowieku, cholerną rację. - Podniecił się tą myślą. - Zjadają ludzi, zjadają ryby, zjadają siebie nawzajem! Pożerają wszystko! Słyszałem, że potrafią pożreć kawałek plastiku wielkości dwa na cztery, jeśli są wystarczająco głodne. A głodne są zawsze.

- Jakie są duże?

- Są różnych rozmiarów. Od małych, wielkości twojego ramienia, do dużych, dwukrotnie większych od ciebie. I ludzie, mówię wam, one są ciągle głodne.

- A broń?

- Zadne. Tylko pieprzona wibropałka.

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco. Na Springworld łowimy ryby, polujemy nawet na nie pod wodą, ale one nigdy nie polują na nas. W naszych jeziorach i oceanach nie żyje nic mięsożernego wielkości człowieka. Poza tym nie byłem pewny, czy potrafię walczyć pod wodą.

- Hmm... Sam nie wiem... - powiedziałem. - Czy znasz jakieś miejsce, gdzie odbywają się walki z jaszczurami?

Zarechotał radośnie.

- Jaszczurki? Te małe, zielone gnojki? Z iloma naraz chcesz walczyć? Z tysiącem? Z milionem?

- Zatem nie macie.

- Nie, człowieku. - Upił łyk wina. - A co, macie tam u was na Springworld jaszczurki na tyle duże, by z nimi walczyć?

- Większe niż twoje *tiburones*. Masa zębów, długie pazury... Uniósł brwi.

- Zatem nie masz się o co martwić. Te rekiny... one wyglądają paskudnie... i w ogóle, ale wystarczy

wałnąć wibropałką w czubek nosa i odpływają. Prawie wszyscy wychodzą z tego cało... Prawie.

Spojrzałem na Pancho.

- Myślę, że spróbuję. Potrząsnął głową.

- Myślę, że spróbowałbyś, nawet gdybyś nie umiał pływać. Dobry Boże!

* * *

Morze Houston znajdowało się dwa tysiące kilometrów od Guadalajara, pięć tysięcy od Chimbarazo. Aby zaoszczędzić pieniędzy (w końcu moich), poleciliśmy promem do Guadalajara, a stamtąd airbusem do Houston. Niewiele zaoszczędziliśmy. Podróże na Ziemi są niezwykle tanie. Transport publiczny jest dofinansowywany z podatków, które tu zdają się

płacić wszyscy. Był to “specjalny, turystyczny rejs”, mieliśmy zatem w powietrzu wiele czasu, aby poczytać przewodniki. Morze Houston jest rodzajem naturalnego pomnika upamiętniającego wielki zwrot w historii ludzkości - moment, w którym narody starej epoki atomu odeszły z wielkim hukem, a wkroczyła Alianca, aby wypełnić próżnię powstałą we władzach planety. Morze Houston było niegdyś kawałkiem lądu zwanym Texas. Duży port - Houston był śródlądowym miastem o nazwie Oklahoma City.

Houston spodobało mi się znacznie bardziej niż jakiekolwiek widziane dotąd ziemskie miasto. Podobało mi się z jednego powodu - wszyscy mówili tu po angielsku. Nie było zatłoczone, nie było brudne, a słony zapach morskiego powietrza można było wyczuć w całym mieście. “Show rekinów” organizowany był przez firmę Rozrywka Podwodna sp. z o.o. Mieścili się w wieżowcu tuż przy nadbrzeżu, w starym budynku do połowy skrytym pod wodą. Pierwszego rekina ujrzeliśmy, gdy przesuwaliliśmy się nad wodą krytym chodnikiem łączącym wieżowiec z lądem.

- Tam jest jeden! - Wskazał na lewo Pancho.

Płynął wzdłuż, tuż pod powierzchnią, z płetwą wystającą z wody. Był szary, niewiele mniejszy ode mnie. Robił wrażenie twardziela. Całkiem duży jak na rybę!

- Byłby spory obiadek - powiedziałem, śmiejąc się nerwowo.

- Dla ciebie czy dla niego? - zapytał Pancho. Obaj zapatrzyliśmy się na płetwę gładko rozcinającą wodę. Nie odpowiedziałem mu. Ponieważ wcześniej przez wizjofon umówiłem spotkanie, oczekiwano już mnie. Młody człowiek w recepcji skierował nas windą na poziom “minus dwa” - dwa piętra pod wodą.

Wychodząc z windy, stanęliśmy na wprost przezroczystej ściany. Zatkąło nas na chwilę. Zamarliśmy w bezruchu, wpatrując się przed siebie. Nawet nie próbowałem policzyć, ile ich znajduje się po drugiej stronie szyby. Większość miała może z metr, może trochę mniej.

Ale było pięć albo sześć sztuk wielkości tego, którego ujrzeliśmy u góry. Wszystkie robiły wrażenie głodnych. Było w nich coś dziwnego. Były w ciągłym ruchu, nie zatrzymywały się, nie odpoczywały. To sprawiało, że nie przypominały ryb, ale niezwykle sprawne maszyny do pożerania. Na Springworld spędziłem wiele czasu, obserwując ryby. Ale wszystkie ryby, które widziałem większość czasu spędzały, unosząc się po prostu w jednym miejscu, ruszając spokojnie płetwami, jakby odpoczywały albo rozmyślały. Te stwory natomiast bezustannie krążyły, znikwały z pola widzenia i pojawiały się znowu, jakby ciągle czegoś poszukiwały. Prawdopodobnie lunchu.

Posiadały jednocześnie ten przerażający rodzaj piękności - mieszaninę gracji ze złem: wielkie, nieruchome oczy i olbrzymi, półksiężycowaty pysk. Jeden podpłynął bliżej. Częściowo otwarta paszcza była pełna trójkątnych, groźnie wyglądających zębów.

- Niezły widok, co chłopcy?

Odwrociłem się zaskoczony. Był to mężczyzna, z którym rozmawiałem przez wizjofon.

Rozpoznałem jego krzykliwą, czerwonokrwistą tunikę. Mr Delavore.

- Zapewne Mr Bok? - Swoją drobną ręką pochwycił moją prawicę i potrząsnął nią kilkakrotnie w górę i w dół. Odwrócił się do Pancho: - i pan...

- Bolivar - odpowiedział Pancho.

- Dobrze, dobrze - przedstawiając się, Delavore identycznie potraktował rękę Pancho. -

Zapewne jest pan partnerem Mr Boka. Proszę za mną, panowie.

Podążyliśmy zanim. Poprzez jedne drzwi, długim korytarzem do drugich opatrzonych tabliczką z jego nazwiskiem, przez pusty przedpokój do eleganckiego, kosztownie wyposażonego biura.

- Siadajcie panowie, proszę bardzo. - Stał za biurkiem.

Pancho zatonął w głębokim fotelu, na którego poręczy skromnie się usadowiłem. O

dziwo, nie załamał się pode mną. Delavore usiadł również i postukał palcami o powierzchnię biurka, studiując je przez dłuższą chwilę. Niespodziewanie zmarszczka pojawiła się na jego czole, chrząknął.

- Nie jest moim zadaniem odradzanie młodym ludziom wstępowania do naszego zespołu "Show rekinów". Ale muszę mieć pewność, zanim ktokolwiek podpisze cokolwiek, że wie dokładnie, w co się pakuje.

- Wiem, że to niebezpieczne - powiedziałem, starając się ułatwić mu zadanie.

- Ale pochodzi pan spoza Ziemi. Obaj jesteście z zewnątrz. Czy widzieliście panowie już nasz show?

Oczywiście nie widzieliśmy.

- Tak też myślałem. Nasza koncesja na prowadzenie tej działalności rozciąga się poza Ziemią tylko na jedną planetę. No, ale oczywiście żaden z was nie pochodzi z Hell. Walczyć z rekinami, cóż... - Z szuflady biurka wyciągnął dwa przedmioty i położył je na blacie. Broń. - Zapewne widzieliście już wibropałki?

Ja nie widziałem. Był to metalowy pręt około 1/3 metra długi, z drewnianą rączką i paskiem na nadgarstek.

- Nie bierzcie tego. Decyzja należy oczywiście do was, ale radzę wam, nie bierzcie ich ze sobą. Najgorsza rzecz, jaką możecie zrobić, to zranić rekina. Ranny rekin szaleje i jeśli do tego doprowadzicie, nie macie żadnych szans. - Odłożył pałkę. - To jest dla widzów i samobójców. Dostaniecie podwójną zapłatę, ale najprawdopodobniej ominie was przyjemność wydania tych pieniędzy. Oto co powinniście użyć. - Wyciągnął z szuflady inny przedmiot. - To *billy* na rekiny.

Billy na rekiny był plastikowym kijem około metra długości z płaską płytką na jednym z końców. W płytce tkwiły małe gwoźdźki sterczące pod różnymi kątami.

- Używa się tego do odpychania rekina - powiedział, demonstrując równocześnie ruch. -

Małe gwoździe nie ranią go, są po to, by *billy* przylegał, nie ześlizgiwał się po jego skórze.

Mam tutaj parę taśm, na których zobaczycie, jak się tym posługiwać.

Odsunął zasłonę za swoim biurkiem, odsłaniając olbrzymi ekran holowizyjny.

Obejrzelismy kilka taśm demonstrujących sposób użycia *billy*. Nie wydawało się to trudne.

Kiedy rekin podpływa zbyt blisko, szturchasz go tym w nos i odpychasz. Żadna z taśm nie pokazywała jednak walki indywidualnej. Zawsze były to dwie osoby zwrócone do siebie plecami.

- Czy jest różnica w stosowaniu *billy*, gdy walczy się samotnie, bez partnera? -

spytałem.

- O! Jeśli tylko jeden z partnerów zostanie zraniony, natychmiast staramy się wyciągnąć obu. Nie ma...

- Nie to! Mam na myśli walkę indywidualną.

- Indywidualną?! - Wyglądał najpierw na zaskoczonego, potem na zdziwionego. A

jeszcze później zaśmiał się. - Nie! Nikt nie walczy samotnie. Nigdy! Jeśli tylko pozostawisz swoje plecy bez ochrony, błyskawicznie uderzą od tyłu. Zaczną śniadanie od nerek.

- Ale ja zamierzam...

- Panie Delavore - przerwał mi Pancho. - Niekiedy ten wielki cymbał potrzebuje dużo czasu, żeby zaskoczyć. Oczywiście ja będę j ego partnerem.

- Pancho! - osłupiałem. - Nie możesz tak ryzykować!

- Nic nie ryzykuję. I nie mam zamiaru dać się pozbawić tak świetnej zabawy.

- Zabawy...? cóż... Zanim podejmiecie ostateczną decyzję, chciałbym, żebyście obejrzelі jeszcze jedną taśmę.

Zaczynała się tak jak pozostałe z tą różnicą, że jedną z osób walczących była kobieta.

Unosili się w klatce, której ciasno osadzone w stalowej ramie metalowe pręty chroniły ich przed rekinami. Opuścili ją, gdy klatka osiągnęła poziom kamery. Każde miało doczepione do pasa z ciężarkami kilka świeżo zabitych ryb. Rekiny zwykle nie atakują ludzi, one atakują przynętę, a ludzie stoją im po prostu na drodze. Po wypłynięciu przyjęli zwykłą pozycję, tj. plecami do siebie. Może z pół tuzina małych rekinów zaczęło krążyć wokół nich. Wtedy odrzucili swoje billy i pochwycili się za ręce.

- Do tej chwili - westchnął Delavore - nikt z nas nie domyślał się, że w ten sposób chcą popełnić samobójstwo.

Zanim opadające billy zniknęły z pola widzenia, uderzył pierwszy z małych rekinów.

Nieprawdopodobnie szeroko rozdziawiwszy pysk, zaatakował rybę u paska kobiety. Widać

było zęby zagłębiające się w jej brzuchu, zahaczające o pas. Zaczął szarpać, wgryzać się

głębiej, ona tymczasem próbowała odepchnąć go słabymi ruchami rąk. Wtedy nagle u dołu

pojawił się olbrzymi, większy ode mnie, paskowany rekin i nie zwracając uwagi na ludzi

pochwycił w paszczę połowę małego drapieznika, wyraźnie mając zamiar połknąć go całego.

Ten jednak bardzo mocno zacisnął zęby na dziewczynie i w miarę jak dwie ryby parły do góry,

zaczęły rozrywać jej ciało. Ludzie zniknęli w kłębach krwi i już nie było nic więcej - tylko

rekiny, tuziny rekinów miotających się we wszystkich kierunkach. Mroczna scena o

nieprawdopodobnym okrucieństwie. Skręcające się rekiny, odpychające się od ofiar, walczące

ze sobą o ich szczątki.

- No dosyć. - Obraz zniknął.

- Takie rzeczy zdarzają się często?

- Nie, na pewno nie. Rekiny wyglądają groźnie i jakkolwiek pojedyncze wypadki, takie

jak ten, robią wrażenie, to w rzeczywistości boją się ludzi, w każdym razie większość. I są

ostrożne z natury. - Zasłonił z powrotem ekran. - Według naszych statystyk człowiek nie

wyszkolony, jeśli umie pływać z akwalungiem i jest w rozsądny sposób ostrożny, ma mniej niż dwa procent szans na to, że zostanie zraniony w trakcie pokazu.

- Ale te dwa procent to jest właśnie to, na co czekają ludzie - stwierdził Pancho.

Delavore poczerwieniał, wzruszył ramionami.

- Być może. Nie prowadzimy takich analiz.

- Jeśli już zostanę ugryziony - spytałem - na ile to będzie groźne?

Wahał się chwilę, po czym spojrzał wprost na mnie.

- Zginiesz, najprawdopodobniej zginiesz. - Nie robił wrażenia, że próbuje sfalszować statystykę. - Nie mam zamiaru wprowadzać was w błąd co do niebezpieczeństwa. Pojedynczy rekin raczej was nie zabije. Zwykle, gdy ludzie zostają zaatakowani przez rekina, nie podczas spektaklu, ale na zewnątrz, nie kończy się to gorzej niż utratą kończyny albo dużego kawałka ciała. Jeżeli tylko zdołają przeżyć szok, mogą udać się do kliniki regeneracyjnej. Ale większość to ofiary pojedynczego rekina. A w pobliżu naszych kamer są ich dosłownie setki. Jeśli tylko zaczniesz krwawić, przyciągniesz każdego rekina w sąsiedztwie. Nawet jeśli jesteś dokładnie tuż ponad klatką jest mało prawdopodobne, że zdążysz znaleźć w niej schronienie. Jak widzieliście, potrafią poruszać się bardzo szybko.

- A zatem, Carl? - spytał Pancho.

- Cóż, ja wchodzę w to dla pieniędzy, ale ty?

- Ma pan więc parę na kolejną walkę, Mr Delavore.

Nigdy nie próbuj nawet zrozumieć mieszkańca Selvy!

VII

Wyposażono nas obu w butle z powietrzem, dla Pancha dodatkowo znalazły się jakieś płetwy. Dla mnie nie. Moje stopy były większe od największych płetw, którymi dysponowali. Otrzymaliśmy pasy, dla mnie dwa, oraz billy. Zdecydowaliśmy, że nie jesteśmy na tyle szaleni, by brać wibropałki.

Przez pół godziny ćwiczyliśmy unoszenie się i pływanie w chronionej strefie basenu.

Było to jak ćwiczenia w stanie nieważkości na sali gimnastycznej Starschool. Nie można się było spocić. Po skończeniu czekaliśmy do siódmej w “pokoju odpraw”. Było to zimne, wilgotne pomieszczenie, jakże różne od komfortowych sal na górze. Czekaliśmy dość długo, wpatrując się w kilka pustych szafek. W końcu pojawił się znudzony asystent i udzielił nam ostatnich instrukcji. Był nieźle pokryty bliznami, brakowało mu kilku palców. Chyba na czas nie odwiedził kliniki regeneracyjnej.

- Jeśli tylko nie dacie poznać po sobie, że się boicie, nie będziecie mieli żadnych kłopotów. Po prostu zachowujcie się spokojnie i tylko je odpychajcie. Obserwujcie ciągle wasze stopy, nie zapominajcie o tym. Te wielkie zwykle atakują od dołu. Nie myślcie o własnych plecach, chyba że wyczujecie, że partner został zraniony. Wtedy należy się spieszyć jak najszybciej do klatki. Każdy rekin znaj dujący się w pobliżu będzie was ścigał. Jednego możecie pokonać niezależnie od jego wielkości. Ale pięćdziesięciu nie dacie rady.

Zrozumieliście?

- Czy płacą nam za cały czas spędzony pod wodą? - spytałem, próbując wyglądać na równie znudzonego.

- Nie. Od chwili, w której opuścicie klatkę do chwili, kiedy do niej wrócicie. Przy odrobinie szczęścia będziecie mieli pięć do dziesięciu minut, zanim pierwsze rekiny zaczną się wami interesować.

- Co będzie, Jeśli się w ogóle nie zainteresują? - spytał Pancho.

Asystent wzruszył ramionami i splunął na podłogę.

- To się nie zdarza.

Klatka, do której nas doprowadzono, była mniejsza niż się spodziewałem. Musiałem wciskać się w wejście, a wewnątrz nie mogłem się wyprostować. W tym świecie wszystko budują dla karzełek. Podczas gdy dźwig prznosił nas nad wodę, ustaliliśmy naszą strategię. Będziemy trzymać się jak najbliżej klatki, najlepiej tuż nad nią, aby ochronić się przed atakiem jednego z tych wielkich, jakiego ujrzeliśmy na taśmie z samobójcami. Jedno klepięcie w ramię będzie oznaczać “wracamy do klatki”, dwa - “szybko do klatki”. Żadne inne sygnały nie przyszły nam do głowy.

Nastawiłem się na szok przy zanurzeniu w wodzie, ale ta okazała się przyjemnie ciepła, prawie o temperaturze ciała. Musiałem obyc się bez powietrza przez prawie minutę, zanim nie przypomniałem sobie, że należy oddychać przez ustnik. Próbowałem się rozluźnić, jednak nie mogłem, czułem się jak przynęta na haczyku. Przesunęliśmy się obok kamerzystów, niewidocznych w chmurze srebrnych bąbelków i zatrzymaliśmy się z łagodnym szarpnięciem na końcu liny. W pobliżu nie zauważyłem żadnego rekina. Wypłynęliśmy z klatki i zajęliśmy naszą pozycję jakieś dwa metry nad nią. Ustawiliśmy się plecami do siebie. Czekaliśmy, unosząc się w wodzie. Na wprost mnie w odległości dwudziestu metrów spostrzegłem jednego z kamerzystów. Szeroki, ciemnozielony promień światła, prawie dokładnie koloru wody wystrzelił z chmury bąbelków. To laserowa holowizja. Dzięki niej ludzie mogą, siedząc w domu i popijając piwo, obserwować w trzech wymiarach, jak rekiny rozrywają nas na strzępy. Widocznie nie poświęciłem otoczeniu wystarczająco dużo uwagi, gdyż nagle okazało się, że wokół nas krąży kilka rekinów. Trzymały się w odległości piętnastu, dwudziestu metrów i nie wyglądały szczególnie agresywnie, pomimo to starałem się nie spuszczać ich z oczu.

Pancho poruszył się gwałtownie kilka razy. Zrozumiałem więc, że rozpoczęła się walka. Ciągle jeszcze nie bałem się. Te ryby miały około metra długości i nie wyglądały na takie, które mogą przysporzyć nam kłopotów, nawet gdybyśmy mieli puste ręce. Nagle wszystkie widoczne rekiny odpłynęły w pośpiechu. Zastąpiło je stado osobników dwukrotnie większych. Mówiono nam, że rekiny łączą się w grupy według rozmiarów i rzadko kiedy można ujrzeć dużego i małego obok siebie. Przyczyna była oczywista: mały szybko skończyłby wewnątrz dużego brata.

Rekiny krążyły tak przez pięć minut, zanim pierwszy się do nas zbliżył. Podpłynął na dwa metry, czyli na długość jednego rekina i zatrzymał się, gdy natknął się na mojego *billy*. Zawrócił i odpłynął leniwie. Zacząłem troszeczkę się odprężyć. Odbył się jeszcze kilka takich utarczek, czułem poruszenia Pancho za moimi plecami. Jak dotąd nie było to takie przerażające; duże rekiny nie były nami szczególnie zainteresowane.

Unosiłem się więc w wodzie, licząc pieniądze: 150 pesos za minutę. W butlach mamy powietrza na dwie godziny. Fortuna, gdyby udało się tak długo utrzymać je na dystans.

Sądzę, że w tym optymistycznym nastroju upłynęło mi dobre dziesięć minut. Następna grupa była ławicą małych rekinów, o połowę mniejszych od pierwszych. Podpłynęły znacznie bliżej od poprzednich. Kilka wyraźnie szykowało się do ataku. Co chwila któryś próbował dostać się do ryby przy moim pasie - były znacznie szybsze od tamtych dużych, ale jak dotąd zawsze zdążałem odepchnąć je na czas.

Nagle Pancho dwukrotnie klepnął mnie w plecy. W ułamku sekundy, zanim zdecydowałem, czy był to przypadek, czy umówiony sygnał, ujrzałem krew rozplływającą się w wodzie. Jak się umówiliśmy, oderwałem rybę od pasa, pchnąłem ją w kierunku rekinów i co sił popłynąłem w dół do klatki. Jednego nie przewidzieliśmy - że obaj dotrzemy do drzwi w tym samym momencie. I że będą zamknięte. Bez chwili namysłu wyrwałem je z zawiasów i we-

pchnąłem Pancho do środka. Rekiny poruszały się teraz naprawdę szybko. Krew była wszędzie. Pancho musiał być niezłe zraniony. Poczułem słabość w żołądku. Nie miałem czasu przyrzeć mu się, gdy tyłem wciskałem się do klatki, odpychając jednocześnie za pomocą *billy* najbardziej agresywne rekiny. Niektóre zainteresowały się rybami, które im rzuciliśmy, ale większość zmierzała prosto w kierunku klatki. Zbliżały się bardzo szybko. Stałem w otwartych drzwiach, mając Pancho za plecami, i dziko odpychałem próbujące wedrzeć się do środka rekiny. W większości były małe, ale mogły nas załatwić równie łatwo jak duże.

Miałem króciutką przerwę, gdy od dołu pojawił się olbrzymi rekin i rozpedził maluchy krążące wokół wejścia. Gdy odpływał, kilka małych rzuciło się zatrzaśniętych w jego szczękach. Miałem nadzieję, że znalazł się wśród nich ten, który zranił Pancho. W niemym przerażeniu obserwowałem, jak gwałtownym skrzętem zawraca i kieruje się wprost do wejścia klatki. Sprężyłem się i z całych sił pchnąłem go prosto w nos. Siła uderzenia zakołysała klatką. Pancho z tyłu próbował wspomóc mnie, byłem jednak zbyt duży, wypełniałem prawie całą klatkę i nie mógł dostać się w pobliże wejścia. Miałem pełne ręce roboty. Rekin nie wycofał się, jak przypuszczałem. Większy ode mnie wypełnił drzwi, otwierając i zamykając szczęki. Odpychałem go, lecz on mimo to posuwał się do przodu.

Nagle wynurzyliśmy się z wody. Ten cholerny rekin ciągle tkwił w klatce i nie miał zamiaru jej opuścić. Pancho wysunął się spoza mnie i razem udało się nam go wypchnąć. Wpadł w wodę z wielkim pluskiem.

Poczułem prawdziwe zdziwienie, gdy wyplułem ustnik i odwróciłem się do Pancho. On wcale nie krwawił. Wskazał na moją stopę. To stąd pochodziła krew. Brakowało mi sporego kawałka pięty. Położyłem na niej dłoń, a krew płynęła strumykami spomiędzy palców. Wtedy również zaczęło boleć. Mocno.

- Dobry Boże! Carl, tak mi przykro. Nie mogłem dosięgnąć tego małego gnojka.

- Zapomnij o tym. - Nie jego wina, że miał tylko półtora metra wzrostu. - Medycy

potrafią to załatać równie dobrze jak co innego. Jutro będę jak nowy.

I zemdlałem.

Przyklejono mi nową piętę mięśnioplastem, jednak tym razem unieruchomiło to mnie na dłużej. Nie miałem w ogóle obciążać nogi przez najbliższe dwa dni. Tak czy inaczej chciałem odpocząć. W wózku inwalidzkim byłem dokładnie wzrostu Pancho. Było to dla mnie dziwne - rozmawiać z ludźmi bez spoglądania w dół. Potoczyliśmy się do biura Mr Delavore.

Czekał już na nas z pieniędzmi. Niestety nie był sam. B'ooosa i dziekan czekali razem z nim.

- Carl - powiedział B'ooosa - to niepoważne!

Miałem dosyć.

- Panie B'ooosa — powiedziałem — może dla pana wygląda to niepoważnie. Ale pan nigdy nie musiał walczyć o przeżycie na małej jałowej planecie. Nie odczuwał pan bólu na widok wiatrów zmiatających zbiory z pola, beznadziejności handlu z ludźmi wykorzystującymi pana, bo wiedzą, że i tak nie ma pan się gdzie udać. Mógłby zapewne pan kupić dziesięć takich farm, jaką posiada mój ojciec, może nawet sto. Dlatego nie jest pan w stanie zrozumieć, ile to dla mnie znaczy. - Podjechałem do biurka. - Jak długo przebywaliście pod wodą, Mr Delavore?

- Carl - zaczął B'ooosa.

- Panie B'ooosa! - prawie krzyknąłem, nie patrząc na niego. - To jest tylko sprawa moja i Pancho. Nie ma pan prawa wtrącać się i nie miał pan prawa sprowadzać tu dziekana.

- To ja chciałem tu przyjechać - powiedział dr M'bisa.

- Jak długo? - powtórzyłem pytanie.

Pan Delavore zerknął na B'ooosa i dziekana, oblizał wargi. - Osiemnaście i pół minuty. -

Wręczył mi czek. - Dwa tysiące siedemset siedemdziesiąt pięć pesos do podziału.

B'ooosa zaśmiał się gorzko.

- Daj się Jeszcze ugryźć dwanaście razy i będziesz miał te twoje siedemnaście tysięcy.

Przy odrobinie szczęścia odgryzą ci głowę i dostaniesz nowy rozum.

- To nie jest takie niebezpieczne - powiedział czerwieniejąc Mr Delavore. - Tylko jeden na pięćdziesięciu...

- Ludzi n o r m a l n e j wielkości - warknął M'bisa - ale nie ma na tej planecie człowieka wystarczająco dużego, by ochronić giganta takiego jak Carl. Widzieliśmy walkę.

Był to tani, ale niebezpieczny wyczyn. A niesprawne wyposażenie...

- Proszę się tym nie przejmować, doktorze M'bisa, nigdy więcej nie będę walczył z rekinami.

- Naprawdę? - zdziwił się B'ooosa. - Nigdy więcej rekinów, nigdy więcej byków. Co teraz będzie? Słonie?

Spoglądałem na niego przez dłuższą chwilę.

- Będzie to zależało od wynagrodzenia.

- Carl... - dziekan M'bisa wyglądał na zboląłego. - Nie można tak dalej! To czysty nonsens. Ja... zakazuję!

Starałem się panować nad swoim głosem:

- Nie może pan. Jestem wolnym człowiekiem. W przestrzeni może mi pan zadać dodatkową pracę, oblać na egzaminie, cokolwiek. Ale na Ziemi mój czas należy do mnie.

- Tak, tak... technicznie rzecz biorąc tak. Ale to Ziemia, kolebka ludzkości. Tak wiele tracisz, tak wiele mógłbyś się nauczyć.

- Uczę się - powiedziałem. Spojrzałem na czek i w pamięci wykonałem kilka działań.

Jeszcze 14 662,50 pesos. - Naprawdę się uczę.

VIII

Miałem grzecznie trzymać się grupy, miałem przebywać na wózku inwalidzkim, miałem zacząć zachowywać się porządnie i zapomnieć o próbie spłacenia podatku od nadwagi.

Zapomnieć? Mowy nie ma! Należało coś z tym zrobić i był to spory problem. B'ooosa obserwował mnie bez przerwy. Stał się kimś w rodzaju osobistego nadzorcy. Nie mogłem niemal pójść do łazienki bez niego. Przekuśtykałem przez pokój do okna.

- Nie wiesz, że powinieneś oszczędzać nogę, dopóki pięta się nie wygoi? - spytał B'ooosa znad książek.

- Już nie boli - skłamałem.

- W końcu to twoja noga. - Wzruszył ramionami, położył nogi na stole i wrócił do lektury.

Francisco wpadł do pokoju. Był pełen werwy jak na faceta, który jeszcze wczoraj stanowił przynętę na rekiny.

- Poczta - zawołał, rzucając na stół obok nóg B'ooosa paczkę kopert.

Poczta? Kto i do kogo może tu pisać? Do mnie. Wszystkie były adresowane do mnie na Starschool. Holotransmisja z walki z rekinami zwróciła na mnie uwagę. Mieszkańców Springworld rzadko można spotkać na Ziemi, a już niezwykle rzadko walczą ze zwierzętami. Większość korespondencji to były oferty pracy. Część zawierała wzmianki o bykach. A ja byków i rekinów miałem dosyć na najbliższe dziesięć lat. Wreszcie część listów pochodziła od dziewcząt, które chciały ode mnie czegoś, co nazywały randką. Często dołączały małe holo. Niektóre nawet nieźle wyglądały. Tylko za małe, za małe, za małe.

- O co tu chodzi? - spytał B'ooosa, podnosząc jeden z odrzuconych listów.

- Biznes - odparłem krótko.

- Nie wygląda to na biznes - powiedział B'ooosa, podnosząc z kolei holo.

Zaczerwieniłem się.

- Większość to jednak biznes.

- Nie będziesz miał na to czasu. Dziś po południu wyjeżdżamy na zwiedzanie Korytarza Boswash. Nie pamiętasz? Czy ty w ogóle zainteresowałeś się programem?

- Boswash. Hm...

- To nadzwyczaj kształcące. Przydałoby się tobie.

- Przydałyby się również pieniądze.

- Zapomnij o tym, Carl. Kiedy dotrze to do twojego zakutego łba, że nikt nie wini ciebie za ten podatek ani nikt nie oczekuje, że go spłacisz?

- Łatwo ci mówić. Twoja rodzina mogłaby swobodnie kupić całą naszą wioskę. B'ooosa zamyślił się chwilę. Może przeliczał.

- To prawda - powiedział poważnie. - Ale to nie ma nic do rzeczy.

Poddałem się. On nie jest w stanie mnie zrozumieć. Zaczął przesuwać listy po stole.

- Dziwaczny zwyczaj - powiedział z lekkim uśmiechem. - Naprawdę wszystko pisane jest przez nadawcę. Nie drukowane. Dziwaczne.

Na jednym z listów rozpoznałem znajome nazwisko i przechwyciłem go, zanim zdążył to zrobić B'ooosa. Nadawcą był Marcos Salvadore, Hellerianin, którego spotkałem na Plaza de Gladiatores. Schowałem list w fałdy mojej tuniki. Sądzę, że B'ooosa niczego nie zauważył.

- Co to jest Korytarz Boswash? - spytałem, udając zainteresowanie.

B'ooosa wyglądał na zaskoczonego, odłożył listy, które przeglądał.

- Cieszę się, że zaczynasz wykazywać trochę zdrowego zainteresowania. Boswash jest megamiastem na północno-wschodnim wybrzeżu tego kontynentu. Bardzo historyczne.

Pozwól, że ci pokażę.

Wstał, by sięgnąć po książkę z biblioteczki. Wykorzystując to, wyciągnąłem szybko list

i otworzyłem. Wewnątrz znajdował się tylko numer telefonu. Postarałem się go zapamiętać i zgmiotłem kartkę.

- To jest Boswash - powiedział B'ooosa, rozkładając książkę z barwną mapą. - Dziś po południu udajemy się do DeeCee, jutro do Nowego Jorku. W czasach, gdy ta planeta składała się z wielu oddzielnych krajów, DeeCee było stolicą tego szczególnego kraju, a Nowy Jork był jego największym miastem. Mamy tam wiele do obejrzenia.

- To fascynujące - skłamałem. - Kiedy wyjeżdżamy?

- Za dwie godziny.

- Nie mogę się doczekać! To akurat było prawdą.

* * *

Dworzec w DeeCee był dokładnie taki, jakiego oczekiwałem: wypełniony po brzegi głośnym, rozgorączkowanym tłumem. Nasza grupa została pochłonięta przez kłębiące się masy ludzi, ludzi w pośpiechu goniących nie wiadomo za czym. Nie starałem się nawet zrozumieć.

Brakowało mi wyobraźni i nie obchodziło mnie to. Dawało mi to natomiast doskonałą możliwość ukrycia się. B'ooosa szedł po mojej prawej stronie, Francisco po lewej.

- Muszę iść do ubikacji - powiedziałem, gwałtownie zawracając wózek i zmierzając szybko do drzwi z napisem: Hombres8. Byli nadal tuż za mną, ale zostali po drugiej stronie drzwi. Nie zwalniałem.

Wtoczyłem wózek do jednej z kabin i na nogach udałem się do tylnego wyjścia.

Odczuwałem jeszcze ból w pięcie, ale musiałem dostać się do telefonu. Tyłne drzwi wychodziły na drugą olbrzymią halę dworcową, dokładnie taką jak ta, którą przed chwilą opuściłem. Rozejrzawszy się wokół, spostrzegłem rząd telefonów i skierowałem się w ich kierunku. Szybko! Wyróżniałem się w tłumie jak planeta między księżycami. Nawet zgarbiony i utykający górowałem nad tymi ziemskimi krasnalami. Wcisnąłem się do jednej z budek

telefonicznych stojących w tyle i jak mi się wydawało nie bardzo na widoku.

Nie wiedziałem, ile mam czasu, zanim B'osa i Francisco zaczną mnie szukać. Na pewno nie było go dużo. Miałem jednak nadzieję, że wtedy już mnie tu nie będzie. Wystukałem szybko numer otrzymany od Hellerianina. Musiało to być dosyć daleko, gdyż automat zażyczył sobie całej garści monet.

Na szarym ekranie pojawiła się twarz. Twarda, pobrużdżona twarz z wąsami i czarnymi, niesfornymi włosami odgarniętymi do tyłu. Gniewny wyraz zniknął, gdy mężczyzna mnie ujrzał. Niemalże uśmiechał się.

- A! Pan Bok. Dobrze, że pan dzwoni. Pozwoli pan, że się przedstawię: Paul Wolfe z "Wolfe i spółka". Pewien wspólny znajomy powiedział mi, że może nas skontaktować.

- Ma pan zapewne na myśli Marcosa Salvadore, Hellerianina?

Skinął głową.

- Pan Salvadore od czasu do czasu pracuje dla mnie. Jest być może trochę szorstki, ale na swój sposób niezwykle efektywny. Wspomniał mi o pańskim problemie.

- Moim problemie?

- Wspomniał, że potrzebuje pan pieniędzy i ma bardzo mało czasu, by je zdobyć.

Zapewne pan zauważył, że to dosyć trudne do zrealizowania na Ziemi.

- Przekonuję się o tym w dosyć bolesny sposób.

- Wiem. Nie wiem natomiast, czy zdaje pan sobie sprawę z faktu, że wywołał pan u nas swego rodzaju sensację. Obywatele Springworld nie są częstymi gośćmi na naszej planecie, a pan dał znakomite widowisko. Do tego właśnie zmierzam.

- Tak?

- Widzi pan, jednym z wielu obszarów mojej działalności jest organizowanie pokazów takich jak ten pański z rekinami. Z tym że moje są szczególne. Nazywamy je "Jeden strzał". Są

8 *Hombres* (hiszp.) - panowie (przyp. tłum.).

niezwykle popularne wśród tych, którzy lubią taką rozrywkę, to jest wśród wszystkich mieszkańców Ziemi. Mogę dobrze zapłacić.

- Jak dobrze?

- O ile pamiętam, nasz przyjaciel mówił coś o piętnastu tysiącach. Czy o to chodziło?

Przytaknąłem.

- Dokładnie o to. Co miałbym za tę sumę zrobić?

- Pokonać w pojedynku na śmierć i życie białego niedźwiedzia. Albo on albo pan...

Nie ma mowy! Pamiętałem byka i jego śmierć. Nigdy więcej.

- Pieniądze są w porządku, panie Wolfe. Ale nie będę zabijał zwierząt dla pieniędzy.

Czy wystarczy, jeśli pozbawię go przytomności?

Myślał przez chwilę, szarpiąc wąsa.

- To może być trudniejsze niż zabicie go. Sądzę jednak, że komuś tak dużemu może się to udać. Moja publiczność chce oglądać krew, ale to też kupią. Niedźwiedzia to ograniczenie oczywiście nie dotyczy.

- Gdzie i kiedy? - spytałem, chcąc już stąd zniknąć. Za 15 000 pesos gotów byłem walczyć z ognioszczurem z rękoma związanymi z tyłu.

- Walka odbędzie się w Anchorage-Sybirsku. Najchętniej jutro po południu, Jeśli jest pan w stanie zdążyć. Mam wykupione godzinne okienko w programie holo między szesnastą a siedemnastą. Można by ją tam wpasować.

- Już wyruszam - powiedziałem. - Aha. Jak tam się dostać?

- Gdzie pan jest teraz?

- W DeeCee.

- Dobra. Niech pan wsiądzie w metro do Seattle, a stamtąd promem do

Anchorage-Sybirsk. Tam spotka pan moich ludzi. Nie sądzę, by mieli problemy z rozpoznaniem pana. - Rozparł się wygodnie na krześle. - I proszę się nie przejmować wydatkami. Proszę mnie nimi obarczyć. Jestem tu znany.

- Nie wątpię. Jeszcze jedna rzecz. Te niedźwiedzie - spytałem - czy to coś podobnego do byków albo rekinów?

Zaśmiał się.

- Nie, wcale nie. Sądzę, że to zwierzę będzie właściwym przeciwnikiem dla pana. Nie to chciałem usłyszeć.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedział. - Oczekuję pana osobiście.

- Ja również - odparłem.

Pożegnał mnie machnięciem ręki i przerwał połączenie. Za 15.000 pesos mógł być dla mnie tak szorstki jak chciał. Wygramoliłem się z budki. Zdrętwiałem dopasowany do jej kształtu.

- Niedźwiedzie, co? - Usłyszałem głos za sobą. Nie, tylko nie to. Francisco.

- Na co ci te niedźwiedzie? - spytał śmiejąc się.

- Potrzebuję piętnaście tysięcy pesos.

- Wobec tego ruszajmy - stwierdził.

- Nie, Pancho, Ja muszę to zrobić sam. Ścisnąwszy moje ramię, zaczął ciągnąć mnie w dół korytarza.

- Tędy - powiedział - szybko!

- Szybko?

- B'ooosa niedługo tu będzie. Wysłałem go tylko do apteki po lekarstwa dla ciebie.

- B'ooosa? Lekarstwa?

- Nie rozumiesz, że ci pomagam, ty błaźnie? Masz równie ciężki pomyślunek jak ciało.

Jeśli mamy złapać pociąg, zanim B'osa zorientuje się, że nas nie ma, to lepiej się pospieszmy.

- My?

- Powiedzmy, że lubię dzikie zwierzęta. - Pociągnął mnie przez tłum.

IX

Podróżowanie metrem nie jest zbyt ekscytujące, ale jest szybkie i tanie. Przypięto nas pasami w dwuosobowym przedziale i wyekspediowano w drogę. Po raz kolejny wszystko okazało się zbyt ciasne dla mnie, ale na szczęście podróż nie trwała długo. A poza tym niewiele było do zobaczenia. Większość drogi odbywaliśmy pod ziemią. Gdy wyłanialiśmy się na powierzchnię, była to zawsze jakaś naga, pustynna okolica. No i przy 1200 kilometrach na godzinę wszystko ucieka w tył zbyt szybko.

Dworzec w Seattle wyglądał dokładnie tak jak w DeeCee, był tylko trochę mniejszy. I też dokładnie wypełniony ludźmi - też będących w pośpiechu. Prom do Anchorage-Sybirską złapaliśmy bez kłopotów. Okazał się znacznie wolniejszy od metra, mogliśmy więc przyjrzeć się sporemu kawałkowi tego kraju. Z tego co mówił Pancho spodziewałem się, że wszystko będzie pokryte metrową warstwą lodu i śniegu. Rzeczywiście gdzieś leżało trochę śniegu, był lód na szczytach gór, ale dominowały zielone drzewa. Nigdzie na Springworld nie ma roślin nawet w połowie tak wysokich jak te drzewa. Był to imponujący widok. Pomimo że gdzieś rozrzucone były pojedyncze domy czy nawet osiedla, cały obszar robił wrażenie nie zamieszkanego. Było to niezwykle na planecie tak przeludnionej jak Ziemia. Ktoś powiedział nam, że jest to ostatnie miejsce na tej planecie, gdzie jeszcze istnieje naprawdę dzika przyroda. Głównie dlatego, że ludzie nie chcą tu mieszkać. Powoli jednak i to ulega już zmianie. Ponieważ przynajmniej w lecie dni są tu długie, pojawiły się zautomatyzowane farmy zajmujące z roku na rok coraz więcej terenu. Jest przecież tak wiele ludzi do wyżywienia. Dowiedzieliśmy się również co nieco o niedźwiedziach. Większość ludzi na promie znała jakieś historie na ich temat. Ich opowieści relacjonowały mrozące krew w żyłach wydarzenia i zdaje się były to opowieści zasłyszane, z drugiej ręki. Trochę potrwało, zanim natknęliśmy się na człowieka, który stał twarzą w twarz z niedźwiedziem. Był to posiwiasty,

starszy mężczyzna z jedną ręką. Znaleźliśmy go w przedziale obserwacyjnym promu. Nie

bardzo chciał rozmawiać, ale gdy Pancho postawił mu drinka, trochę się rozluźnił.

- To już nie te czasy - powiedział. - Nic a nic... Mój ojciec i ojciec mojego ojca wiedzieli

jak żyć. Siedem pokoleń w głębi kraju, a nikt nie wziął ani peso od rządu... Mężczyzna był

mężczyzną. Musiał być, aby przeżyć... To się zmieniło. Teraz każdy chce coś za darmo. A rząd

troszczy się o wszystkich. Jedzenie łyżeczką do buzi, prawie zmieniają im pieluchy... Teraz a

wtedy. - Ucichł, zapatrzył się w odległe góry. - Mężczyzna był mężczyzną. To wszystko.

- Ciekawią nas niedźwiedzie - powiedziałem - białe niedźwiedzie. Wie pan coś na ich

temat? Stary człowiek zaśmiał się.

- Niedźwiedzie! Jestem niemalże wykarmiony przez niedźwiedzie. Towarzyszyły mi

przez całe życie. Większość jest nieśmiała, starają się trzymać z dala od ludzi, chociaż nie

wszystkie. Trzeba uważać na samice z małymi, rozerwą wszystko na strzępy, aby je ochronić.

- Myślę, że nie natkniemy się na coś takiego - powiedziałem z nadzieją.

- Są również niebezpieczne. Jeśli znajdą się w sytuacji bez wyjścia, są niebezpieczne

jak diabli. I jeśli są przestraszone, zapędzone w narożnik czy poczują ścianę za plecami, mogą

wtedy sprawić wiele kłopotów. Znam to. Pozwólcie sobie powiedzieć, znam to. Pamiętam,

kiedyś sprawdzaliśmy sidła z moim synem... to był John, mój drugi syn... niedźwiedź pojawił

się nie wiadomo skąd... - zamilkł, zatonąwszy we wspomnieniach.

- Jak wielkie są te niedźwiedzie? — spytał Pancho.

- Ty - wskazał na mnie palcem - jesteś spoza Ziemi, mam rację? Kiwnąłem głową.

- Ile masz wzrostu?

- Dwa i pół metra.

- Największy niedźwiedź, jakiego widziałem miał trzy metry wzrostu i ważył dobrze

ponad sześćset kilo. Wiem dokładnie, bo sam go zabiłem i odarłem ze skóry. Kosztował mnie

cztery psy i ramię. Gdy stanął na tylnych łapach i szedł tak na mnie, był jak wielka, chodząca góra. Władowałem w niego cały magazynek, zanim upadł, a zdążył przedtem jeszcze to zrobić.

- Jak można by go znokautować?

- Potrzebowałbyś dużą pałkę i dziesięciu przyjaciół.

- A samemu, gołymi rękoma?

- Gołymi rękoma! Chyba żartujesz. - Obejrzał mnie dokładnie. - Chociaż być może

komuś tak dużemu jak ty mogłoby się udać. Jeśli niedźwiedź byłby mały, a ty wystarczająco

szybki. Musiałbyś go schwycić dokładnie tutaj - wskazał miejsce na karku - i przycisnąć

naprawdę mocno na kilka sekund. Jeśli to będzie właściwe miejsce i jeśli jesteś naprawdę silny,

powalisz go. Ale jeśli nie zrobisz tego dobrze. Jesteś trup. Nie będziesz miał drugiej szansy.

- Mam nadzieję, że nie będę jej potrzebował.

- Chcesz naprawdę siłować się z niedźwiedziem? Masz chyba kamienie zamiast mózgu.

- Nie wiem. Myślę, że dam radę. A poza tym pan Wolfe powiedział...

Mężczyzna wyglądał jakby ktoś uderzył go właśnie w żołądek.

- Pan Wolfe powiadasz, pan Paul Wolfe?

- Tak. Rozmawiałem z nim i on...

- Nie chcę mieć z nim ani z jego ludźmi nic do czynienia - powiedział, unosząc się z

siedzenia. - Nie chcę mieć nic do czynienia z tymi, którzy prowadzą z nim jakiegokolwiek

interesy.

Rozmyślnie chlusnął drinkiem na ubranie Francisca, czekając Jak na to zareaguje.

Wszyscy znieruchomieli w ułamku sekundy.

- Proszę pana, my...

- Bękarty - warknął, odwracając się od nas.

Ruszyłem za nim; on przecież nic nie rozumiał. Pancho zatrzymał mnie, kładąc rękę na

ramieniu.

- Nie rób tego, Carl - powiedział. - Ten człowiek ma do niego żal i to głęboki. Nie chcemy przecież dodatkowych kłopotów.

Z pewnością nie chcieliśmy. Tymczasem Anchorage-Sybirsk pojawił się na horyzoncie i zacząłem zastanawiać się, co nas tam czeka.

Mężczyźni, którzy na nas czekali, byli zawodowcami: twardzi, ale grzeczni. Zabrali nas wprost do staromodnego hotelu, jednej z tych stalowoszkłanych konstrukcji sterczących wysoko w niebo. Nie przetrzymałby nawet pięciu minut sztormu na Springworld. Zapłacili za nasz prom i metro i dodatkowo wręczyli nam trochę pieniędzy na drobne wydatki. Polecili nie opuszczać hotelu, ponieważ wkrótce będzie się chciał zobaczyć z nami Mr Wolfe.

Przez szklaną ścianę pokoju rozciągał się widok na góry i rozłożone poniżej miasto.

Prószył śnieg. Miasto było małe jak na ziemskie warunki - niecałe 14 milionów mieszkańców.

Mimo to było największym miastem tej części globu, ale posiadało opinię zakazanego, podejrzanego miejsca. Pancho koniecznie chciał się dowiedzieć dlaczego. Ja raczej koncentrowałem się na 15 000 pesos.

Wkrótce zadzwieczał telefon i Mr Wolfe pojawił się na ekranie.

- Panie Bok - zaczął - cieszę się, że zdołał pan bezpiecznie dotrzeć. Powiedziano mi, że przybył pan z przyjacielem. - Spojrzał w kierunku Pancho.

- Nazywa się Francisco Bolivar. Pancho.

- Oczywiście rozumie pan, że Mr Bolivar nie może pomagać panu w walce z niedźwiedziem.

- Ma tylko udzielać mi moralnego wsparcia - odrzekłem.

- Wspaniale. Nie mam nic przeciwko temu. Dysponuję teraz chwilą czasu i chciałbym zobaczyć się z panem. Moi ludzie zaprowadzą was do góry.

- Do góry?

- Tak. Moje biura mieszczą się na najwyższym piętrze tego budynku. Jestem właścicielem hotelu. Nie powiedziano panu?

- Nie.

Wzruszył ramionami.

- To tylko część mojego majątku i to wcale nie ta najbardziej dochodowa. - Rozłączył się równie gwałtownie jak poprzednim razem.

Jednego mogłem być pewien: nie musiałem się martwić o pieniądze. Wyglądało na to, że stać go, by kupić sobie całą planetę.

Zabrano nas prywatną windą na najwyższe piętro i zaprowadzono do olbrzymiej, komfortowo wyposażonej poczekalni z grubymi dywanami na podłogach, obrazami na ścianach. Kilka znajdujących się tam olbrzymich, wykonanych z prawdziwego drewna biurek zajmowali groźnie wyglądający ochroniarze, którzy po prostu tkwili nieruchomo, wpatrując się w nas uważnie. Siedząca przy jednym z biurek kobieta uśmiechnęła się do nas.

- Dzień dobry, panie Bok, panie Bolivar - skinęła uprzejmie w naszym kierunku głową.

- Mr Wolfe oczekuje panów. Zechcą panowie wejść.

Wskazała nam drzwi znajdujące się za jej biurkiem - jedne z wielu wychodzących z tego pokoju. Przyszło mi do głowy - jak przy tej liczbie drzwi i mężczyzn znajdujących się w pokoju komukolwiek udaje się zobaczyć Mr Wolfe'a. Spodziewałem się równie bogatego wnętrza. Pomyliłem się jednak. Było funkcjonalne do tego stopnia, że robiło wrażenie surowego: jedno biurko, jeden telefon, żadnych książek, żadnych okien. Za biurkiem siedział Mr Wolfe. Był duży jak na Ziemiannina, jednak nie tak duży jak ja. Nie wstał, gdy weszliśmy. Jedyne wydobył na twarz coś w rodzaju uśmiechu. Rozumiałem, że czuje się wspaniale.

- Panie Bok, jest pan wyższy niż sądziłem - powiedział. - Czy wszyscy na Springworld

są tacy wysocy?

- Większość - odparłem. - Są również wyżsi.

- Będzie pan wspaniały! - Wręczył mi małą teczkę wypełnioną papierami.

Przejrzałem je pobieżnie. Zawierały wiele odnośników, zastrzeżeń, typu "zawarto w pierwszej części", "pod rygorem" itp. Typowy kontrakt napisany przez prawników i tylko prawnicy mogli go zrozumieć. Znalazłem najważniejszą dla mnie rzecz, że 15 000 pesos zostanie mi wypłacone za walkę (spowodowanie śmierci lub utratę przytomności) z niedźwiedziem polarnym lub pozostawanie z wyżej wymienionym zwierzęciem na arenie przez pół godziny.

- Co będzie, jeśli zwierzę nie będzie chciało walczyć? - spytałem. - Będzie to nader nudne pół godziny dla mnie, a dla pana dosyć kosztowne.

- O to bym się nie martwił, panie Bok. To się nie zdarzy.

Pancho podszedł i spojrzał na leżący na biurku kontrakt. Nie sadzę, by te prawnicze sformułowania mogły znaczyć cokolwiek więcej dla niego niż dla mnie. W dodatku angielski jest dla niego językiem obcym.

- Czyżby Mr Bolivar był pańskim prawnikiem, Mr Bok? - spytał Wolfe.

Odniosłem wrażenie, że tylko w połowie miał to być żart.

- O nie - odparł Pancho. - Jestem tylko studentem, tak jak Carl. Jesteśmy *amigos*, przyjaciółmi. Mr Wolfe wręczył mi pióro.

- To jest standardowa umowa. Niech pan podpisze trzy kopie - przerwał, a po chwili dodał: - Zechce pan?

Podpisałem. Za piętnaście tysięcy podpisałbym wszystko. Mr Wolfe odebrał pióro i dokumenty.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Gdy skończy się mecz, pieniądze będą na pana czekały.

Sądzę, że dzisiejszy wieczór zechce pan poświęcić na obejrzenie miasta. Jesteśmy z niego dumni. Nie bez powodu, pozwolę sobie dodać. Chciałbym jednak poradzić panu, aby unikał pan kłopotów, mam na myśli kłopoty, które mogą przynieść uszczerbek pańskiemu zdrowiu. Do jutra, do godziny szesnastej trzydzieści jest pan moją własnością, a lubię, gdy ludzie troszczą się o moją własność. To takie moje małe widzimi się.

Własność? Należało dokładniej przeczytać kontrakt!

- Zadbam o niego - stwierdził Pancho.

- Niech pan to zrobi - dodał Wolfe. - Dobrze się robi z panem interesy, Mr Bok i jestem pewien, że korzystne dla obu stron. Do widzenia panom.

Dopiero po sekundzie zrozumiałem, że zostaliśmy w ten sposób odprawieni. Sięgnąłem nad biurkiem i potrząsnąłem jego ręką. Pod eskortą wróciliśmy do pokoju.

Anchorage-Sybirsk jest czymś w rodzaju miasta granicznego. Jak coś mające ponad czternaście milionów mieszkańców może stanowić granicę, było dla mnie nie do pojęcia. U nas na Springworld czternaście rodzin tworzy ruchliwe miasto. Pancho jednak miał wielką ochotę zweryfikować tę opinię osobiście. Byłem mu to winien przynajmniej za to, że uwolnił mnie od B'ooosa.

Wieczór rozpoczęliśmy obiadem w hotelu. Był wspaniały: prawdziwe mięso, dodatki, wszystko. Gdy chciałem płacić, machnęli ręką - wszystko na koszt firmy. Cokolwiek można by powiedzieć o tym człowieku, lubi na pewno, by jego własność się dobrze odżywiła.

Pancho spytał faceta w recepcji, co zwykle ludzie robią, gdy chcą się rozerwać w tym mieście.

- Już samo wyjście na zewnątrz jest wystarczającą rozrywką dla większości ludzi -

brzmiała odpowiedź - ale jeśli chcecie się przekonać, jakie życie jest tu naprawdę, powinniście pójść do Casino de Mabel.

Powiedział, jak tam dotrzeć i ruszyliśmy. Było mroźnie, ale mieliśmy lekkie kurtki.

Większość miasta, a przynajmniej ta jego część, do której zmierzaliśmy, była nakryta kopułą.

Dzięki temu panowała tam niezmienna temperatura 23°C. Nim zdążyliśmy ująć kilka kroków,

zatrzymało się przy nas auto. Pomimo że było przeraźliwie długie, nie było przeznaczone dla

więcej niż pięciu, sześciu osób. Ekstrawagancka strata miejsca. Mężczyzna siedzący obok

kierowcy uchylił okno.

- Pan Bok? - spytał.

- Tak. To ja - odparłem.

- Mamy ułatwić panu poruszanie się po mieście.

- Otworzył drzwi po naszej stronie.

Zerknąłem na Pancho. Wchodził właśnie bez pytania. Poszedłem w jego ślady. Miękkie

siedzenia, poduszki. Nie trzeba być ekspertem, by wiedzieć, że wykończenie pojazdu stanowiła

prawdziwa skóra i prawdziwe drewno. Był również barek i telefon. Szklana szyba oddzielała

nas od przednich siedzeń.

- Dokąd zamierza pan się udać, Mr Bok? - Głos dobiegający z głośnika był co prawda

lekko metaliczny, Jednak przyjemnie stonowany. Ktoś naprawdę zadał sobie dużo trudu,

wyposażając to auto.

- W hotelu polecono nam Casino de Mabel.

- Znakomity wybór, Mr Bok. Będziemy tam za pięć minut. Proszę się rozgościć.

Przyszło mi do głowy jedno pytanie.

- Czy kasyno również należy do pana Wolfe'a? - spytałem.

- Oczywiście.

Tak też myślałem.

Casino de Mabel było z zewnątrz krzykliwie barwne, nie odróżniało się jednak od

innych usytuowanych wzdłuż tej ulicy. Wewnątrz odbywały się jakieś występy, trwał hazard, było coś do zjedzenia i picia. Show na parkiecie dobiegał właśnie końca. Przedstawiano coś, co nazywano *cancan*. Odzwierciedlać miało okres, który nazwano “gorączka złota”. Nic z tego nie zrozumiałem. Po prostu kilka osób skaczących w kółko.

Pancho chciał koniecznie spróbować gry przy stołach. Miał trochę swoich pieniędzy i to co dali nam ludzie Wolfe’a. Miał również szalony pomysł, by zostać bogaczem. Ja nie przespałem wykładów z rachunku prawdopodobieństwa, więc mnie to nie brało. Mnie interesowało jedynie moje piętnaście tysięcy pesos.

Pancho siadł na chwilę przy stole do gry nazywanej “oczko”. Używano tam małych, plastikowych prostokątów zwanych kartami. Przynajmniej był konsekwentny. Konsekwentnie przegrywał. Potem przerzucił się na grę *roulette*. Wyglądała głupio: wiele cyferek, wirujące koło i mała kulka. Tam też przegrał, ale niewiele. Kiedy z kolei włączył się do gry w “kości”, rozgrywanej małymi sześciانnikami pokrytymi kropkami, postanowiłem opuścić go na kilka minut. Potrzebowałem świeżego powietrza. Atmosfera w kasynie była gęsta od tytoniowego dymu. Palenie tytoniu jest nielegalne na Ziemi, ale w oczywisty sposób tutaj nie egzekwowano tego prawa zbyt surowo. Gdy wychodziłem, dwaj przydzieleni nam mężczyźni podzielili się rolami. Jeden pozostał, dyskretnie obserwując Pancho, drugi poszedł za mną.

Na zewnątrz, pod markizą osłaniającą wejście do kasyna, powietrze smakowało wspaniale. Wolałbym jednak, aby nie było kopuły nad nami, mógłbym wtedy zaczerpnąć prawdziwego świeżego powietrza. Pod kopułą było czarno i chłodno. Mój strażnik trzymał się w odległości dziesięciu metrów, nie zbliżając się, ale też nie tracąc mnie z oczu. W górę i w dół chodnika ciągnęli nieprzerwanym strumieniem ludzie. Obserwowałem ich i ich twarze, gdy mnie mijali; na wielu wryty był wyraz łagodnej rezygnacji. Nie spieszyli się specjalnie, może to była już ta pora dnia... wtem, czekaj no, czy to nie...? Wpadł na mnie, wymamrotał:

- Tracy's Bar - i poszedł dalej.

Hellerianin! Obróciłem się, by pójść za nim i zderzyłem się z inną osobą. Odepchnąłem ją i usłyszałem:

- Nie idź za nami - to był Angelo, przyjaciel Hellerianina. - Za pół godziny - i obaj zniknęli w tłumie.

Pomimo że trwało to tak krótko, zwróciło uwagę strażnika. Szedł już do mnie.

Schyliłem się, udając, że podnoszę coś z chodnika. Wyprostowałem się i ruszyłem w stronę wejścia do kasyna.

- Zbyt tłoczno tutaj - powiedziałem.

Skinął głową. Dalej poszliśmy już razem, z tym że on szedł pięć kroków z tyłu. Był dobrze wytresowany. Znalazłem Pancho przy dużym automacie do gry. Automat przyjmował tylko monety jednopesowe, ale byłem pewny, że tu także nieźle się spłukał. Schyliłem się, jakby sprawdzając, ile mu jeszcze zostało drobnych w dłoni.

- Kłopot - wyszeptałem - w każdym razie tak mi się wydaje. Tak szybko jak to możliwe opowiedziałem mu o spotkaniu z Hellerianinem i Angelo. Pozwolił maszynie wygrać resztę monet i odegrał wspaniałe przedstawienie o tym jak bardzo chce jeszcze iść gdzie indziej na piwo. Skierowaliśmy się do drzwi i kiwnąłem na dwóch mężczyzn, by poszli za nami. Poszliby tak czy inaczej. Wsiadliśmy do auta, kierowca delikatnie odjechał od krawężnika.

- Tracy's Bar - powiedziałem.

- Nie czas raczej wracać do domu? - spytał.

- Tracy's Bar - powtórzyłem zdecydowanym głosem - albo wsiadamy i idziemy piechotą.

Kierowca zmienił kierunek, tymczasem drugi pośpiesznie mówił coś do mikrofonu, nie słyszałem co. Ktoś jednak podjął za nich decyzję, bo pojazd skręcił w boczną uliczkę.

- Tylko jedno piwo - dobiegło nas z głośnika.

Tym razem nie pytałem nawet, czy to własność pana Wolfe'a. Miałem dziwną pewność, że nie. Bar Tracy'ego był ciemny, brudny, zadymiony. Z trudnością można było dojrzeć coś oddalonego bardziej niż o metr. Przepchnęliśmy się z Pancho do barmana i zamówiliśmy dwa piwa. Podał je, wziął pieniądze, wrzucił do kasy.

- Jak myślisz, o co chodzi? - spytał Pancho.

Wzruszyłem w ciemności ramionami. Wiedziałem tyle co i on. Uniosłem piwo, gdy pochylony w naszą stronę barman przecierał szmatą blat na wprost mnie.

- Ty Jesteś Springer - rzucił. To nie było pytanie.

- Tak - potwierdziłem. - O co...

- Idź do ubikacji - przerwał mi.

- Co?

- Ruszaj do ubikacji, tępaku! - Nieznacznym ruchem głowy wskazał mi nikłe światelko nad drzwiami po prawej stronie.

Zajrzałem w mój kufel i wyszeptałem do Pancho:

- Wyjdź na ulicę. Spróbuj ich odciągnąć. Muszę dowiedzieć się, czego chce Hellerianin.

Pancho nagle jęknął, a ja niemal nie wybuchnąłem śmiechem. Nie podejrzewałem go o to. Urodzony aktor. Schwycił się za żołądek i ruszył w stronę drzwi, roztrącając ludzi na boki.

Obaj nasi "przyjaciele" podążyli za nim. W zamieszaniu prześlizgiwałem się do ubikacji.

Prawie już tam dotarłem, gdy ktoś nagle ścisnął moje ramię i przyciągnął do ciemnego, wydzielonego stolika. Zacząłem się szarpać, usłyszałem jednak znajomy głos:

- Szajs, Springer, to ja.

Rozluźniłem się. Dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, jak bardzo byłem spięty.

- O co chodzi? - spytałem.

- Słuchaj, Springer...

- Ale może...

- Słuchaj, Springer. Nie masz najmniejszej szansy. To nie będzie zwykły niedźwiedź.

On jest spreparowany przez bioinżynierów. Ja o tym nie wiedziałem, przysięgam. Wolfe ma na mnie haka za pewne rzeczy, które robiłem dla niego dawno, dawno temu, gdy byłem młody i głodny. Chciał cię mieć tutaj, dlatego to zrobiłem. Ale nie wiedziałem, że ma zamiar cię przewalić. Nie powinienem wierzyć Wolfe'owi, powinienem wiedzieć - ciągnął Hellerianin - on potrzebuje jedynie krwi, a ty masz mu ją zapewnić. Jeśli niedźwiedź zabije cię, on tylko na tym skorzysta. Te walki są niezgodne z prawem, ale jeśli się do tej pory jeszcze nie zorientowałeś, to tutaj Wolfe jest prawem.

- Zdążyłem się tego domyślić.

- Tym lepiej. Jest jeszcze dla ciebie jedno wyjście, Springer.

- Jak mógłbym się z tego wyplątać? - spytałem.

- Niełatwo. Jednak jest sposób... - urwał na dźwięk noża wbijającego się w stół.

Zaczął się podnosić, rozejrzał się wokół i znieruchomiał. To wróciła dwójka moich opiekunów. Za nimi stało pięciu czy sześciu typów. Nie wyglądali na pogodnych chłopców.

- Pan Bolivar nagle zachorował - powiedział jeden. - Pan Wolfe sugeruje, by wrócił pan do swego pokoju. Przed jutrzejszym występem potrzebny jest odpoczynek.

Sądzę, że nie miałem w tym względzie żadnego wyboru. Zostałem odprowadzony do auta. Pancho leżał na tylnym siedzeniu i nie wyglądał zbyt dobrze. Zacząłem poważnie się niepokoić, nie o siebie czy o jutrzejszą walkę, ale o niego i o to, co mogą zrobić Angelo i Hellerianinowi. Pojazd ruszył.

- Dziesięć minut, Mr Bok - głos był równie spokojny jak zwykle.

Pancho jęknął i schwycił się za głowę. Chciał coś powiedzieć, nie mógł wydobyć ani słowa, opadł na siedzenie. Po dotarciu do hotelu, wsadziłem go pod prysznic i odkręciłem zimną wodę. Po kilku minutach doszedł do siebie.

- Nie wiem, jak to się stało Carl. Jak tylko wyszedłem na ulicę urwał mi się film. Nie sądzę, by mnie uderzono. Fakt, że wyłączyli mnie błyskawicznie.

- Myślę, że tkwimy w tym po same uszy - powiedziałem, podczas gdy on gramolił się spod prysznic. - Ci chłopcy grają twardo. - Podeszedłem do drzwi i spróbowałem je otworzyć.

Nie udało się. Były zamknięte od zewnątrz.

- Co teraz zrobimy? - spytał Pancho.

- Prześpimy się - odparłem. - Muszę jutro walczyć z niedźwiedziem, a ty musisz pozbierać to, co ze mnie zostanie.

Łóżko było mięciutkie, ale zbyt krótkie. Przespałem się na podłodze.

X

Śniadanie dostarczono nam do pokoju. Poprosiłem o literaturę na temat niedźwiedzi i przejrzałem ją pobieżnie. Stary człowiek miał rację! Niedźwiedzie są niebezpieczne. Nie miałem pojęcia, jak może wyglądać

przygotowany przez bioinżynierów niedźwiedź. Wiedziałem jedno. Wkrótce się o tym przekonam.

Popracowałem nad sobą, wykonując trochę ćwiczeń, jakie można wykonać w pokoju

hotelowym. Moja stopa pięknie się wygoiła, nie było już śladu *cornada*. Ziemsy lekarze

rzeczywiście potrafią zdziałać cuda. Miałem nadzieję, że Wolfe ma kilku na swojej liście płac.

Zabrano Pancho i mnie na stadion. Była to długa jazda na obrzeże miasta. Rozmyślałem

o Hellerianinie i o tym, co mi powiedział. Miałem nadzieję, że zostawiono go w spokoju.

Stadion był odkryty, z podgrzewanymi siedzeniami. Wyglądało na to, że może

pomieścić ponad sto tysięcy ludzi i pomimo że było wcześniej, był już niemal wypełniony.

Niebo nad naszymi głowami było błękitne, bez jednej chmurki. Spytałem, czy moglibyśmy

obejrzeć niedźwiedzia. Mój strażnik wzruszył ramionami i poprowadził nas poprzez ciąg

korytarzy i schodów. Poczulem zwierzęta, zanim je zobaczyłem. Słysząc je było jeszcze

znacznie wcześniej.

- To tutaj - powiedział, wskazując na drzwi. Oparł się o ścianę i zapalił papierosa. -

Przyjrzyj mu się dokładnie.

Olbrzymie wnętrze wypełnione było klatkami z różnymi zwierzętami. Niektórych

nawet nie umiałbym nazwać. Wszystkie jednak miały jedną wspólną cechę: wyglądały bardzo

niebezpiecznie. Wszedłem tam i... mój Boże! Nawet stojąc na czterech łapach, był dwukrotnie

wyższy ode mnie. Miał powyżej tysiąca kilogramów. Chodził nieustannie z jednego końca

klatki w drugi, raz po raz uderzając o kraty potężną łapą. Miał skłębioną, żółtawobiałą sierść i

śmierdział jak tysiąc zdechłych psów. Piana kapiała mu z pyska. Był jak zjawa z

najstraszniejszego snu. Chciałbym móc się teraz obudzić. To przecież było czyste szaleństwo!

Gdy odwróciłem się od niedźwiedzia, Pancho rozmawiał na korytarzu z trzema mężczyznami. W głębi stało kilku policjantów. Pancho nie wyglądał na szczególnie rozradowanego. Dwaj z tej trójki byli potężnie zbudowani o wyglądzie zabijaków, trzeci wyglądał bez wątpienia na prawnika. Trzymał teczkę z aktami. Z pewnością kopię mojego kontraktu. Dołączyłem do nich.

- Mr Bok - powiedział prawnik, wyciągając rękę - reprezentuję tutaj pana Wolfe'a.

Udałem, że nie spostrzegam jego ręki.

- Może pan zatem powiedzieć panu Wolfe'owi, że może sam walczyć z tym monstrem.

- Pan żartuje. Kontrakt...

- Proszę pana, podpisałem kontrakt na walkę z niedźwiedziem, a nie z potworem.

- Podpisał pan, że będzie walczył z czymkolwiek, co przeciwko panu wystawimy.

Odmowa oznacza zerwanie kontraktu. Jestem zobowiązany poinformować pana, że w razie niedotrzymania warunków umowy, ci policjanci będą zmuszeni zabrać pana do więzienia. Kara za zerwanie kontraktu wynosi rok więzienia za każdy tysiąc pesos wartości umowy. A sędziowie nie są tutaj wyrozumiali w takich przypadkach.

- Domyślam się, że sędziowie siedzą w kieszeni naszego przyjaciela, Mr Wolfe'a. Tylko się uśmiechnął.

- Piętnaście lat w więzieniu to dużo czasu, panie Bok. A poza tym pańscy dwaj przyjaciele, których poznaliśmy ubiegłej nocy, ten dżentelmen z Hell i jego młodszy przyjaciel nie mogą się doczekać, by ujrzeć pana w holo. Są specjalnymi gośćmi pana Wolfe'a i gdyby wydarzyło się tak, że nie pojawi się pan na arenie, mógłby ich spotkać jakiś niemiły wypadek. Byłoby to nadzwyczaj tragiczne. Sugeruję zatem, by przygotował się pan do walki. Nie zostało wiele czasu.

Dwójka reprezentująca wagę ciężką odprowadziła nas do szatni. Miałem ochotę roztrzaskać kilka łbów, ale co by to dało? Mieli mnie w garści. Chyba rzeczywiście miałem kamienie zamiast mózgu. Pancho przez chwilę masował mi mięśnie. Był jeszcze bardziej ponury i załamany niż ja. Po pewnym czasie zjawił się kolejny strażnik z ciężkim pistoletem na biodrze. Wręczył mi nóż, którym miałem walczyć z niedźwiedziem. Był zupełnie bezużyteczny, mniejszy nawet od mojej dłoni. Zatrzymałem go jednak i zatknąłem za pas. Może go nie będę używał, a może tak.

- Carl? - Odwróciłem się do Pancho. Poklepał mnie po plecach i ścisnął ramię. Był bliski łez. - Powodzenia - wykrztusił - i wracaj.

- Muszę wrócić - powiedziałem, zmuszając się do uśmiechu. - Mój wózek inwalidzki tkwi ciągle w poczekalni w DeeCee. Ktoś musi zapłacić za wypożyczenie. - Podaliśmy sobie dłonie i udałem się na spotkanie niedźwiedzia.

Tłum zawył, gdy pojawiłem się na piasku. Czy ci ludzie naprawdę nie mieli nic innego do roboty niż patrzeć, jak zostaję zmasakrowany? Stadion był wypełniony po brzegi. W miarę jak zbliżałem się do środka areny, czułem się coraz mniejszy - ot karzełek bez żadnego znaczenia. Towarzyszyły mi dwie zdalnie sterowane kamery holowizji około metra wysokie, posuwające się w ślad za mną na szrudłowatych wspornikach. Sędzia stał na skraju areny. Zwróciło moją uwagę, że nie posiadał karabinka. Kolejna reguła została lekko nagięta. Spiker zapowiedział coś przez głośniki, nie dosłyszałem jednak co, gdyż jego głos został skutecznie zagłuszony przez tłum. W tej chwili wpuszczono niedźwiedzia. Trybuny oszalały. Łatwo było zrozumieć przyczynę.

Niedźwiedź sapiąc, okrążył arenę, obwąchując wszystko. Wydawał się trochę zmieszany swoim otoczeniem. Może zatem miałem jakąś szansę. Na razie starałem się po prostu trzymać jak najdalej od niego, w miarę możliwości po przeciwnej stronie areny. To

trwało około pięciu minut. Potem usiadł i zaczął węszyć w powietrzu, kręcąc swym potężnym łbem na boki. Przez chwilę miałem rozkoszną nadzieję, że być może zaśnie. Wtedy właśnie mnie wyczuł. Podbiegł do mnie krótkimi susami. Musiałem wyjść mu naprzeciw, żeby nie zamknął mnie w narożniku. Próbowałem zmylić go zwodem w lewo, ale nie dał się na to nabrać. Nie wyglądał na rozwścieczonego czy coś takiego, był raczej zaciekawiony. Gdy trafił mnie łapą, miało to być raczej przyjacielskie klepnięcie. Odrzuciło mnie jednak na jakieś dziesięć metrów. Dzwoniło mi w uszach długo jeszcze po tym, jak wylądowałem na arenie, szorując bokiem po piasku. Nim zdążyłem się podnieść na kolana, był już przy mnie, turlając mnie jak piłeczkę. Ciągłe sprawiał wrażenie, że chce się bawić - uderzał bardzo delikatnie. Jednak taki tysiackilogramowy kumpel może zepsuć każdą zabawę. Od toczyłem się poza zasięg jego łap i zerwałem na nogi.

Gdy kolejny raz zbliżył się do mnie, zakręciłem się i wskoczyłem mu na grzbiet. To mi się nawet udało. Nie wyglądał na zadowolonego i próbował mnie strząsnąć z siebie.

Trzymałem się jedną ręką, drugą próbując odszukać na jego karku punkt, o którym wspominał starzec. Było to jednak niemożliwe. Miał zbyt grube futro, abym mógł przez nie zacisnąć jego tętnicę. Teraz już szarpał głową, starając się mnie ugryźć. Kłapał przeraźliwie potężnymi zębami, a smród z jego pyska był nie do wytrzymania. Zaczynał wpadać w szal.

Spróbował przetoczyć się. Mógł z łatwością rozgnieść mnie. Zeskoczyłem mu z karku i odbiegłem tak szybko jak mogłem. Poślizgnąłem się. Nim wstałem, unosił się już przy mnie na tylnych nogach. Wiedziałem teraz dokładnie, co czuł ten stary traper. Po raz pierwszy widziałem wyprostowanego niedźwiedzia i był to porażający widok. Kolana ugięły się przede mną. Z łatwością pochwycił mnie swoją potężną łapą. Próbowałem się przeciwstawić, ale bez żadnego efektu. Pazury miał tak wielkie jak moje dłonie. Drugą łapą uderzył mnie mocno i zanim się zorientowałem, co się dzieje, przycisnął mnie do piersi. Twarz utonęła mi w

śmierdzącej sierści, zacząłem się dziko wyrywać. Kopałem i gryzłem, waliłem pięściami we wszystko, na co natrafiałem. Na nic. W uszach mi dudniło, a przed oczyma pojawiły się czerwone koła. Traciłem przytomność. Próbowałem wydobyć nóż, jednak nie mogłem.

Gryzłem, wypluwałem zatykające mi usta kłaki i wgryzałem się na nowo. Kopałem i kopałem, i kopałem, i w końcu coś musiałem trafić, ponieważ dotarł do mnie jego potężny ryk i potoczyłem się po piasku. Sięgnąłem po nóż. Był żałośnie mały.

Niedźwiedź zaatakował. Uchyliłem się. Bez wątpienia teraz już był wściekły.

Postanowiłem trafić go w oko. Pomyślałem sobie, że jest to moja ostatnia szansa. Niestety. Nie udało mi się nawet zbliżyć. Pacnął mnie łapą i zobaczyłem mój nóż odlatujący daleko w trybuny. Na zawsze.

Popatrzyłem na swoją rękę. Była skrwawiona i poszarpana, widać było odkryte ścięgna.

Musiałem się jej zbyt długo przyglądać, bo nagle pojawiła się potężna łapa, zahaczyła mnie sterczącymi pazurami i posłała w powietrze. Całe ciało miałem już pokryte krwią.

Potrząsnąłem głową. Musi być jakiś sposób. Kamera holo przybliżyła się, żeby złapać lepsze ujęcie. Nagle mnie oświeciło. Są przecież granice, do których może rosnać dany organizm. Jest jakiś czynnik, który uniemożliwia dalszy wzrost. Ja jestem maksymalnie duży jak na człowieka. Gdy przekroczy się pewne rozmiary, szkielet nie może utrzymać wagi całego ciała.

Dlatego nie można wyhodować mrówek wielkich jak domy. A ten niedźwiedź był duży. Z b y t d u ż y. Coś musi pęknąć!

Przy kolejnej szarży postarałem się trafić go nisko i mocno. Nie spodziewał się tego i na sekundę stracił równowagę. To było dokładnie tyle, ile potrzebowałem. Zebrałem wszystkie siły i uderzyłem w nogę utrzymującą cały ciężar ciała. Poszła z głośnym trzaskiem. Złamałem mu kość. Chyba uzyskałem dzięki temu przewagę. Zaryczał z bólu i stanął na tylnych łapach. O cholera! Przednia noga. Powinienem złamać tylną! Uciekałem tak szybko, jak mogłem. Jednak

za wolno. Doganiał mnie błyskawicznie. Krew ciekła mu z pyska, gdy rzucając łbem, runął na mnie. Byłem bez szans. Trafił mnie dokładnie w skroń. Na ułamek sekundy zamroczyło mnie, poczułem w ustach smak krwi. Gdy się ocknąłem, stał nade mną na tylnych łapach gotów wyprawić mnie na tamten świat. Byłem przyparty do ściany, nie mogłem już uciec. Kamera holo cichutko zbliżyła się i okrążyła nas, by w zbliżeniu transmitować być może rozszarpywanie mnie na strzępki...

Niedźwiedź wyprostował się do pełnej wysokości i odchylił zdrową łapę. Skręcając się w prawo, pochwycił za podstawę kamery. Zamachnęliśmy się w tym samym momencie, byłem jednak szybszy. Trafiłem go w czubek głowy i padł jak kłoc. Jedyne drgały mu łapy. Był załatwiony. Załatwiony w tym przypadku oznaczało nieprzytomny. A to oznaczało, że wygrałem. Musiało upłynąć parę sekund, zanim to do mnie dotarło. Równocześnie poprzez szum w uszach doszły do mnie owacje widowni.

Wygrałem! Upuściłem kamerę, która automatycznie wyprostowała się. Kwiaty i butelki po piwie wylatywały w powietrze. Było mi to obojętne. Najważniejsze, że na końcu korytarza czekało na mnie piętnaście tysięcy pesos. Ale zanim zdążyłem zejść z piasku, nogi ugięły się pod mną i chyba zemdlałem.

Kiedy otworzyłem oczy, stał przy mnie B'ooosa i dziekan. Pancho też tam był. Obraz był zamazany, nie mogłem skupić wzroku. Z kimś się kłócili. Spróbowałem u siaść, lecz bez rezultatu. Piersi miałem pokryte mięśnioplastem. W tej sytuacji mogłem jedynie próbować odzyskać ostre widzenie.

Wszyscy byli wściekli - na mnie, na Pancho, na pana Wolfe'a, na prawnika. Wszyscy byli wściekli na wszystkich. Poczuję się w domu.

- Pora, żebyś się włączył - powiedział B'ooosa, spostrzegłszy, że mam otwarte oczy.

Oczy mogłem mieć otwarte, ale mój mózg wcale nie pracował dobrze.

- Znalazłeś mnie jednak - powiedziałem.

- Olbrzym taki jak ty zostawia olbrzymie ślady. Każdy ciebie zapamiętuje. Było niezwykle łatwo cię odszukać. Nie mogliśmy jedynie odkryć, gdzie spędzasz ostatnią noc.

Ludzie w tym mieście są dziwnie małomówni. - Spojrzał wściekle na pana Wolfe'a stojącego z prawnikiem w otoczeniu swoich goryli. - A ci głupcy - wskazał na kilku kręcących się w pobliżu policjantów - przetrzymali nas tak, że nie mogliśmy wstrzymać tego idiotycznego pojedynku.

Jeden z policjantów zrobił kilka kroków w naszym kierunku.

- Głupcy? - powiedział. - Jestem oburzony. Wszyscy jesteśmy ogólnie szanowanymi...

- Zamknij się! - krzyknął B'osa wyraźnie zdenerwowany. Nie odważyli się mu przeciwstawić. Okazaliby się rzeczywiście głupcami, gdyby spróbowali.

Udało mi się usiąść.

- To już nie ma żadnego znaczenia - powiedziałem. - Było, minęło. Biorę tylko moje pieniądze i wyjeżdżamy.

- Sprawa się skomplikowała, Carl - powiedział B'osa. - Nie będzie żadnych pieniędzy.

- Żadnych pieniędzy?

- W kontrakcie zawarta jest klauzula - powiedział prawnik - która stanowi pana odpowiedzialnym za wszelkie szkody spowodowane przez pana w czasie walki. To normalny w naszych umowach środek ostrożności. Podpisał pan kontrakt, który nie stracił ważności i nie sądzę, aby zdołał go pan podważyć w jakimkolwiek sądzie. A jest pan odpowiedzialny za szkody.

- Jakie szkody? - Jedyne szkody, które przychodziły mi do głowy to te, których doznało moje ciało.

- Kamera holowizyjna, którą zastosował pan niezgodnie z przeznaczeniem, została

znacznie nadwyreżona.

- Są przecież praktycznie niezniszczalne - krzyknąłem. - Dlatego po nią sięgnąłem.

- Oszacowaliśmy zniszczenia na sumę piętnastu tysięcy pesos.

- To śmieszne! Mięśnioplast czy nie, gotów byłem rozszarpać go na strzępy.

Pancho i B'oosa przytrzymali mnie z dala od niego. Pomimo że byłem wściekły, nie

wymagało to z ich strony wielkiego wysiłku. Miałem dosyć. Z wielu powodów. Dr M'bisa, nasz

dziekan, zbliżył się do mnie. Był wyraźnie wytrącony z równowagi.

- Zapomnij o tym, Carl - powiedział. Były to ostatnie przyzwoite słowa, jakie

usłyszałem od niego przez dwa kolejne dni.

XI

Rozumiałem to. Sam sobie byłem winien. Ale z drugiej strony wszyscy byli chyba lekko przeczuleni. Odbylem kilka długich rozmów z dziekanem. Podczas jednej wręczył mi oświadczenie podpisane przez studentów stwierdzające, że nie mają do mnie pretensji za konieczność płacenia podatku. Zauważyłem, że nie było tam podpisu Pancho. Przynajmniej on mnie rozumiał. Tylko on jeden, pomimo że wpakował się przeze mnie w niezłe tarapaty. Oficjalnie nic nam nie mogli zrobić. Doładowano nam trochę dodatkowych zajęć i takie tam różne inne. Nie przekroczyliśmy żadnych przepisów, co najwyżej trochęje naciągnęliśmy. Błędne decyzje, dziecinna duma, upór - to były określenia używane przez dziekana. Szafował nimi chętnie w trakcie naszych dyskusji. Nie miałem nic przeciwko odrabianiu zaległości, skoro i tak musiałem leżeć w łóżku. Reszta studentów miała wakacje. Obowiązkowa część zwiedzania Ziemi była zakończona i mieli dziesięć dni wolnego przed odlotem.

Też miałem dziesięć dni i ciągle 14 662,50 pesos długu.

B'ooosa też mnie zbeształ, ale bez zbędnych emocji, na swój niedbały, obojętny sposób, Sądzę, że musiały go niezłe bawić moje usiłowania spłacenia długu. Powiedział mi również, że dziekan martwił się o złą reklamę i stratę potencjalnych klientów, jaką na pewno spowodowałyby śmierć jednego z nas podczas takiej nie nadzorowanej przygody.

Leżałem w hotelowym łóżku obłożony książkami, gdy weszli Pancho i B'ooosa. Książki maskowały moje prawdziwe zajęcie - przeglądałem pocztę. Była tego ogromna ilość.

- Już z powrotem z wielkiego centrum wszechświatowej kultury? - spytałem.

- Powinieneś też tego spróbować, Carl - odrzekł B'ooosa. - Może trochę wiedzy znalazłoby sobie drogę do twego zakutego łba.

- Marzę o tym - westchnąłem. - Ale jak łatwo zauważyć, jestem biednym, przykutym do łóżka inwalidą i może już nigdy nie wyzdrowieję.

Pancho rzucił we mnie książką. Złapałem ją z łatwością moją “chorą” ręką.

- Nie oszukasz mnie - powiedział - widziałem jak dziś w nocy wykonywałeś przysiady.

Sądziłeś, że śpimy. Masz szczęście, że dziekan nie polecił cię związać na tydzień lub dwa.

Opadł na krzesło, a B’oosa podszedł do łóżka i sięgnął pojedna z kopert.

- Ciągle niedźwiedzie? - spytał.

- O nie! - otrząsnąłem się. - Ale wszystko inne tak. Co to jest lew?

B’oosa odłożył list na łóżko.

- Jesteś pewien, że nie ma w tobie domieszki kiwi Maasai’pian? - spytał.

- Nie, ja... - zrozumiałem, że żartuje. - Dlaczego?

- Przypominasz mi trochę mojego młodszego brata, gdy był w twoim wieku.

Oczywiście nie był tak duży jak ty, za to ciemniejszy. Mielibyście wiele wspólnego.

- Co na przykład?

- Upór, pewną tendencję do samozniszczenia. Czy znasz słowo *eunoto*?

- Nie.

- Można by to przetłumaczyć jako “rytuał inicjacji”, ale nie oddaje to wiernie jego

znaczenia. Nasza planeta została skolonizowana przez ludzi z Ziemi, z plemienia Maasai. Byli bardzo... konserwatywni, na Ziemi prawie antytechnologiczni, zachowujący tradycje, których początki giną w prehistorii. Ci, którzy pozostali na Ziemi nadal są tacy.

- Twoi ludzie zbuntowali się? Pokiwał wolno głową.

- Dlatego nazywamy naszą planetę Nowe Maasai, czyli Maasai’pya. Zrywając ze

starymi zwyczajami, moi przodkowie przyjrzeni się temu, co stanowiło trzon tradycji Maasai i na zimno punkt po punkcie dostosowali ją do nowej, międzygwiazdnej rzeczywistości. Jedną z tradycji, która została utrzymana, chociaż w radykalnie zmienionej formie, było *eunoto*. Na Ziemi oznaczało to cztery dni ściśle określonego rytuału, zaznaczającego przejście młodego

mężczyzny z klasy wojowników do klasy starszych. Ci starsi mieli zaledwie siedemnaście czy osiemnaście lat, co pokazuje jakim beznadziejnym anachronizmem było utrzymywanie klasy wojowników. Minęły przecież wieki od ostatnich walk. Jednak samo pojęcie oznaczające okres przejścia od nieodpowiedzialnej młodości, czyli *kivulana* do rozwagi wieku dojrzałego, *mwenyeji*, było warte zachowania. Szczegóły są nieistotne. Istotne jest to, że przez rok młody człowiek nie jest ani dzieckiem, ani dojrzałym obywatelem. Samemu trzeba decydować, który rok wybiera się na *eunoto*. Zwykle jest to gdzieś między początkiem dojrzewania a dwudziestką. Jest osobny zbiór praw regulujących *eunoto*, skłaniających do podejmowania różnego rodzaju prób, nawet na granicy nieodpowiedzialności. Morderstwo jest wykluczone, zabicie w pojedynku, nie. Mój brat i ja nie nauczyliśmy się walczyć kijami na sali gimnastycznej. Nauczyliśmy się tego w dżungli i na ulicach. Musieliśmy walczyć z każdym, kto tego zażądał, a pod pewnymi warunkami również sami wyzywaliśmy na pojedynki.

- A jeśli się nie walczy ani nie wyzywa?

- Wracasz do *kivulana*. Jest to hańbiące, a ponadto musisz zacząć *eunoto* od nowa.

Niektórzy ludzie nigdy nie kończą *eunoto*. Są obiektem pogardy i współczucia.

Domyślałem się, że nadchodzi wielki morał.

- Więc co takiego zrobił twój brat? - zapytałem.

Zaśmiał się ponuro.

- Było to dosyć dziwne. Ostatniego dnia jego *eunoto* został znieważony hańbiącą obelgą. Było to wyzwanie. Zrobiono to przez trzecią osobę. Wyzywający był na drugim końcu świata i nie mógł powrócić przed upływem kilku najbliższych dni. Osoba dojrzała nie zareagowałaby na to w ogóle.

Mój brat natomiast przyjął wyzwanie, potem jednak odmówił walki. W ten sposób zemścił się, ale za zbyt wielką cenę.

- Jeszcze jeden rok wakacji?

- Otóż to. Chłopięce marzenia czy raczej powiedziałbym dziewczęce. Rząd finansuje twoje podróże do dowolnego miejsca na świecie. - Zapatrzył się przed siebie. - Wspinać się na góry, przepływać rzeki, puszyć się na promenadach, zadzierać nosa na bazarach. Przez cały rok robić, co dusza zapragnie. Testuj siebie, znajdź granice swoich możliwości. Dowiadujesz się wiele o życiu, ale przez ten rok powinieneś nauczyć się pokory, powściągliwości, poczucia celu. Osoba, która rozmyślnie powstrzymuje się od tego, jest napiętnowana do końca życia. Deklaruje bowiem niechęć do prowadzenia dorosłego życia.

- Ale otrzymuje kolejny rok obijania się na koszt podatników - stwierdziłem.

- Częściowo tak - zgodził się B'ooosa. - A czy nie widzisz, że to jest dokładnie to, co ty wyrabiasz? Zrobiłeś określony gest i samo w sobie nie było to takie złe. Ale upieranie się przy tym jest złe. To dziecinada. Co pomyślą twoi rodzice, twoja planeta, jeśli zostaniesz tutaj zabity? Co będą sądzić o Starschool?

- Moi rodzice - powiedziałem powoli - moja planeta... oczekiwaliby, że spłacę swój dług.

- Ja też - powiedział z zaskakującą siłą w głosie - gdyby to był dług, który sam zaciągnąłeś. Za ten nie odpowiadasz i nikt nie czyni cię odpowiedzialnym. Wszyscy na pokładzie Starschool patrzą na ten idiotyczny podatek tak jak trzeba, wszyscy z wyjątkiem ciebie.

Pancho siedział milcząco, przerzucając pocztę. B'ooosa spojrzał na niego, szukając potwierdzenia swych słów. Pancho wzruszył ramionami i powiedział:

- Un hombre hace lo necesario9.

- Każda planeta ma takie przysłowie - powiedział B'ooosa. - Mężczyzna musi robić to, co musi. Prawdziwe życie dopuszcza jednak wyjątki. Rok *eunoto* nauczyłby was tego. Obaj

powinniście poczernić skórę i zostać Maasai'pya.

- Może każdy musi znaleźć swoje *eunoto*? - powiedział Pancho. B'oosea przewrócił

9 *Un hombre hace lo necesario* (hiszp.) - Mężczyzna robi co do niego należy (przyp. tłum.).
oczywiście.

- Chłopcy! Że też muszę przez to przechodzić. - Zaczął chodzić po pokoju. - Jeśli nadal
będziesz walczyć z różnymi monstrami za darmo, utrzymywać kontakty z ludźmi takimi jak
Wolfe, to dorobisz się jedynie własnej śmierci. A brakowałoby mi ciebie jako formy rozrywki.

- Jak mam odróżnić dobrą ofertę od złej? Jest ich tak wiele. Spójrz! - podniosłem garść
kopert.

- Większość zawiera klauzule, które nie spodobałyby się tobie. Wszyscy próbują
wykorzystać twoją wartość nowości na rynku.

Twój brak znajomości prawa również. Gdybym miał możliwość zobaczyć twój kontrakt z
Wolfe'em, zanim go podpisałeś, nie wpakowałbyś się po same uszy w ten bałagan.

- Czy to znaczy, że masz zamiar mi pomóc?

- Jesteś jak mój brat. On także mnie wykorzystywał, jeśli na to pozwalałem. Nie chcę,
żebyś ginął, nie mając za to zapłacone. Przejrzę te kontrakty, tyle mogę dla ciebie zrobić. Nie
mów tylko dziekanowi, że miałem z tym coś wspólnego. Według niego mam na was wpływać
równoważące, wy zbóje.

To wyrwało mnie z łóżka. Rozrzuciłem oferty na stole i we trzech zaczęliśmy je
przeglądać.

- Żadnych lwów ani tygrysów - powiedział B'oosea.

- Ani niedźwiedzi - dodał Pancho.

- Rekiny i byki też wykluczone - dorzuciłem.

- W końcu to moje ciało.

- Jest tu coś. Zapasy z aligatorami w miejscu zwanym The Glades. Aligatory to po prostu wielkie jaszczury z mnóstwem zębów.

- Pozwól, że rzucę na to okiem - powiedział B'osa. Studiował ofertę przez chwilę. -

Niedobra - stwierdził. - Pieniądze wyglądają z pozoru satysfakcjonująco, ale są związane z czasem transmisji holowizyjnej. Jeśli sprzedadzą go mało, zarobisz niewiele. Lepiej poszukać czegoś większego niż ciulać pieniądze po drobnych imprezach. Odrzuciliśmy większość ofert.

- Ta wygląda interesująco - powiedział B'osa. - Nie ma żadnych zwierząt. Jest to oficjalne wyzwanie na pojedynek od drużyny gladiatorów z Lusaki. Jeśli stawisz się z drużyną o łącznej wadze nie przekraczającej czterystu kilogramów, możesz walczyć z nimi o nagrodę w wysokości sześćdziesiąt tysięcy pesos. Suma jest gwarantowana, niezależna od zysków czy strat sponsorujących korporacji. Brzmi to uczciwie, ale będziesz potrzebował zespołu.

Spojrzałem na Pancho.

- Interesuje to ciebie?

- Nie mnie. Człowieku, czterysta kilogramów Ziemiaków to prawdziwy tłum. Zadepczą nas, zagryzą na śmierć.

- Nonsens - stwierdził B'osa. - Dwójka dobrych ludzi, stojąca plecami do siebie z kijami w rękach, może powstrzymać ten tłum w nieskończoność, jeśli tylko ich przeciwnicy nie stosują broni o większym zasięgu. Gladiatorom wolno używać jedynie pałek, wibropałek, kijów albo *bolo*. Tylko *bolo* może być rzucone ze skutkiem na większą odległość, z kolei łatwo je kontrować tyczką. Należy tylko wymóc na nich limit czasu, a nie powinno być żadnych kłopotów. To łatwiejsze niż rekiny czy niedźwiedzie. I, muszę dodać, bardziej szlachetne. W to ostatnie wątpiłbym, pamiętając jak B'osa rozpląszczył mnie właśnie za pomocą kija.

- To się nie uda - powiedziałem.

- Dlaczego nie?

- Nie jestem wystarczająco dobry w kijach.

- Nie jesteś też wcale taki zły, Carl. Musisz jedynie poćwiczyć z dobrym instruktorem.

Z tego co widziałem, Ziemianie też nie są za dobrzy, nawet ci najlepsi.

- Ale zostało mi tylko kilka dni i... Hej! Zechciałbyś mnie trenować?

- Ja? Czemu miałbym mieć z tym coś wspólnego? Mój wolny czas zwykle przeznaczam na inne zajęcia niż trening pary twardogłowych małolatów chcących napisać sobie biedy. A poza tym jest jeszcze kilka muzeów, których nie widziałem.

- Ale jesteś dobry! - powiedziałem. - Najlepszy w szkole. Lepszy niż ktokolwiek na tej planecie, założę się. Mógłbyś mnie wiele nauczyć.

- Cóż... - powiedział. - Sądzę, że nawet ktoś taki jak ty mógłby w tym czasie opanować podstawy, gdyby się bardzo starał. Byłoby to również pewnego rodzaju wyzwanie dla mnie. Jeśli zdołam nauczyć ciebie, jestem w stanie nauczyć kogokolwiek. Oczywiście zajęłoby całe lata, abyś stał się w połowie tak dobry jak tego wymagają standardy Maasai'pian, znacznie mniej czasu, jeśli masz walczyć przeciwko Ziemianom.

- Może się uda - powiedział Pancho. - Mogę wystąpić z *bolo*.

- Ty?

- Jasne. Na Selvie niemal rodzimy się z *bolo* w ręce. Jestem w tym dobry. Zanim wstąpiłem do Starschool, byłem mistrzem w naszym mieście.

Mistrzem? To zaczyna być realne. Tylko...

- Potrzebujemy jeszcze drugiego specjalisty od kijów. - Mrugnąłem do Pancho. Zrozumiał od razu.

- Musi jednak być dobry - mruknął Pancho. Obaj spojrzeliśmy na B'oosa.

- Zapomnij o tym - powiedział. - Mnie to nie interesuje. Jestem za stary i za mądry na takie głupoty.

- I tak by nic nie wyszło - stwierdził Pancho. - Mr B'ooosa nie jest wystarczająco wysoki.

Potrzebni byliby dodatkowi ludzie, by cię ochraniać. Musimy poszukać kogoś większego.

- Nonsens - powiedział B'ooosa - rozmiary nie mają tu takiego znaczenia. Już ci to udowodniłem.

- Poza tym - kontynuował Pancho, uśmiechając się - musiałyby to być ktoś silny i szybki.

Ktoś odważny.

- Chcesz powiedzieć, że ja...

- Racja - wtrąciłem się, ignorując zupełnie B'ooosa. - Musiałyby to być ktoś myślący, ktoś na kim można polegać w czasie walki.

- Ale spójrzcie...

- Ktoś kto potrafi walczyć z taką łatwością, z jaką inni ludzie rozmawiają - dorzucił

Pancho. - Gdzie można znaleźć takiego kogoś?

- Mógłbym dać ogłoszenie - powiedziałem. - "Potrzebny silny, odważny gladiator, który pomógłby grupie uczniów spłacić dług. Niezbędne doświadczenie w walce z kijami.

Maasai'pyan posiadają pierwszeństwo". Może ktoś na to odpowie. Najprawdopodobniej jakiś próżniak, wrak nie potrafiący odróżnić jednego końca wibropalki od drugiego. Obaj zginiemy, próbując go ochraniać.

- Dosyć - powiedział B'ooosa. - Dosyć.

- Zrobisz to? - spytałem.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru - powiedział dobrodusznie. - Jeśli tego nie zrobię, wy chłopcy znowu wpląszczecie się w kłopoty. Poza tym to zwycięstwo powinno położyć raz na zawsze kres waszym niegodnym walkom ze zwierzętami.

Razem w trójkę wazyliśmy 320 kilogramów. B'ooosa jak na ziemskie standardy też był gigantem, mimo że ważył nędzne 95 kilogramów. Zostawało jeszcze 80 kilogramów do

uzupełnienia. I wiedziałem, gdzie mogę znaleźć owe 80 kilogramów i to cholernie dobrego gladiatora.

* * *

Odszukałem go na Plaza de Gladiatores, ale wyglądał tak, jakby to on walczył z niedźwiedziem, a nie ja.

- Szajs, Springer - powiedział Hellerianin. - Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę.

- To nie była twoja wina Marcos - odrzekłem - i dziękuję za ostrzeżenie.

Potał ręką twarz. Była opuchnięta i popaćkana mięśnioplastem.

- Byli jednak inni, którym nie spodobała się nasza rozmowa.

- Niemalże go zabili - włączył się Angelo, który także nie wyglądał za dobrze. - Było blisko.

- Nie zabiją mnie, dopóki mogą wyciągnąć ze mnie przynajmniej jednego pieprzonego peso. Spuszczą ze mnie krew, gdy będą mogli. Ale nie przyjdzie im to łatwo. Czeka ich ciężka walka. Stary Marcos nie poddaje się tak łatwo. - Pociągnął długi łyk piwa, które mu postawiłem.

- Przykro mi, że sprowadziłem na ciebie kłopoty - powiedziałem.

- Szajs, człowieku, sam je na siebie sprowadziłem. Złe wieści to moje drugie imię. Ale przecież nie powinni w to mieszać naszego małego przyjaciela. Jak on znajdzie jakąś z tych *señoritas*, jeśli będzie ciągle obijany. Skończy taki brzydki jak ja. I taki połamany.

- To był także mój biznes, *amigo* - powiedział Angelo. - Twoje kłopoty są moimi kłopotami. Marcos potrząsnął głową i spojrzał na mnie.

- Ale co cię tu sprowadza? Szukasz następnego niedźwiedzia?

- Nie, szukam gladiatora.

- To właściwe miejsce. To cholerne miasto jest ich pełne. Masz kogoś konkretnie na

myśli?

- Potrzebuję czwartego do zespołu, który zmierzy się z grupą Ziemian w Lusace. Musi być dobry w wibropałce i ważyć osiemdziesiąt kilo lub mniej. Pula wynosi sześćdziesiąt tysięcy pesos. To zagwarantowane. Jeśli wygramy, daje to okrągłe piętnaście tysięcy na głowę.
- Ważę siedemdziesiąt osiem kilo i potrafię z pałką zrobić rzeczy, których ty nawet sobie nie potrafisz wyobrazić. Za te pieniądze mógłbym wydostać się z Ziemi i uciec od Wolfe'a, zacząć gdzieś od nowa. Człowieku, jestem twój.
- Miałem nadzieję, że to powiesz.

XII

Do momentu naszego powrotu z Marcosem, B'oosea zdążył uzgodnić wszystkie szczegóły. Mieliśmy spotkać się z drużyną dziewięciu Ziemiaków: czterech z tyczkami, po dwóch z pałkami i *bolo* oraz jeden z wibropałką. Było ogólnie przyjętą zasadą, że w każdym zespole może być tylko jedna wibropałka. Sędziowie będą odsyłać zawodnika z ringu, jeśli uznają, że został poważnie okaleczony. Okaleczony oznaczało nieprzytomny lub gorzej. Jeśli po dziesięciu minutach przynajmniej jeden z naszych pozostanie na ringu, zostaniemy uznani za zwycięzców. Mecz miał odbyć się za tydzień.

To był długi tydzień. Ćwiczyliśmy bez przerwy. Musieliśmy zintegrować różne style walki naszych czterech planet. Wyglądało na to, że zaczyna się nam udawać. Na koniec opracowaliśmy strategię walki. Było rzeczą oczywistą, że skoro jest ich tak wielu, musi to być strategia czysto obronna. W przeciwnym razie walka skończy się po paru sekundach. Była to zachowawcza taktyka, gra na przeczekanie. B'oosea i ja plecami do siebie, Pancho i Hellerianin po bokach. Wydawało nam się, że w ten sposób powstrzymamy każdy atak. Zajęło nam dużo czasu, aby przekonać do tego Hellerianina.

Był zwolennikiem szkoły “zaatakować i walić po łbach”. Uważał także, że tyczka to przeżytek, broń dla maminsynków. B'oosea zmuszony był wygarbować mu skórę, tak jak to kiedyś uczynił ze mną. Po tym już nie musieliśmy wracać do tego tematu.

Lusaka była miejscem gorącym, tonącym w pyłe i kurzu. Dziesiątki tysięcy widzów otaczało mały ring, pokryty wypaloną w słońcu gliną. Było oczywiste, komu będą kibicować.

Mecz był zapowiadany jako “Ziemia przeciwko potworom z przestrzeni” czy coś w tym rodzaju. W każdym razie myśmy byli ci źli. Miałem już dosyć bycia “złym facetem”.

Wprowadzono nas na ring przy narastającym chórze szyderstw i gwizdów. Ziemiaków przywitano gorącymi oklaskami. Byli mali, ale było ich dziewięciu. Nigdy dotąd dziewięć nie

wydawało mi się tak wielką liczbą. Po ceremonii powitania podaliśmy sobie ręce. Dziesięć minut. Tylko tyle. Aż dziesięć minut.

Rozpoczęło się.

Ruszyliśmy czujnie na środek ringu; B'oosea i ja plecami do siebie, Pancho i Marcos po bokach.

- Tutaj - powiedział B'oosea i zatrzymaliśmy się.

Ziemiańskie okazywały się ostrożne, raz po raz udając, że atakują. Drobne zaczepki, nic poważnego. Zaczął Pancho. *Bolo* to ciężka, pokryta skórą kula, umocowana na końcu elastycznej liny przywiązanej do nadgarstka. Prawidłowo rzucona owija się wokół kostek przeciwnika, wywracając go. Pomysł był taki, że Pancho będzie przyciągał powalonych zawodników do Marcosa, który ich będzie wykańczał wibropalką, nie opuszczając jednocześnie strefy ochronnej naszych kijów. Jedno dotknięcie wibropalką starczy, aby wywołać chwilowy paraliż, uniemożliwiający dalszą walkę. Uderzenie w głowę jest zawsze poważne, niekiedy powoduje stałe kalectwo, czasami śmierć.

Ziemiańskie byli zaskoczeni i zmieszani. Zwykle takie mecze od samego początku przeradzają się w serię indywidualnych walk sam na sam, toczonych bez żadnych reguł. Myślę, że nie wiedzieli, co z nami począć.

Pancho zaliczył pierwszego. Pochwycił tyczkarza za nogę i pod naszą osłoną przyciągnął go do Hellerianina. Ten dotknął go wibropalką i przeciwnik zemdlał. Sędzia odgwizdał czas i zniesiono nieprzytomnego Ziemiańskie. Ośmiu na czterech. Zaczęto odliczać czas. Ta sama strategia. Tym razem Pancho wyhaczył faceta z pałką. Jeden z tyczkarzy próbował go osłonić, ale B'oosea i ja z łatwością go powstrzymaliśmy. Pałkarz zeszywniał skoro tylko Marcos go dotknął.

- Jak ryby z beczki - powiedział Hellerianin.

Przyszło mi do głowy, że jedyne ziemskie ryby, jakie znam to rekiny. Znowu zaczęto odliczanie. Przegrupowali się, kopiując nasz styl: dwóch z kijami ochraniających wibropałkę i *bolo*. To im dawało trzech ludzi walczących luzem, szarpiących nas z lewa, podczas gdy zwarta grupa naciskała nas z prawej. Mieliśmy teraz pełne ręce roboty. Trafiłem faceta z pałką w żołądek, upadł, ale nie zemdlął. Odbiłem *bolo*, sparowałem cios kija. Czuję, że B'oosa rusza się równie gwałtownie za moimi plecami. Nagle, nie wiadomo skąd, coś uderzyło mnie w lewą łydkę. Wytrąciło mnie to z równowagi i potknąłem się. Kij spadał już na mnie i z ledwością zdołałem go odbić w ostatniej chwili.

- To dla ciebie, pieprzony tyczkarzu - ryknął Hellerianin i wyłączył go z gry. Uśmiechał się, mimo że połowa jego głowy ociekała krwią i stracił kilka zębów.

Zostało już ich tylko sześciu na nas czterech i wydawało się, że mamy przewagę. Tym razem obrali na cel Hellerianina, przynajmniej na początku tak to wyglądało. Nie zauważyłem, że gladiator z *bolo* obszedł nas i zahaczył Pancho za nogę.

- Carl! - zdołał krzyknąć.

Wyciągali go już z naszych szeregów. Przesunęliśmy się, aby go osłonić, lecz mieliśmy już innych na karku. B'oosa posłał ich człowieka z *bolo* na kolana szybkim ciosem w szczękę i łagodnym na pozór uderzeniem w skroń powalił go na glinę. Sędzia powinien w tym momencie ogłosić przerwę, ale nie zrobił tego. Pałkarz, który dorwał się do Pancho naprawdę ciężko nad nim pracował. Pancho mógł jedynie próbować osłaniać twarz. Gdzie był sędzia? Wiedząc, że nie możemy przedrzeć się do Pancho, pałkarz wykorzystywał czas jak się dało, wyraźnie rozkoszując się tym. Usłyszałem jak coś pęka, zebro, może nadgarstek. Pancho naprawdę cierpiał i z pewnością upadłby, gdyby Ziemianin na to pozwolił. Podtrzymywał go uderzeniami do momentu, aż dołączył tyczkarz, który pchnięciem w brzuch uniósł go z kolan, po czym ciosem w tył głowy powalił znów na ziemię. Pancho nie ruszał się.

Dopiero wtedy sędzia ogłosił przerwę. Byłem wściekły. Pancho wyraźnie był niezdolny do walki, zanim jeszcze wziął go w obroty zawodnik z kijem. Zacząłem protestować, ale B'osa i Hellerianin powstrzymali mnie.

- Przypominasz sobie nasze siłowanie na rękę? - spytał Marcos.

Skinąłem głową.

- To jest to samo. Tak naprawdę nie ma żadnych reguł. Po prostu musimy to przetrwać.

Zostało jeszcze pięć minut. Było pięciu na trzech. Tym razem wszyscy rzucili się na mnie. Wyobrażali sobie zapewne, że jestem najsłabszym ogniwnem. Dwukrotnie sparowałem *bolo*, walcząc jednocześnie z dwoma kijami. Jednak B'osa dobrze mnie wyszkolił! Dawałem sobie z nimi radę. Nie widziałem tylko ich wibropalki.

- Springer! Uważaj na tego gnoja!

Poczułem łokieć odpychający mnie na bok. To był Hellerianin, który rzucił się między mnie i Ziemianina. Jednocześnie *bolo* zaczepiło o mój kij i podskoczył ich drugi tyczkarz. W zamieszaniu jakoś nas rozdzielono. B'osa i ja nadal staliśmy plecami do siebie, ale na zewnątrz Hellerianin pozostał sam. Stał przygarbiony naprzeciwko Ziemianina z wibropalką w ręce. W takiej walce jeden na jednego pomiędzy dwoma dobrymi przeciwnikami na pozór niewiele się dzieje. Na pozór. Wszystko zależy od wzajemnego położenia. Okrążali się, wykonując krótkie, gwałtowne ruchy, próbując wytrącić się z rytmu, zakłócić równowagę przeciwnika. Trwa to zwykle dosyć długo, po czym następuje atak, błyskawiczne prześlizgnięcie się przez obronę. Ziemianin był dobry, ale Marcos jeszcze lepszy. Wykonał skomplikowany manewr, w przelocie dotykając przeciwnika. Ten padł. Sędzia powinien odgwizdać czas. I tym razem nie zrobił tego.

Dwóch przeciwników doskoczyło do Marcosa. Kij wytrącił mu pałkę z ręki.

Chcieliśmy przyjść z pomocą, ale *bolo* zaczepiło mnie o nogę. Próbowałem się z tego wyplątać,

osłaniając się jednocześnie przed drugim tyczkarzem, który okładał mnie po ramionach. Bez broni Hellerianin nie miał najmniejszych szans. Mogli z łatwością wykończyć go od razu. Nie zrobili tego. Facet z pałką walił nieprzytomnego Hellerianina, podrzucając go tyczkarzowi, który silnymi uderzeniami w kark odsyłał go z powrotem. Raz, drugi, trzeci, czwarty. Tłum był zachwycony.

- On jest nieprzytomny! - krzyknąłem.

Coś chrupnęło w jego karku i głowa opadła mu pod dziwnym kątem. Pozwolili mu opaść na ziemię, ale bili go nadal. Przedarliśmy się do niego. Szczęśliwie udało mi się trafić i zwalić z nóg człowieka z *bolo*, który podszedł zbyt blisko. Wtedy B'ooosa nastąpił na odrzuconą wibropałkę. Niemal sam odczułem jej wyładowanie. Dopiero wtedy sędzia zagwizdał.

Zaczynało się robić gorąco. Zniesiono Marcosa i dwóch Ziemiaków. Zacząłem dyskutować z sędziami, ale to do niczego nie prowadziło. Orzekli, że B'ooosa ma pozostać na ringu, ponieważ Maasai'pian na kolanach dorównuje Ziemiakowi wzrostem. Byłem wściekły.

- Carl - powiedział B'ooosa, próbując nie okazywać bólu. - To jest jedyny sędzia, na którego możemy liczyć. - I wskazał na olbrzymi zegar na końcu boiska. Pozostały do końca dwie minuty i dziesięć sekund. Zegar właśnie ponownie zaczął odmierzać czas.

Ruszyli na nas: dwóch z kijami i pałkarz. B'ooosa na kolanach nie mógł skutecznie posługiwać się bronią. Pochylony starałem się osłaniać go jak najlepiej umiałem. Miałem nadzieję, że gdy przejdzie ból po wibropałce, z powrotem włączy się do walki. Używałem ciała jako tarczy, trzymając ich na odległość za pomocą kija. Jednak jednemu z tyczkarzy udało się trafić mnie boleśnie w zębra. Coś chrupnęło i na pewno nie był to jego kij. Wiedziałem, że poszła któraś z moich kości, ale prawie nie czułem bólu. Natomiast on wpakował się w kłopoty - podszedł zbyt blisko, by mnie uderzyć. B'ooosa być może nie mógł używać swojej tyczki, ale

nie pozostawał bierny. Chwycił Ziemanina za nogę i wytrącił z równowagi. Trzasnąłem go w bok głowy i stracił przytomność. Ale wtedy również mój bok zaczął solidnie boleć. Należało przywalić mu mocniej.

Nastąpiła krótka przerwa na ściągnięcie Ziemanina. Bok palił mnie żywym ogniem, z pewnością miałem zmiżdżone żebra. B'oośa próbował się unieść, ale nie dał rady. Nie pozwolono mu używać ani pałki, ani *bolo*. Nadal kij albo ręce. Potrafili szybko zmieniać reguły, tak że ciągle były przeciwko nam. Do końca brakowało niewiele ponad minutę. Byłem śmiertelnie zmęczony. Ciało miałem pokryte pręgami po uderzeniach.

Zbliżyli się, by nas dobić. Tyczkarz nie zezwalał na chwilę przerwy, atakując od przodu, a pałkarz krótkimi doskokami nacierał od tyłu. Mogłem jedynie próbować utrzymywać go na dystans. Za którymś razem trafił mnie jednak celnie w nogę i mięśnie zamieniły mi się w węzłki. Musiałem oprzeć się na plecach B'oośa, by nie upaść. Wykorzystali to zaraz. Tyczkarz wytrącił mi broń z ręki, ten z pałką wskoczył mi na plecy i zaczął obijać głowę i ramiona. Drugi zbliżył się, by dokończyć dzieła. Za wcześnie. Sięgnąłem ponad głowę, pochwyciłem Ziemanina za ramię i cisnąłem nim w atakującego tyczkarza. Splątany kłębek opadli na ziemię. B'oośa podał mi swoją tyczkę i ruszyłem, by porozbijać im głowy. Wtedy usłyszałem wystrzał. Ból był tak silny, że pomyślałem, iż trafili mnie. Dopiero po sekundzie dotarło do mnie, co ten wystrzał oznaczał. Koniec meczu. A ja ciągle byłem na nogach. Wygraliśmy.

Musiałem pomóc B'oośa zejść z pola. Było to niemalże tak niebezpieczne jak sama walka. Wielu zrozpaczonych kibiców rzucało w nas wszystkim, co nie było solidnie przybite. Niektórzy próbowali wdrzeć się na boisko, a miejscowi policjanci robili wrażenie, że nie chcą się przemęczyć powstrzymaniem ich.

Muszę jednak przyznać, że w biurze wszyscy byli uśmiechnięci. Mecz był olbrzymim sukcesem. Holowizja transmitowała go na żywo na całą Ziemię i retransmitowała na trzy dalsze

planety. Próbowałem odnaleźć Pancho i Hellerianina. Okazało się, że po przewiezieniu do miejscowego szpitala zostali natychmiast przetransportowani do regionalnego ośrodka intensywnej opieki medycznej. Byli w poważnym stanie. Wątpiono, czy który przeżyje. To był szok. Do tej chwili wszystko było pewnego rodzaju grą. Ludzie odnosili rany, ale nikt nie umierał. I po co to? Z powodu mojej głupiej dumy. Wszystko za nic!

Nawet nie zauważyłem, kiedy wręczono nam pieniądze. Czekał po prostu pojawił się w moich dłoniach. Spojrzałem. Cyferki wydrukowane na kawałku papieru nie równowały śmierci przyjaciół. Czułem gorycz w ustach, żołądek zaczął mi się skręcać. Nie chciałem już mieć nic do czynienia z tymi pieniędzmi. Wcisnąłem go w ręce B'oosa.

- Muszę ich odszukać - powiedziałem. Skinął głową.

- Za chwilę - powiedział. - Na razie i tak nie możemy nic pomóc. Najpierw musimy opatrzeć ciebie.

Spojrzałem na swoje ciało. Wydało mi się, że należy do kogoś innego. Było całe pokryte siniakami, wysmarowane krwią. Wyglądałem jak dziki człowiek. A czułem się jak głupiec.

XIII

Była to nasza ostatnia noc na Ziemi. Siedziałem wraz z B'ooosa przy stoliku w tawernie na Plaza de Gladiatores. Pancho był już na pokładzie Starschool, w szpitalu, zawinięty od stóp po czubek głowy w bandażu. Ale przynajmniej żył. Hellerianin nie miał takiego szczęścia.

- Niezłe miejsce, jeśli chcesz zaznać lokalnego kolorytu - powiedział B'ooosa, pociągając piwo. - Rozumiem teraz, dlaczego wolałeś to od muzeów.

Kiwnąłem głową. Nie tknięte piwo stało nadal przede mną. Nie miałem ochoty rozmawiać. Było jeszcze coś, co musiałem zrobić, zanim odjedziemy. Musiałem kogoś odnaleźć. A to było zdaje się właściwe miejsce.

B'ooosa próbował mnie rozruszać. Rzeczywiście, walka nie była fair, ale widział już gorsze rzeczy. Przystąpiliśmy do niej z własnej woli, Hellerianin również. Znaliśmy ryzyko. Biorąc wszystko pod uwagę, stwierdził, że było to nadzwyczaj pouczające doświadczenie.

- Pouczające? - spytałem. Jeden przyjaciel martwy, drugi ciężko ranny. - Czy takie są koszty nauki w dzisiejszych czasach?

- Są takie, jakie jesteśmy skłonni ponieść - odparł, wpatrując się w ciemność. - Jedni ryzykują bardziej, drudzy mniej. Życie w ogóle nie jest łatwe. Na Maasai'pys ta wiedza przychodzi wcześniej. Mój brat był młodszy od ciebie, gdy zginął.

- Zginął? Nie...

- Chodziło o sprawę dla niego ważną. Mnie wydawała się błaża. Ale dla młodego wszystko jest ważne. Być może mogłem go powstrzymać, liczył się ze mną. Ale już dawno zrozumiałem, że każdy musi sam toczyć swoje walki. Jeśli nie to, byłoby coś innego. On był nieustępliwy i głupi. Jednak miał prawo żyć tak, jak chciał. I tak umrzeć.

- Przykro mi - powiedziałem.

- Niepotrzebnie. Śmierć jest częścią życia.

- Carl! - usłyszałem okrzyk od drzwi. To był Angelo. Mały Angelo.
- Siadaj - powiedziałem, przysuwając mu krzesło. Zacząłem przedstawiać mu mego towarzysza.
- Znam tego człowieka, już go widziałem - powiedział Angelo, potrząsając jego ręką. - Walczył kijem... Odważnie... Oglądałem was w holo.
- Twój przyjaciel Markos... - zacząłem.
- Był dobrym człowiekiem. Uczciwym na swój szorstki sposób. Miał wiele problemów, ale starał się je rozwiązywać najlepiej jak umiał.
- Chcę, abyś to wziął - powiedziałem, przesuważając ku niemu paczkę.
- Co to? - spytał.
- Udział twojego przyjaciela. Markos uczciwie je zarobił. Weź te pieniądze.
- Wiele rzeczy mógłbym uczynić dzięki nim.
- Mógłbym ci coś doradzić? - zapytałem.
- *Si, amigo*. Ciebie zawsze będę chętnie słuchał.
- Zapomnij o tym, że chciałeś być gladiatorem. Tam nie ma chwały, tylko kanty i oszustwa. Ta planeta pełna jest ludzi takich jak Wolfe, gotowych w każdej chwili cię wykorzystać. Walki są czymś złym i niepotrzebnym. Cyrki istnieją tylko po to, by zaspokajać najgorsze instynkty ludzi na tej przeludnionej planecie. Kiedyś może były to szlachetne pojedynki, teraz już nie. Nie ma w nich nic heroicznego, tylko rozpacz. Ale nie wszędzie jest tak. Rozejrzyj się. Znajdź coś innego.
- Sądzę, że masz rację. Pomimo tylu zwycięskich walk, Markos zawsze mówił o powrocie na Perrin. Mówił, że tam jest lepiej. Chciał rozpocząć wszystko od nowa. On to wiedział najlepiej. Dziękuję ci. Dziękuję także w imieniu mojego przyjaciela. Dziękuję podwójnie.

- Żałuję tylko, że nie ma tego więcej - powiedziałem - tak żeby starczyło na przelot na Perrin.

- Myślę, że to powinno pokryć wszelkie związane z tym wydatki - powiedział B'osa, rzucając drugą paczkę na stół.

- Co? - spytałem.

- To są udziały moje i Pancho. Rozmawiałem z nim o twoim małym przyjacielu. W tej sytuacji uznaliśmy to za właściwe.

- Moi przyjaciele z gwiazd - powiedział Angelo - jesteście przedziwni. Nie wiem, jak mam dziękować.

- To tylko pieniądze - powiedział B'osa - a pieniądze powinny służyć użytecznym celom. Cieszę się, że taki znaleźliśmy. - Spojrzał na zegarek. - Carl, lepiej ruszajmy do kosmoportu. Nie chciałbym utknąć na tej planecie.

- Niech was nigdy nie opuszcza szczęście - powiedział Angelo, obejmując nas.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc po prostu uściśnąłem go, myśląc o Markosie z Hell. Chciałem teraz jak najszybciej opuścić tę planetę,

Gdy wyszliśmy w nocne, chłodne powietrze, odwróciłem się do B'osa.

- Jedna rzecz mnie męczy - zacząłem.

- Tylko jedna? Cóż to takiego?

- Skoro twierdzisz, że każdy powinien sam staczać swoje walki, dlaczego pomagasz Angelo? Dlaczego pomogłeś mi?

- Bo rozumię logicznie - powiedział B'osa śmiejąc się. - Nie oznacza to jednak, że muszę działać konsekwentnie.

Roześmiałem się i poszliśmy dalej.

Następnym przystankiem w naszej podróży ma być planeta Hell. Po Ziemi dla mnie

będzie niebem.

HELL

Program nauczania - Hell. Uwagi

Hell jest czwartą planetą gwiazdy Delta Pavonis. Zasiedlanie rozpoczęło się w A.C. 35, a trzon ludności stanowili żydowscy imigranci z Selvy. Ponad dziewięćdziesiąt procent imigrantów zginęło w okresie pierwszych dwóch lat; reszta z tych, którzy przeżyli, wiodła pełne niebezpieczeństw życie w pustynnych regionach, które chociaż praktycznie nie nadawały się do zamieszkania, były wolne od przerażającej fauny panującej nad resztą powierzchni planety, włączając w to morza.

W A.C. 62 imigranci sprzedali swoje prawa korporacji Mercenarios Universal SA -firmie najemnych żołnierzy, którzy postanowili wykorzystywać pustynie jako tereny ćwiczeń.

W ciągu następnych stuleci korporacja rozszerzyła swoje panowanie, dołączając obszary arktyczne i subtropikalne. Rozszerzono również pole działalności korporacji o szkolenie dowódców wojskowych z innych planet oraz w końcu o wynajmowanie spustoszonych obszarów Heli krajom, które chciały prowadzić pomiędzy sobą wojny, nie ryzykując zniszczenia własnych terytoriów.

Studenci, którzy z powodu swoich religijnych bądź filozoficznych przekonań są przeciwni tego typu działalności, mogą, a nawet powinni pozostać na pokładzie Starschool na orbicie, w czasie gdy pozostali wezmą udział w krótkim szkoleniu.

Dziekan kierujący drugą wyprawą prosił, aby zaznaczyć, iż był przeciwny włączaniu Hell w program nauczania.

I

Moje kolana w końcu poddały się i padłem ciężko na piach. Chciało mi się pić, kręciło się w głowie. Moja skóra przypominała pergamin. Oddałbym wszystko za szklanekę wody.

Gdy mówiono nam, jak ciężko jest na Heli, nie wierzyłem. Teraz uwierzyłem.

Spróbowałem otrzeć usta z piasku i przetoczyłem się na grzbiet. To był błąd. Słońce niemalże wypalało oczy, a ból w boku nasilił się. Nie mogłem złapać tchu, a ta odrobina powietrza, która się dostawała do płuc, była sucha i rozpalona. Przez chwilę na tle słońca pojawiła się ogorzała, pomarszczona twarz, przyozdobiona bliznami. Wyłoniła się znowu i przybliżyła, zatrzymując się dziesięć centymetrów od czubka mego nosa. Oddech tej twarzy kładł się na mnie jak trująca mgła.

- Szajs, Springer! - usłyszałem, - Nie masz nic lepszego do roboty niż rozwalać się tutaj jak stara baba? Zbieraj dupę w troki i zacznij ruszać nogami! No już! Ruszaj się!

Chciałem powiedzieć, że mam dosyć, że jestem wykończony, że chyba umieram.

Jednak nie na wiele to by się zdało. Ten głos nie ucichnie, dopóki się nie ruszę. Nienawidziłem tego głosu i małopokształtnego kretyna, do którego należał. Wszyscy go nienawidzili. Bruno Santino, nasz instruktor musztry doprowadzał każdego do załamania, a potem popychał jeszcze dalej. Sądzę, że mnie traktował surowiej niż innych, ponieważ jedynie ja byłem większy od niego.

Jedynym sposobem, aby się zamknął, było ruszyć się. Uniosłem się na kolana. Bolało cholernie.

- To jest to, Springer! Jeszcze zrobimy z ciebie żołnierza.

Odwrócił się gwałtownie, aby popędzić innego studenta. Nigdy nie chciałem być żołnierzem. Byłem zwykłym studentem uniwersytetu, a on zdawał się o tym zapominać. Jakoś udało mi się stanąć na nogi. W oddali na dachach baraków widziałem migocące powierzchnie

ogniw słonecznych. Budynki były prawie całkowicie skryte w ziemi, tylko dachy wystawały ponad piach. Dachy i kolczaste zarośla. Niektórzy studenci już tam dotarli - nie mieli tak długiej drogi jak ja. Dzisiejszego ranka jakiś błyskotliwy umysł ustawił manewry tak, że najwięksi mieli najdłuższą trasę do przebycia. Mógłbym udowodnić, że powinno być dokładnie odwrotnie.

Wysunąłem jedną nogę. Stała. Przesunąłem drugą i powoli poczłapałem przez pustynię. Oczywiście nikt nam nie obiecywał, że na Hell będzie łatwo. Była to najbardziej nieprzyjemna planeta Confederation do czasu skolonizowania Springworld. W tej rywalizacji Hell miałoby jednak pewną przewagę. Chwilami, gdy jestem taki zmęczony i sponiewierany, wolałbym być z powrotem na Springworld i zbierać *volmer*.

Hell posiada jeden znaczący przemysł: szkolenie ludzi w przemocy poprzez poddawanie ich przemocy. Prawie wszystko, co porusza się po tej przeklętej planecie może cię zabić, włączając w to jej mieszkańców. Może właśnie ich szczególnie. Planety, które myślą poważnie o wojnie, przysyłają tu swoich przyszłych dowódców, aby ćwiczyli się w wojennym rzemiośle. I albo się tego uczą, albo giną. To jest tak zwany kurs ciężki. Jest jeszcze inny rodzaj kursu: dla ważnych ludzi takich jak książęta. W kontrolowanych warunkach, nie narażając swego życia, uczą się jak zabijać. Jeśli im się nie powiedzie, nie umierają, lecz po prostu zostawiają wszystko i odlatują. Mogą stracić twarz, jedną czy drugą kończynę, ale nie życie. Jest to także ciężki kurs, nazywają go jednak łatwym kursem. I jest oczywiście trzeci rodzaj kursu - dla ludzi takich jak my. Studentów, którzy chcą zobaczyć, na czym polega szkolenie na Hell, jak smakuje. Nazywa się to kursem łagodnym.

Rano wyrzucono nas z łóżek o trzeciej i biegaliśmy w pełnym oporządzeniu przez szesnaście godzin. Ktoś, kogo nazywają Bruno, wrzeszczał mi w twarz, że chce ze mnie zrobić żołnierza. Wyrwałbym mu rękę, gdybym miał jeszcze trochę sił. I to ma być łagodny kurs!

Kiedy w końcu dotarłem do baraku, skierowałem się od razu do mojej pryczy. Miałem wrażenie, że jest zrobiona z cegieł i o metr za krótka. Po raz pierwszy jednak nie narzekałem. Wyciągnąłem się na niej i zasnąłem, zanim jeszcze położyłem głowę na poduszkę. Mógłbym spać dziesięć lat, a czułem, że trwało to dziesięć minut.

- Obudź się, Carl - z oddali docierał znajomy głos. - Za pół godziny żarcie.

Otworzyłem jedno oko. Czułem się, jakby w gębie jakieś padlinożerne ptaki urządziły sobie gniazdo. Efekt zwiększał zgrzytający w zębach piasek. Stopniowo obraz osoby na sąsiedniej pryczy wyostrzył się. Niska, czarnowłosa, z opadającym wąsem. Pancho.

- Opuuszczam to żarcie - jęknąłem. - Chcę spać. Potrzebuję snu, masę snu.

- Musisz jeść, *amigo* - powiedział Pancho, potrząsając mnie za ramię. - Twój organizm potrzebuje paliwa.

Mój organizm potrzebował tabliczki z napisem: Strajk. Każdy miesiąc wył z bólu, protestując przeciwko całotygodniowemu znęcaniu się nad moim ciałem.

- Pozwól, że pomyślę - powiedziałem, zamykając oko.

Nagle do baraku wdarł się szorstki głos:

- Hej, to dziecko ze Springworld, ten olbrzymi dzidzius potrzebuje snu?

Przeklęty Bruno. Nawet świadomość, że mieliśmy go nienawidzić, niewiele pomagała.

Z trudem zdołałem usiąść, otworzyłem oczy.

- Właśnie miałem zamiar wziąć prysznic i coś zjeść - powiedziałem.

Obowiązujące przepisy nie zakazywały spania podczas posiłków, było to jednak uważane za objaw rozleniwienia, a leniów traktowano tu szczególnie surowo. Posądzenie o lenistwo nie było mi potrzebne. Gdy siedziałem na brzegu łóżka, moje oczy znajdowały się na tym samym poziomie co oczy Bruna. Był wysoki jak na Hellerianina, pomimo to miałem nad nim trzy czwarte metra przewagi i byłem w dodatku o osiemdziesiąt kilo cięższy. Jednak nie

chciałbym z nim zadrzeć. Ci ludzie z Heli to prawdziwi twardziele. Zrezygnowałem więc z tego, co chciałem powiedzieć o pochodzeniu jego rodziców i zwróciłem się do Pancho:

- Co z tym prysznicem, amigo? Gotowy? - Pancho chwycił dwa ręczniki i rzucił we mnie jednym. - Idziemy.

Kurek pod prysznicem miał dwa położenia: woda zimna i jeszcze zimniejsza.

Pochodząca z odzysku woda miała cuchnący, stęchły zapach. Czy filtry były tak niewydajne, czy to było celowe? Wiele z dotykających nas nieprzyjemności było robione, aby “kształtować charakter”.

Jak na tak późną porę stołówka była zatłoczona i głośnie. Balansując z tacą, spojrzałem ponad głowami i spostrzegłem parę wolnych miejsc. Torując drogę Pancho, zacząłem przepychać się w ich stronę. Siedliśmy przy stole wraz z B'oosem, Alegrią i Miko Rileyem, który dołączył do nas na Ziemi. Nie przepadałem za nim.

- Podobał się wam nasz mały, poranny, orzeźwiający spacer? - spytał B'oose, gdy kładłem tacę na stole.

- Chyba żartujesz! - powiedziałem. - Od trzeciej na nogach, a w dodatku wczoraj wylosowałem nocną wartę. Potem do wschodu słońca gimnastyka. Dwa razy tyle na trzydziestu kilometrach piachu. Tak sobie wyobrażam marsz śmierci. B'oose roześmiał się pogodnie.

- Pustynia przypomina mi dom - powiedział. - Dobrze było się przejść i rozprostować kości. Nawet statek tak duży jak Starschool wydaje się po pewnym czasie za ciasny.

- Myślałem, że jestem w niezłej formie, dopóki nie zaczęli nas przeganiać - powiedziałem. - Jeśli tak wygląda łagodny kurs, za nic nie chciałbym zapoznać się z ciężkim.

- Z tego co słyszałem, jest zabójczy - powiedział Pancho pomiędzy łykami trudnej do zidentyfikowania brejowatej potrawy.

- Ale szkolą tu twardych żołnierzy - włączyła się Alegria. - To ich jedyny towar

eksportowy.

Skinąłem głową. Hellerianie są znani w całej Galaktyce jako pierwszorzędni wojownicy. Mogą się jedynie próbować z nimi równać ci, którzy przeszli ich kurs. Ten ciężki oczywiście.

- Mamy jeszcze przed sobą długi wieczór - powiedział Miko. - Ćwiczenia polowe w pełnym wyposażeniu.

O nie! Po powrocie nie sprawdziłem rozkładu zajęć. Co jeszcze opuściłem?

Nienawidziłem ćwiczeń w pełnym wyposażeniu. Ale nie mogłem tego po sobie pokazać. W każdym razie przy Miko.

- Będzie łatwiej niż za dnia - powiedziałem, mimo że nie byłem co do tego przekonany.

- Nie liczyłem na to - powiedział B'osa wstając. - Do zobaczenia.

Odłożył tacę na przenośnik i wyszedł z sali. Wyobraziłem sobie monstrum siedzące na końcu tego przenośnika i połykające wszystkie resztki. Żołądek ma zapewne wykonany ze stopów tytanu. Spojrzałem ponuro na własny talerz. Trzy kupy bezkształtnej, szarej masy wypełniały go po brzegi. Miało to być odżywcze i zapewnić naszym ciałom niezbędną ilość energii. Smakowało jeszcze gorzej niż wyglądało. Jedynie Pancho pałaszował szybko ze swego talerza. Zastanowiło mnie, co też oni jedzą na Selvie, co przygotowało go do spożywania takich posiłków? Wolałem jednak dłużej tego nie roztrząsać.

- Wieczorem będzie przynajmniej chłodniej powiedziała Alegria.

Pancho kiwnął głową.

- Ale za to polowe wyposażenie jest ciężkie - powiedział.

- Wydaje mi się, że waży z tysiąc kilo - dorzucił Miko. - To tak jakby nosić niedźwiedzia na grzbiecie.

- To tylko trzydzieści siedem i pół kilo - powiedziałem i ugryzłem się w język.

- Dla ciebie to może niewiele - powiedział Miko. - Ale my mamy normalne ciała.

Mogło wydawać się, że żartujemy, ale to nie były żarty. Miko i ja nie byliśmy

najlepszymi przyjaciółmi. Uważał mnie za rywala, a ja jego za intruza.

Alegria wstąpiła do Starschool na Selvie, jeden przystanek przede mną. Staliśmy się

nawet bliskimi przyjaciółmi, pomimo że była taka malutka. I muszę przyznać, w głębi ducha

wydawało mi się, że kiedyś możemy stać się kimś więcej niż przyjaciółmi. No ale Miko

dołączył do nas na Ziemi i Alegria od razu go polubiła. Lubiła wszystko, co pochodziło z tej

przeklętej, antycznej planety. Myślę, że dawałem zbyt wyraźnie odczuć, że go nie lubię i

dlatego Alegria brała jego stronę. Kiedyś ten bezczelny mały kurdupel sprowokował mnie na

sali gimnastycznej. On zaczął, a ja nie zdołałem się powstrzymać. Po prostu zrobiłem, co

musiałem. Żeby przywrócić go do znośnego stanu, potrzebował zaledwie muśnięcia

mięśnioplastem tu i ówdzie. Alegria szalała. Pancho był wściekły. Ja też. Tylko Miko robił

wrażenie, że go to w ogóle nie interesuje. Alegria wstała od stołu, wzięła swój talerz.

- Skończyłam - powiedziała odchodząc. Miko poszedł za nią, pomimo że miał jeszcze

sporo na talerzu.

- Co ja takiego zrobiłem? - spytałem Pancho. Pokręcił tylko głową i dokończyliśmy

jedzenie w milczeniu.

* * *

Spóźniliśmy się na odprawę i musieliśmy stać z tyłu na baczność. Oficer, stojący na

przodzie, obrzucił nas wzrokiem pełnym pogardy.

- Hell nie jest miejscem dla ludzi miękkich - zaczął. - Wy studenci jesteście delikatniejsi

od innych. Nie mamy wiele czasu, by was zmienić, jednak spróbujemy. Przybyliście tu, aby się

czegoś nauczyć, a my tu jesteśmy po to, by nauczyć was paru rzeczy o życiu i o tym, jak je

zachować. To nie będzie łatwe. To co było do tej pory jest dziecinną zabawą w porównaniu z

tym, co was czeka. Nasz cel jest prosty. Każdy ma granicę wytrzymałości, punkt, po przekroczeniu którego pęka, załamuje się. Doprowadzimy was do tego punktu, a później naciśniemy jeszcze mocniej. Będziecie nas za to nienawidzić. Ale może w przyszłości, w jakimś ważnym momencie waszego życia podziękujecie nam za to. Zwróćcie na to uwagę. W ciągu najbliższych dwóch tygodni możecie się czegoś nauczyć. - Rozejrzał się po sali, rozluźnił trochę i oparł o biurko. - Domyślam się, że nie lubicie tego miejsca ani otaczającej go pustyni. I słusznie. Nie jest komfortowe, ale jest bezpieczne. Nie ma tu niebezpiecznych zwierząt. No, jest ich trochę, ale nie za wiele. Te naprawdę groźne są duże i można je usłyszeć, zanim się zbliżą.

Ostrzegano nas przed niektórymi zwierzętami, ale jak dotąd nie widzieliśmy żadnego. To co słyszeliśmy o jaszczurach piaskowych wystarczyło. Miałem nadzieję, że ich nie spotkam.

- Umieszczamy grupy zwiedzających oraz takich jak wy w tych pustynnych warunkach. Dzięki temu nie tracimy ich zbyt wielu. Większość regularnych rekrutów spędza swoje pierwsze dni na Panoply. Będziecie tam skakać dziś w nocy, z pełnym wyposażeniem. Będzie to trochę niebezpieczne, ale powinniście dać sobie radę. Skaczemy o osiemnastej. Przekazuję was teraz sierżantowi Santino. To wszystko.

Odwrócił się i energicznym krokiem opuścił salę.

- Dobra, dzieciaki - rozpoczął Bruno. - To będzie długa noc.

Wiem, że w nogach macie już dzisiaj dosyć, trzeba coś zrobić, by utrzymać w formie resztę ciała. Dlatego gdy opuścicie to miejsce, wykonacie dwadzieścia okrążeń wokół obozu. Ostatnich dziesięciu robi dodatkowe dwadzieścia. Ruszać się!

Ponieważ stałem w tyle, wystartowałem pierwszy.

II

Żołądek podjechał mi do gardła, pustynia nagle umknęła spod naszych stóp.

Pochwyciłem kurczowo taśmę i zamknąłem oczy. B'ooosa zaśmiał się. Była osiemnasta co do sekundy.

Załadowano nas na trzy z tych olbrzymich floaterów przeznaczonych do desantów.

Miałem stąd dobry widok. Ponieważ moje dwa i pół metra nie dało się wpasować w standardowe siedzenie, usadzono mnie na przodzie, gdzie mogłem nawet machać nogami.

B'ooosa siedział obok mnie, a Bruno tuż za nim. Byliśmy już wysoko. Z tej wysokości baraki wyglądały jak porozrzucone czarne lusterka. Wkrótce i one zniknęły. Przemknęliśmy przez łańcuch gór i lecieliśmy teraz nad wodą.

Panoply to wyspa położona z dala od brzegu. To między innymi czyniło ją “bezpieczną”. Ponadto grupy Hellerian okresowo przeczesywały wyspę od brzegu do brzegu. Zakładano, że jest na tyle bezpieczna, na ile może być bezpieczny obszar Hell nie leżący na pustyni. Nie było to pocieszające.

Podróż zajęła nam więcej czasu niż powinna. Musieliśmy okrążyć południowy kraniec Purgatory¹⁰ . ponieważ toczyła się tam wojna. Wojna międzyplanetarna.

Muszę to wyjaśnić. Prawa Confederation w zasadzie zakazują prowadzenia międzyplanetarnych wojen. Rozumiem przez to, że nie ma okrętów staczających bitwy w przestrzeni, nie bombarduje się planet. Kiedyś podobno próbowała tego planeta o nazwie October. October już nie istnieje. Interweniowała Confederation. Wysterylizowała planetę i wymiotła ją do czysta. To skutecznie powstrzymuje wszystkich od ponowienia podobnej próby.

Oczywiście wojny nigdy według mnie nie miały sensu. Jest niewystarczający przepływ gotówki między planetami, aby warto było o nią toczyć wojnę. Od czasu do czasu, gdy dwie planety mają sobie coś do zarzucenia, rozwiązują ten problem na Purgatory. Purgatory to

średniej wielkości kontynent na Hell, który bywa wynajmowany obu zainteresowanym stronom, jeśli nie chcą zanieczyszczać własnych terytoriów. Strony podpisują kontrakt, wpłacają zastaw i toczą wojnę zgodnie z regułami. A reguły są proste: nic silniejszego niż klasa trzecia, niskomegatonowe bomby atomowe. Część zastawu idzie na uporządkowanie Purgatory, ale większość trafia do kieszeni Hellerian.

Konfederację nie interesuje, co ludzie robią na swoich planetach, więc nie brakuje kandydatów na te jedyne w swoim rodzaju kursy na Hell. Nie ma tu tylko Springerów. Mamy 10 Purgatory (ang.) - czyściec (przyp. tłum.).

wystarczająco dużo roboty, walcząc z własną planetą. Kto ma czas na cokolwiek innego? A poza tym nie staramy się narzucać wszystkim jednego sztywnego systemu. Jeśli się coś nie sprawdza, próbujemy czegoś innego, aż znajdziemy rozwiązanie. Wydaje się zbyt dużą stratą sił i środków "udowadnianie" komukolwiek, że jeden system jest słuszny, a drugi nie. Przecież albo się sprawdza, albo nie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nigdy nie było wojny na Hell pomiędzy Hellerianami. Wydaje się, że wiedzą coś, czego inni nie wiedzą.

Opuściliśmy się nisko nad wodę i ślizgaliśmy się metr nad nią, niemal dotykając białych grzbietów fal, aż do chwili, gdy wyłonił się brzeg Panoply. Wyspa otoczona była wąską, piaszczystą plażą kończącą się ścianą dżungli. Skręciliśmy do małej zatoczki i osiedliśmy na lądowisku usytuowanym w pobliżu zespołu budynków.

Wyszliśmy z floaterów i podzielono nas na grupy treningowe - TG jak się je tutaj nazywa. Uwielbiam te ich skrót. W naszej grupie znalazło się pięć osób, czyli maksymalna liczba: B'ooosa, Pancho, Alegria, Miko i ja. Pozostali zbierali się w podobne grupy. Usiedliśmy na trawie. W uszach ciągle mi dzwoniło od wiatru po locie w otwartym floaterze. Podszedł do nas jakiś Hellerianin.

- Nazywam się Vito Fargnoli - powiedział. - Większość jednak mówi do mnie Skeeter,

więc możecie się tak do mnie zwracać. - Wyciągnął nóż zza pasa i zaczął przerzucać go z ręki do ręki. - Nie wiem, co wam powiedziano o tym miejscu, ale chyba zdajecie sobie sprawę, że nie jesteście tutaj na wakacjach. Na pewno jest bezpieczniejsze niż inne, ale to niewiele mówi. Przejdziecie okrojoną wersję szkoły przeżycia, której poddajemy wszystkich świeżych rekrutów. Będzie nieco łatwiejsza, ale niewiele. Oczyszcziliśmy wyspę kilka tygodni temu, ale to duża wyspa. Mogliśmy opuścić jednego czy drugiego ssacza.

Ssacze to małe, okrągłe zwierzątka wielkości mojej dłoni. Przeważnie lubią spadać z drzew. Ciała mają miękkie, ale ich szkielet to tysiące małych ostrych kolców. Gdy trafią ofiarę, kolce wbijają się i zwierzę błyskawicznie formuje pysk w miejscu przyczepienia. Wystarczy ich kilka, aby odessać ofiarę na wiórek. A prowadzą życie gromadne.

- Czy nie powinniśmy raczej strzec się tych dużych? - spytał Miko. Hellerianin splunął na trawę.

- Niekoniecznie - powiedział. - Największe zwierzę na wyspie to bestia zwana zgniataczem. Ma sześć metrów wzrostu i cała składa się z zębów. Trzy rzędy zębów i jeśli podejście zbyt blisko, by je policzyć, będzie to ostatnia rzecz, jaką w życiu ujrzycie. Ponieważ zgniatacz nie ma naturalnych wrogów, człapie po wyspie i robi wiele hałasu. Możecie go usłyszeć z odległości kilku klików. Wtedy uciekajcie w inną stronę. Wibropałka powala go w sekundę, lecz paralizator byłby lepszy. Jednak najlepiej nie podchodzić za blisko. Przede wszystkim musicie uważać na wszelkie mniejsze stworzenia takie, jak nocne nietoperze i ziemne węgorze. Jeżeli będziecie trzymać się ścieżki, nie powinniście mieć kłopotów.

- Ścieżki? - spytałem. - Jakiej ścieżki?

- Ach wy, studenci - powiedział. - Co wy naprawdę wiecie? Nic. Zabieramy was stąd do określonego punktu i tam pozostawiamy. Ścieżką macie powrócić tutaj. Ścieżki są bezpieczne, bezpieczniejsze niż cała reszta wyspy. Jeśli będziecie się ich trzymać, nie powinno być

kłopotów. Uważajcie, gdzie prowadzi ścieżka, a wróćcie. Wydaje mi się, że nawet student to zrozumie. - Ze swego plecaka wyciągnął małe prostokątne pudełeczko o boku około piętnastu centymetrów i położył je przed sobą. - To jest nadajnik - powiedział. - Wysyła sygnał wzywający pomoc i pomaga zlokalizować wasze położenie. Musicie jedynie nacisnąć ten przycisk z boku. Czerwone światełko oznacza, że sygnał jest nadawany, zielone, że go odbieramy i spieszymy na ratunek. Jeden z was to poniesie. Tylko nie zgubcie go.

B'ooosa sięgnął po nadajnik i schował go.

- Zakładam, że już działaliście z pełnym wyposażeniem polowym?

Wszyscy skinęliśmy głowami. To nie było pytanie, raczej stwierdzenie. Ćwiczyliśmy z plecakiem na grzbiecie dzień w dzień. Bez niego czułbym się nagi na Hell.

- Macie standardową tygodniową porcję liofilizowanego pożywienia, ale nie sądzę, że wiele z tego zużyjecie. Powinniście być z powrotem w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Wyposażamy was ponadto w dwie wibropałki i paralizator. Proszę, spróbujcie nie zranić się nawzajem.

Próbowałem skryć uśmiech. Potrafiłem posługiwać się wibropałką, podobnie zresztą jak B'ooosa i Pancho, i nie widziałem w tym żadnego problemu. Jeśliby zresztą przyszło do czego, B'ooosa może zrobić sobie tyczkę z gałęzi, a nie ma rzeczy, której nie potrafiłby powstrzymać przy jej użyciu. Założę się, że udałoby mu się to nawet ze zgniataczem.

Nagle Hellerianin rzucił nożem tak, że ostrze utkwilo piętnaście centymetrów od mojej lewej nogi.

- Ty! - powiedział, patrząc na mnie. - Skąd jesteś?

- Ze Springworld - odpowiedziałem.

- Słyszałem o niej. Mówią, że to ciężkie miejsce. To prawda? Skinąłem głową i wyciągnąłem nóż z ziemi.

- Tutaj aby przeżyć - kiwnął głową w kierunku dżungli - musisz być twardszy i mądrzejszy niż tam. - Spojrzał na zegarek, - Ale od gadania nie przybywa rozumu. Ruszamy. Wręczyłem mu nóż. Mógłbym mu go odrzucić, lecz gdybym nie trafił, on mógłby się zdenerwować, a nigdy nie należy denerwować Hellerianina.

* * *

Mały floater uniósł się, muskając wierzchołki drzew. Gdy tylko zniknął, dotarły do nas odgłosy dżungli. Nic głośniego, jedynie odgłosy oddalonego ruchu i na tym tle raz po raz ryk lub skrzeczenie. Stanęliśmy bardzo blisko siebie. Z polany prowadziły cztery ścieżki.

- Którą idziemy? - spytałem. Floater wykonał po drodze tyle zakrętów, że zupełnie straciłem orientację.

- Musimy znaleźć wodę - stwierdził B'ooosa.

- Dlaczego? - zapytał Pancho.

- Strumień zaprowadzi nas do wybrzeża, a tam już łatwo znajdziemy obóz.

Wydawało się to rozsądne. Podzieliliśmy się na dwie grupy i sprawdziliśmy ścieżki.

Pancho i Alegria natknęli się na strumień płynący wzdłuż jednej ze ścieżek. Zdecydowaliśmy się na nią. Z początku nie było źle. Ścieżka była oczyszczona i wystarczająco szeroka, by dwie osoby mogły iść obok siebie. Tak jednak nie było długo. Wkrótce dżungla zamknęła się nad nami i zaczęła naciskać z obu stron. Zrobiło się ciemno. Powietrze było przesycone zapachem gnijącej roślinności.

- Jesteś pewien, że to właściwy kierunek? - spytałem B'ooosa.

Ponieważ poruszaliśmy się teraz wolno, szliśmy jeden za drugim. B'ooosa szedł za mną.

- Niezupełnie, ale prawie - odpowiedział. - Słońce zachodziło mniej więcej na tej linii.

Będziemy mogli się lepiej zorientować, gdy pokażą się gwiazdy.

- Studiowałeś mapę nieba tej planety? - zapytałem.

- Jasne - odpowiedział. - A ty nie? - Zaśmiał się i wiedziałem, że nie muszę odpowiadać.

- Padnij! - krzyknął nagle Pancho, który był naszą tylną strażą.

Rzuciłem się na ziemię i przetoczyłem na plecy. Nie wiadomo jak, wibropałka znalazła się w mojej dłoni. Ale już było po wszystkim. Około metra nad głową mignął mi czerwono-zielony ogon smagacza. Pokryłem się zimnym potem. Był blisko.

Smagacz to skrzyżowanie węża i nietoperza. Ma długie, wąskie ciało i skórzaste skrzydła. Całe ciało pokrywają ostre jak brzytwa łuski, które najeża, gdy atakuje. Jeśli muśnię twoje ramię, tracisz rękę.

Gdy, jeszcze się trzęsąc, wstawałem, B'oosa spoglądał na gąszcz, gdzie zniknął smagacz. Dałbym głowę, że się uśmiechał.

- Przepuścili tego jednego - powiedział Miko.

- Może tak, może nie - odrzekł B'oosa. Alegria też już wstała.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Usuwają wiele zwierząt, gdy czyszczą wyspę, ale nie wszystkie. Zdarza się, że jakieś przepuszczają, część jednak dezaktywują.

- Dezaktywują?

- Łuski tego smagacza zostały stępione. Gdyby cię trafił, zarobiłbyś jedynie parę siniaków, nic poważniejszego. Chyba że przestraszyłbyś się na śmierć. Kręci się tu wiele zwierząt, którym usunięto kły i pazury.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - spytałem.

- Przeprowadziłem badania na temat tej planety i dowiedziałem się co nieco i to nie tylko z map i książek. Ostatniej nocy, gdy ty byłeś na służbie, wypłem kilka piw z instruktorami. To Bruno powiedział mi o tym. Nie lubią zabijać studentów, pomimo że są od tego ubezpieczeni.

- Czy twój kumpel powiedział ci również, którą ścieżkę należy wybrać?

B'ooosa uśmiechnął się.

- Lepiej ruszajmy. Wkrótce będzie ciemno, a nie chciałbym rozbijać obozu przy świetle gwiazd.

Pozbieraliśmy się trochę przestraszeni, trochę wygłupieni i poszliśmy wzdłuż tego, co jeszcze zostało ze ścieżki. Od czasu do czasu musieliśmy wyrąbywać sobie drogę przez splątane pnącza i krzaki. W wilgotnej dżungli roślinność odradza się bardzo szybko.

Widzieliśmy jeszcze jednego smagacza, ale był zbyt daleko, abym mógł dostrzec, czy ma usunięte ostrza.

Gdy myślałem już że ścieżka ostatecznie znika, ta skręciła ostro w lewo i przed nami pojawiła się mała polana. Dobre miejsce na obozowisko. Nie widzieliśmy, gdzie nasza ścieżka opuszcza polanę. Robiło się ciemno, więc postanowiliśmy poszukać jej rano.

Alegria i Pancho rozbijali namiot, Miko zaczął szykować jedzenie, natomiast B'ooosa i ja sprawdziliśmy polanę, zbierając jednocześnie drewno na ognisko. Polana robiła wrażenie bezpiecznej. Ułożyliśmy gałęzie w stos. Zużyliśmy kilka zapalek, zanim się rozpałił.

Gotowe porcje, które mieliśmy na obiad były praktyczne, ale bez smaku. Ogień rozpaliliśmy bardziej dla własnego spokoju, mógł równie dobrze odstraszać zwierzęta jak i je przyciągać. Obsiedliśmy go wkoło i obserwowaliśmy pełgające płomienie, wydobywające raz po raz nasze twarze z cienia. Jakaś żaba zaczęła rechotać i wkrótce czuliśmy się jakby otoczyły nas tysiące tych stworzeń. Przynajmniej zagłuszały niektóre z tych mniej przyjemnych odgłosów.

B'ooosa sięgnął do plecaka i wyciągnął mały instrument muzyczny. Musiał być z Maasai'pya, gdyż nigdy dotąd takiego nie widziałem. Dmuchając wydobywał z niego wysokie, łagodne dźwięki. Grał dłuższą chwilę, a ja oparłszy się wygodnie, słuchałem. Nie znałem

dotychczas takich jego umiejętności. Ogień dogasał. Podtoczyłem następną kłodę i wsunąłem w ognisko. Pancho i Miko już leżeli. Robiło się późno.

- Zmienię Alegrię - powiedziałem.

Ciągnęliśmy słomki i wylosowałem drugą wartę. B'osa skinął głową, szturchając długim kijem żar ogniska.

- Zaraz też się kładę - powiedział. Poszedłem na skraj polany, gdzie Alegria siedziała na pieńku.

- Spokojnie? - spytałem.

- Nie - odparła. - Ale nic się nie dzieje. Myślę, że to miejsce nigdy nie jest spokojne.

- Wydaje się, że po pewnym czasie można się do tego przyzwycząić. - odpowiedziałem.

- Po pewnym czasie można się przyzwycząić do wszystkiego. Ale to nie oznacza, że musisz to polubić.

- Czy to ci przeszkadza? - zapytałem.

- Dżungla? Nie.

- A ja?

- Ty co?

- Czyja tobie przeszkadzam?

- Czemu o to pytasz? - Zwróciła się do mnie. Połowę twarzy miała w cieniu, drugą oświetlały płomienie ogniska.

- Wydawało mi się... - szukałem właściwych słów. - To znaczy, od kiedy Miko dołączył do wyprawy...

- Nie zaczynaj od nowa, Carl. Jesteś moim przyjacielem i on także. Zostawmy to tak jak jest.

- Ale myślałem...

- To właśnie twój problem. Za dużo myślisz. Jak na takiego dużego faceta za bardzo sobie zawracasz głowę małymi rzeczami. Idę się położyć. Krzycz, jeśli zobaczysz jakieś bestie.

- Ale Alegria...

- Ale co, Carl. Co? - Wyglądała na zmęczoną.

- Nic - odpowiedziałem. - Zobaczymy się rano.

Odeszła do obozu bez słowa. Czułem się głupio. Nie wiem czemu, ale zawsze mówię nie to co trzeba, gdy ona jest w pobliżu. Zwykle umiem rozmawiać z ludźmi, ale przy niej mój mózg odmawia pracy i popełniam błędy. I wtedy czuję się cholernie głupio.

Dostrzegłem, że B'oosa i Alegria dokładają do ogniska i znikają w namiocie. Byłem zdenerwowany. Przewiesiłem paralizator przez ramię i zacząłem obchodzić polanę. Nie uspokoiłem się. Zrobiłem w tył zwrot i poszedłem w odwrotnym kierunku. Wokół obozu nie zauważyłem żadnego ruchu. Słysząc było jakieś pomrukiwanie, szelesty, ale przede wszystkim żaby. Pozostałe hałasy dochodziły z daleka. Raz tylko wysoko nad głową przeleciał nocny nietoperz. Z nimi jednak nie ma problemu, jeśli nie znajdą się za blisko. Usiadłem na kamieniu. Dziwne, ale zacząłem myśleć o Springworld. Nie poświęcałem jej zbyt dużo czasu, od kiedy wstąpiłem do Starschool. Byłem pierwszy w mojej rodzinie, któremu dano szansę zdobycia takiego wykształcenia. Byłem pierwszy w ośmiu pokoleniach Boków, który zdołał uniknąć życia żniwiarza, życia rządzonego kapryсами wrogiej planety, fanaberiami bezlitosnych handlarzy, od których jest się tam całkowicie zależnym. Byłem nadzieją mojej rodziny. Ich marzenia były związane ze mną. A czasami czuje, jakby to wszystko szło na marne. Wydaje mi się, że nic nie wiem i nigdy się nie nauczę.

Gdy tak siedziałem, widziałem zaledwie kilka gwiazd nad wierzchołkami drzew.

Czułem, że jestem bardzo daleko od domu. Zdrętwiała mi noga. Zacząłem nią ruszać, aż powróciło krążenie. Nadsłuchując czujnie nocnych odgłosów, okrążyłem polanę. Może Alegria

ma rację. Może rzeczywiście za dużo myślę. Nie za dobrze, ale za dużo. Kontynuowałem spacer. Wkrótce nadszedł Miko. Miał następną wartę. Wręczyłem mu paralizator i powiedziałem, gdzie zostawiłem latarkę. Na razie nie musieliśmy jej używać. Dołożyłem parę gałęzi do ognia, wszedłem do namiotu i wczłogałem się do śpiwora. Alegria spała tuż obok, odległa jednak ode mnie o tysiące lat świetlnych. Szybko zapadłem w niespokojny sen.

Obudziłem się, gdy ktoś nastąpił mi na ramię. To był B'ooosa spoglądający na zewnątrz przez płachtę zasłaniającą wejście. Zacząłem siadać. Odwrócił się i położył palec na ustach.

- Co jest? - wyszeptałem.

- Kłopoty - odpowiedział. - Duże kłopoty.

Wydostałem się ze śpiwora i podczołogałem do niego. Ujrzałem pięć lub sześć dziwnych cieni na skraju polany. Miko leżał wyciągnięty przy pniu - śpiący, martwy czy nieprzytomny?

- Co to? - zapytałem. - Nie mogę ich rozpoznać.

- Ślimak-zabójca - odpowiedział.

To był rzeczywiście wielki kłopot. Nazywa się ślimakami, ponieważ mają na grzbiecie muszlę, lecz na tym podobieństwo się kończy. Poruszają się błyskawicznie na tysiącu małych nóg. Wokół muszli wyrasta kilka grubych macek wydzielających truciznę. W małych ilościach trucizna nie zabija od razu, natychmiast jednak pozbawia ofiarę skóry.

- Czy one są... zdezaktywowane? - spytałem.

- Wątpię. Powąchaj.

Nie mylił się. To był ostry, kwaśny zapach kwasu solnego. Jeden ze stworów zbliżał się do Miko. Poruszał się wolno, nieustannie ruszając mackami.

- Co robimy? - prawie wykrztusiłem.

- Zbudź resztę.

- Już nie śpimy - odpowiedziała zza moich pleców Alegria.

- Musimy dostać się do paralizatora - powiedział B'ooosa. - To jest jedyny sposób, żeby je załatwić. Miko jest bezpieczny, dopóki się nie rusza. Może tylko śpi. Czy ktoś ma pochodnie magnezjowe?

- Ja. - To był Pancho. - Może z tuzin.

- Moglibyśmy spróbować odwrócić ich uwagę. Gdyby udało ci się wrzucić je do ognia, to w zamieszaniu moglibyśmy dotrzeć do Miko.

- Wszystkie? To spowoduje...

- Wiem, co to może spowodować. Dużo hałasu, dużo światła, dużo ognia, lecz tylko to nas może uratować.

- Kto idzie po broń? - spytałem.

- Wszyscy. Pancho pierwszy, ja za nim. Carl, bierzesz wibropałkę, Alegria drugą. Nie używajcie ich, chyba że będziecie zmuszeni. Jeśli będziecie na tyle blisko, by go dotknąć, uważajcie, bo on też sięgnie was mackami. Nie próbujcie robić nic niezwykłego. Jeśli się dostaniemy do paralizatora, mamy je z głowy. Spróbujcie osłaniać Pancho, on jeden jest bez broni.

- A ty? - zapytał Pancho. - Gdzie masz broń? B'ooosa schylił się i podniósł solidny drąg.

- Wyciąłem to wczoraj wieczorem.

- A co z tym przy Miko? - spytała Alegria.

- Poradzimy sobie z nim. Liczę na fajerwerki. Jeśli teraz krzykniemy na Miko, instynktownie poderwie się i ślimak załatwi go w sekundę.

- Mam już te pochodnie - powiedział Pancho. Ścisnąłem wibropałkę, Alegria swoją.

- Idziesz pierwszy - B'ooosa zwrócił się do Pancho. - Gdy będziesz gotowy, ruszaj.

Pancho wyskoczył z namiotu i pobiegł nisko pochylony, my kolejno za nim.

Wyplątywałem się właśnie z płachty u wejścia, gdy ujrzałem pochodnie wpadające w ognisko.

Przypadłem do ziemi. Wstrząs uniósł mnie i przetoczył. Chwyciłem wibropalkę i chwając się, stanąłem na nogach. Ślimaki wydawały się zdezorientowane wybuchem. Niezdecydowane kręciły się w tę i z powrotem. Alegria i B'ooosa znaleźli się na czworakach między ogniskiem a jednym z zabójczych stworzeń. Ruszyłem ku niemu. Jednakże wibropalka nie działa przez muszlę. Krzyknąłem. Ślimak okręcił się zadziwiająco szybko i zaatakował, trzaskając szczękami i smagając powietrze mackami. Gdy zbliżył się na kilka metrów, włączyłem broń i brzęczącą rzuciłem w jego stronę. Z przerażającym, rehotliwym wyciem rzucił się na nią. Potem potknął się i wylądował na grzbiecie, drgając skręcającymi się nogami stonogi. Ostrożnie podniosłem broń i rozejrzałem się dokoła. Miko już stał, ale między nim i paralizatorem znajdował się jeden ze ślimaków-zabójców. B'ooosa utrzymywał na dystans drugiego, ochraniając Alegrię i siebie. Stałem o sekundę za długo i jedna z trzepoczących macek przewróconego ślimaka dotknęła mojej ręki. Było to jak uderzenie płonąca pochodnią. Odskokczyłem w tył i upuściłem wibropalkę. Pancho podbiegł, pochwycił ją i natarł na ślimaka stojącego na drodze do paralizatora. Zaczął okręzać go ostrożnie, ale podszedł za blisko. Macki świsnęły i jedna okręciła się dokoła jego lewej nogi. Rzuciłem się na pomoc. Poradził jednak sobie sam, waląc potwora w paszczę, gdy ten zbliżył się. Pancho zareagował identycznym przewrotem jak mój. Odtoczył się, trzymając się za nogę i jęcząc. Podbiegłem po paralizator, wystrzeliłem szybko kilka razy i naraz zapadła cisza. Słysząc było tylko strzelające w ognisku gałęzie i głos przeklinającego Pancho.

Pochyliliśmy się nad nim z Alegrią. Kwas przepalił nogawkę i zaczynał wżerać się w ciało. B'ooosa odepchnął mnie, wyciągnął osobisty zestaw pierwszej pomocy, rozdarł nogawkę aż do kolana i nałożył maść na ranę. Wydawało się, że wie, co robi. Poza nim nikt nie miał przy sobie apteczki. Zerknąłem w kierunku namiotu, gdzie pozostawiłem swoją. Z namiotu zostały tylko poczerńiałe maszty i kupka stopionego plastiku.

B'ooosa zaaplikował trochę maści również na moją rękę. Maść była zimna i łagodziła pieczenie, ale głęboki, pulsujący ból pozostał. Wyobrażałem sobie, co czuje Pancho.

Miko usiadł obok mnie.

- Jak to się stało? - zapytał.

- Właśnie chciałem ciebie o to zapytać - powiedziałem ostro.

- Ja chyba... - zaczął - to znaczy... nie widziałem ich.

- Co oznacza, że po prostu zasnąłeś.

- Chyba tak.

- Mogliśmy już nie żyć. Wszyscy. - Myślałem bardziej o Pancho niż o sobie. Poczulem się zawiedziony. Zaczęła ogarniać mnie złość. -To było głupie! Bardzo głupie!

- Carl! - odezwała się Alegria. - To nas do niczego nie doprowadzi.

- Ona ma rację - dorzucił B'ooosa. - Lepiej wezwijmy pomoc.

Sięgnął do plecaka i wyciągnął nadajnik. Nacisnął przycisk, czerwone światełko nie zapaliło się. Ani zielone. Nacisnął powtórnie i jeszcze kilka razy. Bez efektu.

- Wygląda, że jesteśmy zdani sami na siebie - powiedział.

- Podejrzewam, że Bruno o tym nie wspominał — mruknąłem.

Potrząsnął głową.

- Jak się czujesz, Pancho?

- Boli, *amigo*, ale wytrzymam.

- Wyruszymy o świcie - zdecydował B'ooosa. - Powrót nie powinien nam zabrać wiele czasu.

Zebraliśmy resztki ekwipunku nadające się jeszcze do użytku. Nie było tego wiele.

B'ooosa i Miko byli jedynymi osobami, które zachowały swoje wyposażenie. Nasze spłonęło w namiocie.

Resztę nocy przesiedzieliśmy. Nikt nie spał. Za każdym razem, gdy ręka zaczynała

mnie boleć, myślałem o Pancho i próbowałem nie zwracać na nią uwagi. Jego musiało boleć znacznie bardziej. Unikałem Miko. B'ooosa i Alegria odbyli z nim długą rozmowę. Chociaż wiedziałem, że to nierozsądne, winiłem go za to, co się stało. Kiedy zaczęło się rozjaśniać, wycięliśmy krótkie tyczki i łącząc je pnączami, zmontowaliśmy coś w rodzaju noszy dla Pancho. On nie mógł już się poruszać.

Miko i B'ooosa odnaleźli ścieżkę prowadzącą z polany. Ogień wygasł i polana przypominała pogorzeliisko. Ślimaki nie były martwe, ale zapewne jeszcze dużo czasu upłynie, zanim się poruszą. Miałem nadzieję, że do tego czasu nadejdzie coś dużego i je pożre. Zebraliśmy całe jedzenie, wydzieliliśmy po trochę dla każdego i ruszyliśmy.

W ranie na nodze Pancho wywiązało się zakażenie. Noga bolała go przy dotknięciu, a wokół rany pojawiły się czerwone smugi. Wkrótce będzie potrzebował pomocy doświadczonego specjalisty. W swojej ręce czułem rwanie, zaczynała puchnąć.

Posuwaliśmy się szybko. Ja niosłem nosze od strony głowy Pancho, Miko od strony nóg. Szedłem pochylony, lecz mimo to nosze z mojej strony były uniesione wyżej. B'ooosa szedł pierwszy, torując drogę i kontrolując otoczenie. Alegria szła za nami, niosąc plecak Miko i osłaniając tyły. Zestrzeliła z paralizatora jednego z dwóch zauważonych smagaczy, który podleciał niebezpiecznie blisko.

Szedłem z trudem. Pancho nie był ciężki, ale pokonaliśmy już sporo i ręce zaczynały mnie boleć. Od czasu do czasu B'ooosa wcierał trochę maści w nogę Pancho i w moją rękę. Pomagało, lecz na krótko. Zanim zatrzymaliśmy się na lunch, Pancho zaczął majaczyć i wkrótce zemdlął. W milczeniu zjedliśmy. Posiłek nie smakował nikomu. Miko z ponurym wzrokiem siedział na kamieniu. Nie wybiegałem myślami w przyszłość dalej niż o krok. B'ooosa obracał w rękach nadajnik. Wszystko szło nie tak. Skończyliśmy jedzenie i ruszyliśmy dalej. Miałem ochotę położyć się i poddać. Moje ciało nieprzyjemnie pulsowało. W lewą nogę

złapał mnie kurcz i co chwila potykałem się. Byłem przekonany, że nie dojdziemy do obozu.

B'osa mógł się pomylić, mogliśmy iść w złą stronę. Skończyła się maść, gorączka Pancho rosła. Ja również zacząłem gorączkować. Czułem, że zdołam ująć ze dwadzieścia kroków i upadnę. Odliczyłem dwadzieścia kroków i zmusiłem się na następną dwudziestkę. I jeszcze następną. Posuwałem się ścieżką przekonany, że każdy kolejny krok jest moim ostatnim krokiem. Parę razy chyba upadłem. Jak przez mgłę pamiętam, że B'osa mi pomagał. Jednak to nie był B'osa, to był ktoś inny. Ktoś mi znany. Scooter? Skeeter! Vito Fargnoli, Hellerianin, który nas wyprawiał? Bruno też tam był. Próbowałem mu coś powiedzieć, zalała mnie wściekłość i wszystko pociemniało. Wpadałem w tunel, czarny tunel.

Kiedy przyszedłem do siebie, leżałem wyciągnięty na pryczy. Pierwsze, co zauważyłem to to, że prycza

była za krótka. Dopiero potem spostrzegłem bandaż na ręce. Usiadłem. Z sąsiedniej pryczy uśmiechnął się do

mnie Pancho.

- *Buenos dias, amigo* - odezwał się. - Jak ci się spało?

- Spało? - potrząsnąłem głową, próbując się obudzić.

- Przespałeś cały dzień. Jak się czujesz?

- W porządku. Ale ty...

- Też w porządku, *amigo*, spójrz!

Ściągnął koc i pokazał mi nogę. Z trudnością można było wypatrzyć, gdzie mięśnioplast łączył się z ciałem. Zajrzałem pod mój bandaż. Ręka też wyglądała dobrze.

- Muszą mieć tutaj niezłych lekarzy - powiedziałem.

- Najlepszych - odpowiedział. - Sprowadzają ich z Ziemi.

- Teraz to jasne.

- Przynieśli ci rosół. Spróbuj.

Spojrzałem na miskę stojącą przy łóżku i przypomniało mi się, jak Pancho zajadał tę szarą bryję. Byłem głodny, więc spróbowałem. Nie było złe. Zaskoczyło mnie to. Pierwsze znośne jedzenie na Hell. Zjadłem wszystko.

- Spójrz tylko - powiedział Pancho, wyskakując z łóżka.

- Poczekaj! Nie...

- Jestem zdrowy, Carl. To było zwykłe działanie trucizny na organizm. Jeden zastrzyk i po krzyku. Widzisz?

Spojrzałem i zrobiło to na mnie wrażenie. Wyobrażałem sobie, że w najlepszym wypadku będzie leżał przez tydzień. Kiedy go widziałem ostatnim razem, myślałem, że umiera. Cuda współczesnej medycyny. Poruszyłem palcami. Działały bez zarzutu. Kolejny cud.

- Co ja zatem jeszcze robię w łóżku?! - wykrzyknąłem.

- Zabij mnie, ale nie wiem, *amigo*. Chyba śpisz. Kochasz przecież spać. Ubierzmy się i poszukajmy innych.

To był dobry pomysł. Ubraliśmy się i wyszliśmy. W stołówce samotnie siedział B'ooosa.

Nie wiedział, gdzie są Alegria i Miko. Nie wiem, dlaczego mnie to dotknęło, ale jednak dotknęło. B'ooosa robił wrażenie pochłoniętego własnymi myślami. Pomimo to usiedliśmy przy nim.

- Co dobrego? - zapytał Pancho.

- Nic - odparł, odsuwając filiżankę z kawą. - W każdym razie niewiele.

- Co zatem złego? - nie ustępowałem. Nigdy dotychczas nie widziałem B'ooosa w tak złym nastroju.

- Przez cały czas tam byli - powiedział spokojnie.

- Kto? Gdzie?

- Hellerianie - powiedział B'ooosa, kiwając głową. - Nie spuszczała nas z oczu ani na

minutę. Skeeter i Bruno nie odstępowali nas przez cały czas. Wkroczyli w ostatniej chwili.

- To znaczy, że pozwolili, aby się to wszystko przytrafiło? - Nie mogłem uwierzyć.

- Obawiam się, że tak. To część ich łagodnej szkoły przeżycia.

- Przeżycia! Mogli nas przecież zabić!

- Wątpię - stwierdził B'oose. - Zareagowaliby, gdyby było naprawdę groźnie.

- Jesteś pewny?

B'oose spojrział na mnie zamyślony.

- Nie, nie jestem. Ale chciałbym w to wierzyć.

- A nadajnik?

- Wtedy nie miał pracować. Następnym razem będzie. Tak mnie zapewnili.

- Następnym razem! Jakim następnym razem?

B'oose skinął głową w kierunku drzwi.

- Właśnie nadchodzą. Niech ci sami powiedzą. Skeeter i Bruno zbliżyli się do stołu.

Poczułem ochotę rozwalić im głowy.

- *Hello*, studenci - odezwał się Bruno. - Co powiecie na odrobinę mrozu?

- Jakiego mrozu? - zaciekawiał się Pancho.

- Skaczecie o ósmej - powiedział Bruno, rzucając na stół kopertę. - Tu są plany.

Wieczorem przygotujcie wasze oporządzenie jutro rano będziemy już na płaskowyżu. Do

zobaczenia. - Odwrócił się i wyszedł. Skeeter zatrzymał się na sekundę.

- Jesteś zdrowy Pancho? - zapytał. Pancho wzruszył ramionami.

- Myślę, że przeżyję.

Skeeter sprawiał wrażenie podenerwowanego, zaczerwienił się lekko.

- Przykro mi, że tak się stało. Gdyby to ode mnie zależało...

- Skeeter! Rusz się! - wrzasnął Bruno od drzwi.

- Przykro mi, Pancho, naprawdę przykro - powiedział Skeeter i wyszedł. B'ooosa

otworzył kopertę.

- Ta sama zasada - powiedział. - Tylko tym razem warunki arktyczne. Niedobrze, nie lubię, gdy jest mi zimno. Mogę znieść upał, ale zimno...

- Kto jedzie? - spytałem.

- Ten sam zestaw.

- W żadnym wypadku - powiedziałem. - Odmawiam wyprawy z Miko. Nie pozwolę, aby moje życie zależało od tego, czy on zaśnie.

- Uciszyć się, Carl - powiedział Pancho. - Jemu jest naprawdę głupio i sędzę, że chciałby się jakoś zrehabilitować.

- Nie obchodzi mnie to. Z nim nie pojedę.

- Pojedziesz - powiedział spokojnie B'ooosa.

Przysunął do mnie przydziały zadań. Były podpisane przez dziekana. Mógłbym się z tego wykręcić, gdybym chciał. Gdybym chciał oblać egzamin, gdybym chciał wyglądać jak tchórz, gdybym chciał czuć się jak głupiec. Byłem w pułapce. Gdyby kto inny, nie dziekan podpisał przydział, miałbym jakąś szansę. On nie podpisuje wielu dokumentów. Oznacza to, że z takich czy innych powodów chciał, żebyśmy byli razem.

Zastanawiałem się teraz tylko, jak tam będzie zimno.

III

Wydawało się za łatwo, co sprawiło, że stałem się podejrzliwy. Wyszliśmy na wierzchołek małej góry, a miejsce, do którego mieliśmy dotrzeć, znajdowało się po drugiej stronie doliny leżącej poniżej. W oddali mogliśmy nawet dostrzec wierzchołki anten tamtejszej bazy. Mieliśmy tylko zejść w dół i przebyć deltę rzeki płynącej doliną. Nie mogło to być więcej niż trzydzieści klików. Bułka z masłem!

Podzieliliśmy się, by poszukać łatwego zejścia. Jednak takiego nie było. Znalazłbym około tuzina dróg, które by się nadawały, gdybym był sam, a nie związany z grupą. Na Springworld już od piątego roku życia wspinałem się na góry takie jak ta. Spośród pozostałych jedynie B'oosa miał doświadczenie w chodzeniu po górach, reszta pochodziła z nizin. W domu nazywaliśmy ich niziniakami.

B'oosa znalazł drogę, którą jak sądził, zdołamy wspólnie zejść. Zaczynała się stromą ścianą prowadzącą ukosem w dół do pionowej szczeliny. Formacja tuż nad szczeliną mogła utrudnić dojście, zapewne trzeba będzie pokonywać ją trawersem. Poniżej trasa wydawała się już łatwa.

- Co o tym sądzisz? - spytał B'oosa.

Przyjrzałem się jeszcze raz pionowej ścianie. Powierzchnia klifu była nierówna i powinna zapewnić dobre zaczepienie dla rąk i nóg. Z drugiej strony było zimno, możemy więc natknąć się na lód. Spojrzałem na niebo. Było kamiennoszare. Z pewnością zbliżała się burza. W takich warunkach normalnie nie rozpoczynałbym schodzenia.

- Powinniśmy dać radę - odpowiedziałem - przynajmniej nie pada śnieg.

- Jeszcze nie pada - powiedział B'oosa.

Zawołaliśmy pozostałych i wyjaśniliśmy im, co i jak musimy zrobić. B'oosa idzie pierwszy, ja na końcu. Nikomu nie wolno się ruszać dopóki albo ja, albo B'oosa nie zezwolimy.

Powtórnie sprawdziliśmy ekwipunek i zbliżyliśmy się do krawędzi.

B'osca ruszył do przodu. Obserwowałem jego ruchy - był świetny. Odrywał tylko albo jedną nogę, albo jedną rękę. Bardzo ostrożnie sprawdzał każdy uchwyt, zanim powierzył mu swój ciężar. Po drodze wbijał haki w ścianę, zaczepiając linę o uchwyty. Kierował się nie tyle w dół, ile w bok, prowadzony raczej przez ścianę niż przez nasze życzenia. Wkrótce zatrzymaj się i krzyknął, by do niego dołączyć. Znalazłem dobre, bezpieczne miejsce. Lina prowadziła ode mnie w dół bez załamania i nagłych skrętów.

Pancho ruszył drugi. Szedł powoli, również sprawdzając każdy uchwyt kilka razy. Gdy docierał do każdego haka, wybierał trochę liny z dalszego końca i zaczepiał ją z prawej strony pasa. Wisiał tak potem przez sekundę, zanim odczepił prowadzącą linę z lewej strony i mijał hak. Szedł powoli, ale robił to dobrze. Nie istnieje nadmiar ostrożności na ścianie. Za nim szła Alegria. Wyruszyła, gdy Pancho był w połowie drogi. Poruszała się z łatwością i z wdziękiem. Nigdy nie widziałem, by ktoś posługiwał się linami tak naturalnie. Gdybym nie znał prawdy, pomyślałbym, że chodzi po górach od urodzenia. Jej ruchy były ostrożne, ale płynne. Nie wyczuwało się w nich śladu nerwowości. Była jakby częścią tych gór. Poruszała się jak kot i pomyślałem sobie, że dobrze, gdy taka osoba idzie pośrodku.

Następny szedł Miko. Nie był zbyt pewny, ale też nie popełniał błędów. Kilka razy zatrzymał się i miałem wrażenie, że nie potrafi znaleźć kolejnego uchwytu. Ja dostrzegałem je nawet stąd. Poszedłem za nim i starałem się mu pomagać. Od razu wpadłem we właściwy rytm. To dziwne jak pewnych wyćwiczonych umiejętności się nie zapomina, nawet jeśli nie wykorzystywało się ich przez lata. Poczułem się jak w domu. Nawet to, że Miko szedł przede mną, nie przeszkadzało mi specjalnie. Większość sądzi, że najbardziej niebezpieczną pozycję na linie ma prowadzący. To nieprawda. To ten na końcu ryzykuje najwięcej. Wiem to, chodziłem zarówno na początku, jak i na końcu.

Trasa stawała się coraz trudniejsza. B'ooosa zapuścił się w ślepią uliczkę i nie mógł posuwać się dalej. Mógł wbić hak, rozhuścić się i złapać uchwyt, ale inni zapewne nie potrafiliby tego powtórzyć. Musieliśmy wycofać się i poszukać innej drogi. Kosztowało to nas wiele cennego czasu, a wiatr stawał się wciąż silniejszy. Po sygnale, który dał B'ooosa, ruszyliśmy dalej. Zanim do niego dołączyliśmy, wiatr rozhulał się na dobre. Nie mieliśmy jednak wyjścia, musieliśmy zacisnąć zęby i posuwać się dalej. Do szczeliny mieliśmy dwie długości liny. Przynajmniej tam będziemy osłonięci od wiatru. B'ooosa ruszył już dalej. Zaczęło padać. Niezbyt silnie, ale deszcz w połączeniu z wiatrem dawał się dwukrotnie bardziej we znaki. Skały zrobiły się śliskie i poruszaliśmy się znacznie wolniej. Chciałem dotrzeć do szczeliny, zanim skały zaczną się pokrywać lodem i chyba właśnie wtedy popełniłem błąd, schodząc za szybko. Gdybym się tak nie spieszył, na pewno by się to nie wydarzyło.

Miko odszedł dosyć daleko do przodu, gdy natknąłem się na kłopotliwy węzeł na sznurze. Wszyscy byli poza zasięgiem wzroku zasłonięci występem skały, a ja spieszyłem się, by ich dogonić. Kiedy wreszcie dotarłem, miałem dobre zaczepienie tylko w dwóch punktach i zbyt dużo luzu na linie. Miałem dobre podparcie lewej nogi i bezpieczny uchwyt dla lewej ręki, prawą stronę blokowało wybrzuszenie skały. Byłem pewny, że za nim znajdę następny dobry uchwyt. Przerzuciłem więc ciało i w momencie, gdy mój środek ciężkości mijał występ, zorientowałem się, że popełniłem błąd. Zbyt dużo luzu, za daleko od najbliższego haka. Jeśli nie złapię się czegoś po drugiej stronie, odpadnę. Było to zgodne z prawami fizyki: swobodny spadek ciała. Nie było nic, o co mógłbym się zaczepić. Palce ześlizgnęły się po mokrej, gładkiej skale. Spadałem. Wszystko działo się jak na zwolnionym filmie.

Nie pierwszy raz spadałem, wiedziałem więc, co mnie czeka. Przy kolejnym haku lina wyprostuje się i zawisnę na skale. Starłem się rozluźnić mięśnie. Nastąpiło ostre, podwójne szarpnięcie liny. Mogłem się założyć, że puścił hak. Teraz już wszystko mogło się zdarzyć.

Skąła raniła mi twarz i rozrywała ręce, próbowałem złapać się mijanych występów. Gdybym się zdołał o coś zahaczyć, przynajmniej złagodziłoby to upadek, jednak nie byłem w stanie.

Skąła była mokra od deszczu, a moje ręce śliskie od krwi. Usłyszałem, że ktoś krzyczy. Może to był mój głos? Gdy prawa stopa uderzyła o wystający kamień, mocniej przywarłem do ściany.

Wzdłuż boku poczułem ból rozdieranego ciała, ale zsuwałem się już wolniej. Modliłem się o najmniejszy uchwyt dla rąk, dla nóg, zębów, czegokolwiek. Szczęką uderzyłem o mały występ.

Przytuliłem się do ściany i jakoś zdołałem się zatrzymać. Czekałem, kiedy obok przeleczą inni, pociągając mnie za sobą. Jednak nic się nie działo. Słyszałem jedynie własny ciężki oddech.

Nie rozumiałem, dlaczego nie spadam dalej. Na ile się orientowałem, nie miałem najmniejszego punktu podparcia. Z rozpostartymi ramionami przyciskałem się do ściany, jak tylko mogłem. To było absurdalne! Wpakować się w takie kłopoty! Nie mogłem ruszyć choćby jednym mięśniem bez utraty tego minimalnego zaczepienia. Zdawało mi się, że wiszę już od paru godzin. Naprawdę nie mogło to trwać dłużej niż kilka minut. Poczuję, że lina się rusza i zaczęły dochodzić do mnie jakieś ciche głosy, Jednak zbyt odległe, abym mógł je zrozumieć.

W miarę jak głosy zbliżały się, spadało na mnie coraz więcej drobnych kamyczków i okruchów skał. Lewa noga unieruchomiona w dziwacznej pozycji zaczęła cierpnąć. Nos mnie swędził jak zwykle wtedy, kiedy nie mogę go podrapać. Już się nie bałem, było mi tylko głupio. Popełniłem duży błąd i co więcej wciągnąłem w to innych. Gdyby przytrafiło mi się to samemu na Springworld, płaciłbym sam - tutaj naraziłem życie czterech osób.

- Carl, chciałeś szybciej znaleźć się na dole? - zaskoczył mnie głos B'ooosa.

- Źle się złapałem - usprawiedliwiałem się. - Ześlizgnąłem się.

- Każdy się kiedyś ześlizgnie - skomentował B'ooosa.

Usłyszałem, że wbija hak, ale nie odważyłem się ruszyć głową, żeby spojrzeć gdzie jest.

- Już prawie... jeszcze sekundę - krzyknął. - No dobra. Mam linę zabezpieczoną dwa

metry powyżej i metr w lewo od twojej głowy. Jeśli wychyliš się w lewą stronę, znajdziesz bezpieczny uchwyt.

Musiałem mu zawierzyć. Wiedziałem, że na pewno zrobił wszystko dobrze. Przyznaję Jednak, że przeleciało mi przez myśl, czy prawidłowo ocenił moją wagę. Prawidłowo. Uchwyt też znalazłem z łatwością.

- Dzięki - powiedziałem, oddychając ciężko. - Nie sądziłem, że hak puści.

- On nie puścił, Carl - wycedził B' oosa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Złamał się. Pękł równo na dwie połowy.

- To niemożliwe! Wiem, że jestem ciężki, ale te haki wytrzymują znacznie więcej.

- Ten akurat nie - powiedział to takim tonem, że przeszły mnie ciarki. - I wcale nie jestem pewien pozostałych.

Wnioski, które się nasuwały, były co najmniej niepokojące.

- Wracam na początek - powiedział. - Chyba że wolisz, żebym ja szedł z tyłu.

Wiedziałem, co chce powiedzieć. Na swój zwykły, uprzejmy sposób pytał pośrednio, czy nie straciłem odwagi.

- Nie. Wszystko w porządku - podziękowałem.

Do szczeliny doszliśmy w dziesięć minut i tam zatrzymaliśmy się, aby odpocząć. Było to pionowe pęknięcie biegnące aż do podnóża góry. Łatwo będzie dostać się nim na dół. Potem już prosta droga; zwykły spacer przez dolinę. U góry szczelina była wąska i z trudnością się w nią wcisnąłem. Innym było łatwiej. Miała nierówną powierzchnię i dzięki temu można było zaprzeć się nogami o jedną, a plecami o drugą ścianę. Zanim ruszyliśmy w dół, odpoczywaliśmy tak przez kilka minut. Burza przybierała na sile, ale tutaj byliśmy przed nią jako tako osłonięci.

Znowu B' oosa prowadził, ja szedłem ostatni. Zejście było proste. Blokowałem jeden koniec liny, B' oosa sprowadzał ich w dół na jej pełną długość, ja dołączałem i zaczynaliśmy od nowa. Szło nam dobrze, z wyjątkiem być może momentu, gdy poślizgnął się Pancho, ale i to nie było zbyt groźne.

Na dole zdecydowaliśmy się rozbić od razu namiot. Było tam wystarczająco dużo miejsca, robiło się coraz ciemniej, a burza się nie uciszała. Wylosowałem pierwszą wartość. Tak naprawdę nie było chyba dużo stworzeń, przed którymi powinniśmy się strzec. Nie mogłem sobie wyobrazić jakiegokolwiek zwierzęcia buszującego w taką pogodę, a jeśli, to zapewne jakieś wielkie, niebezpieczne i... lodowate. Gdy Miko przyszedł mnie zmienić, deszcz przemienił się w deszcz ze śniegiem. Od razu ukryłem się w śpiworze i przez dziesięć sekund, zanim zasnąłem, wsłuchiwałem się w wyjący na zewnątrz wiatr.

B' oosa obudził mnie, wręczając kubek gorącej herbaty. Wicher był jeszcze głośniejszy niż wczoraj. Po wczorajszym upadku zostało mi na ciele mnóstwo drobnych skaleczeń i zadrapań i teraz czułem każde z nich.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, mróz przeniknął mnie do szpiku kości. Wszystko wokół pokrywała cienka warstewka lodu. Pomimo że przebyliśmy niezły kawałek drogi w dół, ciągle jeszcze byliśmy dość wysoko.

Wciąż padał deszcz ze śniegiem, widzialność popsuła się i nie można było dostrzec nawet dna doliny. Pancho też

wyszedł i stanął obok mnie.

- Co o tym sądzisz, *amigo*?

- Spójrz na ten lód - powiedziałem. - Myślę, że teraz zejście w dół zajmie nam cały dzień.

Schodzenie zajęło nam dwa całe dni. To były dwa trudne dni. I to nie dlatego, że było stromo. Burza nie uspokoiła się ani na chwilę. Nawet tam gdzie było względnie płasko,

posuwaliśmy się z trudnością. Co rusz ktoś upadał na śliskim lodzie i zjeżdżał kilka metrów.

Teraz wiedziałem, dlaczego dali nam pięć dni.

Wieczorem drugiego dnia B'ooosa poślizgnął się również i mimo że się nie przyznał, sądzę, że skręcił nogę w kostce. Ten facet nie poskarżyłby się, nawet gdyby miał otwarte złamanie.

Deszcz ze śniegiem przeszedł w śnieżycę. Nie poprawiło to warunków, ale byliśmy wdzięczni i za to. Rozbiliśmy obóz u podnóża góry, mając przed sobą całą deltę rzeki - płaską, bezdrzewną i zimną, wyjątkowo niegościnną. Deltę tworzyła błotnista sieć tysięcy małych strumyków odgałęziających się od głównej rzeki i dochodzących do Morza Północnego. Mniejsze były z pewnością zamrożone, większe mogły przysporzyć nam kłopotów. Był to olbrzymi obszar. Byliśmy zadowoleni, że mamy ze sobą nadajnik. Mieliśmy nadzieję, że tym razem będzie działał. Czy tutaj również nas obserwowali? Ciężko byłoby im ukryć się przed nami.

Zwinęliśmy obóz wcześniej. Śnieg przestał padać tuż przed świtem. Niebo pojaśniało i przyjęło równomierny szary kolor, bez śladu błękitu. Wiatr był silny i porywisty, podrywał tumany śniegu i boleśnie wbijał tysiące igiełek w nasze twarze. Szliśmy z trudem. Dziesięć centymetrów świeżego śniegu przykrywało dwukrotnie głębszą warstwę starego, z topniejącą lodową skorupą na wierzchu. Wszyscy z wyjątkiem Alegrii swoim ciężarem przebijali skorupę : krok, trzask, wyszarpięcie nogi, krok, trzask, wyszarpięcie. Ciągłe wplątywaliśmy się w jakąś roślinność, która była tak niska, że teraz zupełnie schowana pod śniegiem.

Dwa metry poniżej stromego brzegu, na którym staliśmy, rzekę pokrywał lód. Zanim zawierzyłem mu ciężar swojego ciała, ostrożnie sprawdzałem grubość lodu. Szedłem pierwszy. Było jasne, że jeśli utrzyma mnie, utrzyma i pozostałych. Nie było to szerokie odgałęzienie i przebyliśmy je bez trudności. Jeśli pozostałe będą równie łatwe, do bazy dotrzemy w całkiem

dobrym stanie. I jeśli pogoda się nie pogorszy.

Jednak ani reszta drogi nie była łatwa, ani pogoda się nie utrzymała. Znowu zaczął padać deszcz ze śniegiem. Dokuczała nam wilgoć i mróz. Następną odnogę, do której dotarliśmy, pokrywał na wpół roztopiony lód, a gdzieś widać było duże przeręble.

B'ooosa potrząsnął głową.

- To wygląda źle.

- Nie sądzisz chyba, że ten lód wytrzyma? - spytałem.

- Nie o to chodzi. - Zeszliśmy w dół, by na chwilę osłonić się od wiatru. - Te dziury to część zimowej ekologii tego obszaru. Zwierzęta przychodzą do wody, jedne, by się napić, inne, by pożywić się rybami.

- Duże? - zapytała Alegria.

- Otóż to. Duże drapieżniki krążą wokół, by zapolować na pozostałe. Niektóre są tak duże, że nie muszą się bać nawet pięciu ludzi.

Opisał nam śnieżną bestię, tę najgorszą. Jest wielkości małego floatera, ma sześć potężnych nóg, przy czym przedniej pary, gdy nie biegnie lub nie pływa, może na wzór centaura używać jako rąk. Zakończone są olbrzymimi pazurami, a równie potężne zęby tkwią w paszczy zdolnej jednym kłapnięciem pozbawić człowieka głowy. Bestia ma podobno białe oczy wielkości spodków... Ponieważ pokryta jest jedwabistą białą sierścią, może w czasie burzy śnieżnej zbliżyć się na dziesięć metrów i nikt nie jest w stanie jej dostrzec. Można zginąć, nie wiedząc, co spowodowało śmierć. Wibropałka jest bezużyteczna, chyba że trafisz w oko albo w paszczę.

Tego dnia nie ujrzeliśmy bestii śnieżnej, nie ujrzeliśmy też żadnego zwierzęcia większego od mewy, mimo że przekroczyliśmy cztery rzeki z licznymi otworami w lodzie. Omijaliśmy je oczywiście szerokim łukiem. Nieustannie padał śnieg z deszczem. Przestało

padać dopiero, gdy rozstawialiśmy na noc namiot.

Nie wiedzieliśmy, jak daleko już zaszliśmy. Mapy, które otrzymaliśmy, były z oczywistych przyczyn niedokładne, a wszystkie strumyki wyglądały na nich tak samo.

Parszywa widoczność nie pozwalała wziąć namiaru na góry i w ten sposób określić, gdzie jesteśmy. Gdy dotrzemy w końcu do głównej rzeki, będziemy wiedzieli, że mamy za sobą około jedną trzecią drogi. Co to oznacza w sensie czasu, będzie zależało od pogody i warunków terenowych.

Następnego ranka niebo było zupełnie czyste i wykonaliśmy kawał dobrej roboty. Po kilku godzinach mordegi dostaliśmy się do głównej rzeki. Była znacznie szersza niż nam się wydawała oglądana z góry. Bryłki lodu, unoszące się na powierzchni mokrego śniegu, tłukły o brzeg, ale środek był czysty, spływały nim duże kry. Trzeba będzie wiosłować około dwustu metrów.

Miko wydobyl ze swego plecaka tratwę, która po pociągnięciu za uchwyt automatycznie wypełniła się powietrzem. Była przeznaczona dla trzech normalnej wielkości osób. Dla nas oznaczało to trzykrotną przeprawę. Pierwsze dwie przebiegły bez szczególnych kłopotów. Gdy zostałem sam na jednym brzegu, a reszta grupy wraz z paralizatorem znajdowała się na przeciwnym, poczułem się nieswojo. Wyciągnąłem nóż i nie nadmuchiwałem kamizelki ratunkowej, aby zachować swobodę ruchu do ostatniej chwili.

Pancho, Alegria i Miko przeprawili się pierwsi, po czym Pancho wrócił po B'ooosa. Miał następnie przyplnąć po mnie, ale w drodze powrotnej złapał go kurcz, więc przyplnął Miko, gdyż B'ooosa był zbyt duży, a Alegria za mała. To mi nie odpowiadało, ale byłem szczęśliwy, że w końcu mogę uruchomić kamizelkę i wejść na tratwę.

- Prąd jest silny dopiero na środku - poinformował Miko. - Tam się trzeba solidnie przyłożyć.

Tą przekłętą tratwą nie można było w ogóle sterować. Wiosłowaliśmy prosto, a zносиło nas łukiem po przekątnej na drugi brzeg. Musieliśmy używać wiosł do odpychania kry, gdyż niektóre tafle były tak wielkie, że można było na nich stanąć. Miko był bardziej doświadczonym żeglarzem ode mnie, ale jako silniejszy znajdowałem się na przodzie tratwy. Zmierzaliśmy prosto ku czemuś, co wyglądało na wir wodny. Wskazałem wiosłem.

- Czy to nie oznacza, że tam pod wodą jest skała albo coś podobnego? Czy nie powinniśmy tego...

- Tego przedtem nie było! - krzyknął. - To nie skała! W tym momencie woda uniosła się i olbrzymia góra białego futra wynurzyła się na powierzchnię. Okręciła się powoli i utkwiała w nas wielkie białe oko. Znajdowała się nie dalej niż dziesięć metrów. Z brzegu zagrzmiął paralizator. Bestia obróciła się, by spojrzeć i zanurzyła się leniwie.

- Była tak blisko - odetchnął Miko. Wiosłowałem jak szalony.

- Była za daleko, idioto! Nie można zabić monstrum tej wielkości z...

Nagle wylecieliśmy w powietrze, koziółkując szaleńczo i zanim wpadłem w czarną, lodowatą wodę, zobaczyłem jeszcze olbrzymi, biały grzbiet. W takiej wodzie silny mężczyzna może przeżyć pięć do sześciu minut. Zimno czułem tylko w pierwszej chwili, zaraz potem zacząłem drętwieć. Wynurzyłem się z niewiele wartym w tej sytuacji nożem w ręce. Chciałem wydobyć wibropalkę, ale była schowana pod kamizelką ratunkową. Nigdzie nie dostrzegłem śnieżnej bestii. Miko rozpaczliwie próbował się dostać na najbliższą dużą krę. Ja zdecydowałem się na tratwę - miałem bliżej. Nie wiem, ile czasu to zajęło. Próbując rytmicznie oddychać, młóciłem wodę ramionami, starając się nie myśleć o bestii pływającej gdzieś w pobliżu, gotowej jednym zaciśnięciem szczęk pozbawić mnie życia. Jakoś w końcu dotarłem do pozbawionej wiosł tratwy i wciągnąłem na nią połowę ciała. Zacząłem uderzać wodę nogami, kierując się powoli w stronę brzegu.

Po kilku minutach usłyszałem krzyki. Stojąca na brzegu trójka wykrzykiwała z całych sił, pokazując coś na wodzie. B'oose padł na ziemię i z pozycji strzelca wyborowego wystrzelił kilka razy. Wskazywali na Miko, który dopłynął do kry i leżał teraz na jej powierzchni. Był nieprzytomny. Widać było głowę bestii zbliżającej się pod prąd do kry. Dwie olbrzymie łapy wynurzyły się z wody i sięgnęły po ofiarę. Na szczęście Miko leżał daleko od krawędzi i pazury bestii ześlizgnęły się po lodzie. Zwierzę zawył i zaczęło gramolić się na krę. Serie pocisków z paralizatora, którymi B'oose nieustannie je zasypywał, nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Po chwili potwór zdołał wciągnąć swoje cielsko na lód. Wiedziałem, że aby nie stać się jego deserem, powinienem jak najszybciej dostać się na brzeg, ale groza tej sceny sparaliżowała mnie. Bestia, mimo że czterema nogami stała na lodzie, była półtora raza wyższa ode mnie. Pochylała się nad Miko. Ale zamiast rozerwać go na strzępy, stała wciąż, potrząsając głową, a jej potężne łapy zwisały bezwładnie wzdłuż ciała. B'oose nie przerywał kanonady i strzały zaczynały dawać efekt. Cztery nogi ugięły się, olbrzymie cielsko zważyło się na lód, a potworny pysk wylądował o mniej niż metr od Miko.

- Zabierz go! Zabierz go do tratwy! - krzyknął B'oose. - Szykujcie linę.

To musi przecież potrwać - pomyślałem, - Ciekawe, jak długo bestia będzie nieprzytomna? Zawróciłem i tłukąc nogami wodę, z prądem rzeki popłynąłem w kierunku kry. W takiej sytuacji nie zostawia się nikogo, nawet Miko. Ale nie czułem już nóg i miałem trudności z oddychaniem. Zanim dopłynąłem do kry, wpadłem w rodzaj transu spowodowany bólem i wyczerpaniem. Zdołałem wydobyć się na lód, ale ponieważ od pasa w dół nie czułem już nic, stojąc tam, miałem przedziwne uczucie, że unoszę się dwa metry nad ziemią. Mógłbym tak stać w nieskończoność, ciesząc się że nie jestem już w wodzie. Jakieś krzyki dobiegały z brzegu. Bestia leżała z otwartymi oczami, jej nozdrza poruszały się powoli. Patrzeliśmy na siebie przez chwilę, potem przeraźliwy ból w nogach przywrócił mi świadomość i zdrowy

strach zaczął przesączać się do mego mózgu. Przyciągnąłem Miko do krawędzi i udało mi się przesunąć go na tratwę. Gdy zsunąłem się do wody, początkowe uczucie palących płomieni szybko przemieniło się w odrętwienie. Byliśmy około siedemdziesięciu metrów od brzegu, kiedy z pełnym przekonaniem, że i tak nie dopłynę, zacząłem kopać wodę. Krzyczeli, abym wszedł na tratwę. Nie miało to według mnie sensu, ale przynajmniej mogło tam być cieplej. Zajęło mi to dużo czasu. Wszystko teraz zajmowało mi dużo czasu, musiałem w dodatku uważać, by Miko nie wypadł za burtę. Wysiłek był zbyt duży, poczułem jakiś nowy, ściskający ból pośrodku klatki piersiowej. Atak serca? Osunąłem się na Miko jak na poduszkę. Zapadłem w ciemność. Ocknąłem się na chwilę i powtórnie zemdlałem.

- Dosięgniesz do niej? - szeptał Miko.

Byłem zły, że mnie obudził.

- Do czego?

- Lina... Rzucili do nas linę... Mówią...

Słyszałem, że krzyczą, ale za bardzo dzwoniło mi w uszach, abym mógł cokolwiek zrozumieć. Dźwignąłem się odrobinę, by móc zerknąć ponad krawędzią tratwy. Tam rzeczywiście była lina przyczepiona jednym końcem do kamizelki ratunkowej i co więcej, powoli się do niej zbliżaliśmy. Rzucili ją tak, by opadła na krę, którą doganialiśmy popychani przez wiatr. I co z tego, skoro nie władałem już rękoma, a ból w piersiach nasilał się.

Odczekałem, aż tratwa dotknęła liny i wystawiłem rękę na burtę. Gdy siadłem, ręka wraz z zaczepioną o nią liną zsunęła się do wnętrza tratwy. Nie byłem w stanie zacisnąć dłoni na linie, ale zdołałem okręcić ją wokół ramienia. Opadłem na dno. Ręce Miko tylko zadrgały bezsilnie, gdy spróbował mi pomóc.

Pociągnęli i lina zaczęła się wyslizgiwać. Przygniotłem ją swoim ciałem. Zemdlałem, lecz tym razem inaczej: zamiast głębokiej czerni widziałem białe iskierki.

Udało mi się otworzyć jedno oko. Pojawiło się białe bezkształtne światło prześwietlające kolorowe tęcze. Po kilku mrugnięciach obraz wyostrzył się i w zamazanej plamie rozpoznałem B'osa czytającego pod namiotową lampą. Druga plama obok mnie to był Miko zawinięty w śpiwór. Ja również byłem w śpiworze. Z trudem wyplątałem ręce i przetarłem oczy, by przywrócić normalne widzenie.

- Już lepiej, Carl? - spytał B'osa, nie patrząc na mnie.

- Lepiej niż co? - Moje ciało składało się tylko z tępego bólu i ostrych, przeszywających ukłuć. Zatem żyję. - Jak długo byłem nieprzytomny?

- Prawie całe dwa dni.

- Dwa dni?!

- Było źle. Całkowite wyczerpanie. Podobnie zresztą jak Miko. Lepiej zatem, że odpoczywaliście. W apteczce mamy na to cudowne, małe, różowe pigułki.

- Gdzie jesteśmy?

- Ciągle nad brzegiem rzeki.

- A ten hałas na zewnątrz?

- Sztorm, i to solidny. Policzyłem ciała śpiących.

- Gdzie Jest Pancho?

- Czuwa na dworze.

Nie ma nas od pięciu dni, uderzyła mnie myśl.

- Muszą już nas chyba szukać? B'osa wzruszył ramionami.

- Może.

- Próbowalesz wezwać ich przez radio?

- Próbowalem - odpowiedział, unosząc małe pudełko - ale bez rezultatu.

- Znowu? Tylko nie to!

- Pomyślałem, że to dziwne. Otworzyłem nadajnik, żeby sprawdzić, czy nie można go naprawić i oto co znalazłem.

Zdjął przednią ściankę obudowy. W środku nie było nic: żadnych drutów, żadnych elementów, dokładnie nic.

- To nie jest zepsuty nadajnik, to jest fałszywy nadajnik, atrapa. Z założenia nie miał nigdy pracować.

- To wszystko wygląda tak, jakby chcieli nas załatwić.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział B'ooosa. - Mało prawdopodobne, ale możliwe.

Do namiotu wpadł Pancho.

- B'ooosa! Ooo! Cześć, Carl! Powiedziałaś, żebym...

B'ooosa zerwał się i wyszedł w pośpiechu, Alegria podążyła za nim. Dołączyłem do nich, gdy znalazłem swoje rzeczy. Na zewnątrz wiatr był tak silny, że z trudnością utrzymywaliśmy się na nogach. Alegria i B'ooosa pochylali się nad jednym z masztów. Były specjalnie podwójnie wzmocnione, ale nawet z tej odległości widziałem, że długo nie wytrzymają.

- Musimy obniżyć namiot! - krzyknął B'ooosa. Alegria przytaknęła skinieniem głowy.

- Pomogę wam! - powiedziałem i potykając się, ruszyłem do przodu.

- Wracaj do śpiwora! - rozkazał B'ooosa. - Jesteś zbyt słaby!

Usiłowałem protestować, ale gdy moje nogi odmówiły posłuszeństwa i zaryłem nosem w śnieg, zrozumiałem, że ma rację, że jestem za słaby. Wpełzłem z powrotem do namiotu.

Opuścili namiot na nas troje i ponownie ustawili znacznie niżej. W ten sposób może wytrzyma napór wiatru. Pancho wczołgał się do środka.

- Gdzie jest B'ooosa? - spytałem.

- Został na zewnątrz. Strzeże nas przed śnieżną bestią i pilnuje, żeby namiot się nie

zawalił. Powiedział, że przyjdzie, jeśli nie będzie już mógł wytrzymać, ale szczerze mówiąc, martwi mnie.

- Dlaczego?

- Te dwa dni, gdy leżałeś nieprzytomny, były dla naszego przyjaciela bardzo ciężkie.

Myślę, że nie czuje się dobrze i w dodatku bierze na siebie zbyt dużo. Poza tym wiesz przecież, że to on wyciągnął was z wody, ciebie i Miko.

Nie wiedziałem, choć należało się tego spodziewać i było bardzo w jego stylu, że nawet słowem nie napomknął o tym.

- Na dworze jest bardzo nieprzyjemnie - powiedział Pancho.

Widziałem, jak z gór nadchodziła burza. Zbliżała się jak potężna ściana, twarda lodowa ściana. I wtedy nad deltę nadciągnął od strony morza wiatr. Spotkały się nad doliną i z godziny na godzinę robiło się coraz gorsze piekło. Gdy wyszedłem, nie widziałem czubków własnych dłoni. Miewamy takie huragany na Springworld w śródzimie. Ale oczywiście nikt wtedy nie wychodzi na zewnątrz. Krążą historie o ludziach, którzy wyszli i zagubili się kilka metrów od własnych domów. Błądząc zataczali coraz większe koła i podczas wiosennych roztopów znajdowano ich ciała w odległości kilku kilometrów.

- Jak długo B'ooosa ma zamiar trzymać wartę?

- Godzinę, może dwie. Przyjdzie po mnie lub Alegrię, gdy będzie miał dosyć.

- Lub po mnie - powiedziałem. - Całej godziny nie wytrzymam, ale...

- Pod warunkiem, że zaśniesz, *amigo*.

Zgasił światło i słyszałem, jak układa się w śpiworze. Niezły pomysł.

- Obudźcie się! Wszyscy wstawajcie! - krzyczała Alegria z przerażeniem w głosie.

- O co chodzi?! - Pancho był już w pełni rozbudzony.

- Zniknął B'ooosa!

Gdy w rekordowym tempie wydostaliśmy się z miotu, powitało nas bladoniebieskie niebo, ciepłe słońce i ani śladu wczorajszego wiatru. Nie było B'osa, nawet śladów stóp. Nie było też paralizatora. Miko zatoczył się i pochwycił mnie za ramię. Ponieważ był mniejszy, wysiłek dał mu się bardziej we znaki niż mnie. Podtrzymałem go, by nie upadł.

- Szajs - powiedział słabym głosem. - Co teraz zrobimy?

- Musimy go poszukać - odpowiedziała Alegria.

Oczywiście nikt nie zaproponowałby niczego innego, ale zapewne wszystkim pojawił się przed oczyma ten sam obraz: B'osa przytupujący, aby się rozgrzać i aby nie zamarznąć oraz stromy brzeg rzeki w odległości zaledwie dziesięciu metrów od niego.

Pancho ciężkim krokiem podszedł do skarpy i zerknął w dół.

- Nie ma śladu.

- Potrzebny byłby floater - powiedziałem. - Jeśli leży nieprzytomny nawet tylko o pół kliksa stąd, możemy szukać całymi dniami i nie znajdziemy, zwłaszcza jeśli przysypie go śnieg.

- Dzielimy teren na ćwiartki - dysponował Pancho - i szukamy przez sześć godzin.

Potem zwijamy obóz i ruszamy w poprzek delty.

- Gdy zniknie słońce - dodałem - będzie szedł zapewne nadal w tym samym kierunku.

Jeśli znowu nie zacznie padać śnieg, powinniśmy natknąć się na jego ślady. - Nie wierzyłem w to, co mówiłem i inni również, ale przytaknęli.

Mieliśmy tylko trzy wibropałki, oddałem więc swoją Alegrii, wziąłem kij, który wystrugał dla siebie B'osa i na końcu zamocowałem nóż. Pancho wyznaczył każdemu obszar do przeszukania i rozeszliśmy się.

Po godzinie rozbierania śnieżnych zasp usłyszałem nawoływania, okrzyki na tyle głośne, że dotarły do mnie poprzez dzwonienie w uszach. Niedaleko obozu Pancho

wymachiwał rękami, wskazując coś na niebie. Po dłuższej chwili ujrzałem ponad górami srebrny punkcik - floater obniżający swój lot, kierujący się wprost na nas. Zacząłem biec, upadłem twarzą w śnieg, wygrzebałem się z zasy i dalej już bardziej ostrożnie pobiegłem do obozu. Dotarłem tam w tym samym momencie co floater. Nie był to zwykły odkryty pomost, którym przerzucano nas z miejsca na miejsce. Ten był smukły, opływowy - powietrzny sztylet z bąblem gondoli pilota u góry. Pokrywy rozsunęły się, z wnętrza wyskoczył Bruno, a za nim nieznany mężczyzna. Nie był przygotowany na mróz, nosił lekki, centkowany mundur bojowy i panterkę. Chuchał w dłonie i zacierał ręce. Bruno uważnie nam się przyglądał.

- Gdzie jest ten wielki czarny?

- Trzymał straż ostatniej nocy. Zaginął.

- Zaginął? - Bruno odwrócił się do nieznajomego. - Szkoda, był z nich najlepszy.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Liczy się ilość, nie jakość.

Obaj zaśmiali się i Bruno rozpiął kaburę u pasa. Leniwym ruchem wyciągnął czarny, pękaty pistolet, w którym rozpoznałem bicz neuronowy.

- Jesteście martwi - powiedział beznamiętnym głosem i szczerknął bezpiecznikiem.

Moja domowej produkcji włócznia nie była dobrze wyważona ani ja nie byłem szczególnie dobry w rzutach od dołu, ale cisnąłem nią z całej siły. W tym samym momencie zabrzączał neurobicz, poczułem milion igiełek wbijających się we mnie i nagle opuściły mnie wszystkie siły. Dzida uderzyła Bruno w środek piersi i odpadła. Nosił na ciele zbroję.

Rozcierając miejsce, w które go trafiłem, niedbałym ruchem paralizatora powalił pozostałych.

- Jest bojowy - powiedział obcy - i ma dobry refleks.

Osunąłem się powoli na śnieg. Rozciągnięty na wznak rozmyślałem, czy niebieskie niebo jest ostatnią rzeczą, którą widzę w życiu.

- Niedźwiedzie też dobrze walczą - dosłyszałem głos Bruno - ale są tępe. Lepiej

wrzucmy ten cały szajs do rzeki.

Usłyszałem, że wloką namiot, potem był plusk.

- To nieuczciwe - mówił obcy. - Weźmiesz ubezpieczenie za całą piątkę, a ja...

- Trudno. Taka była umowa. Pomóż mi teraz z tym wielkim.

Pochwycili mnie za nogi i pociągnęli. Przód ciała miałem cały zdrętwiały, ale chłód śniegu, wciskającego się pod bluzę na plecach, nie pozwalał mi zasnąć. Jednak nie wrzucili mnie do rzeki. Podnieśli mnie i wepchnęli do floatera. Słyszałem, jak mój nos łamie się przy zderzeniu z podłogą, ale nadal nic nie czułem. Przez przezroczysty plastik widziałem tylko śnieg. Czułem, jak kolejno ułożyli na mnie pozostałe ciała, potem zasunęli pokrywy i wystartowaliśmy. Widziałem, jak rzeka zapada się pod nami, ujrzałem nawet nieregularne ślady swoich poszukiwań prowadzące do miejsca, skąd usłyszałem floater. W pewnej chwili spostrzegłem odciski stóp! Jakies sto metrów dalej niż zaszedłem. Więc B'oose przeżył burzę! Ale moje nadzieje prysnęły równie szybko jak się pojawiły. Gdy przestał padać śnieg, było już ciemno, a ślady prowadziły prosto do rzeki i tam się urywały.

IV

- Dalej, żołnierze, ruszać się do cholery!

Coś uderzyło mnie mocno w podeszwy stóp i wyrwało z jakiegoś pogmatwanego snu.

Znajdowaliśmy się w białym, pozbawionym okien pokoju z dwoma rzędami łóżek, w większości pustych. W mężczyźnie, który uderzył mnie kijem w stopy, rozpoznałem nieznanego, który przybył floaterem. Miał teraz na sobie inny mundur. Po rządku kółeczek na ramionach rozpoznałem w nim sierżanta armii Hell. Nie jest to moja ulubiona grupa przedstawicieli rodzaju ludzkiego!

Poza naszą czwórką w sali było jeszcze dwóch obcych. Ubrani byliśmy w białe szpitalne koszule. Ktoś rozebrał mnie oraz Alegrię, podczas gdy byliśmy nieprzytomni. Jeśli zrobił to ten sierżant, to złamię mu rękę albo oderwę ramię i jego własną ręką go obję.

- Stawać na baczność! Przed łózkami, głupcy!

Przy jego biodrze wisiał neurobicz.

- To szkolenie zaczyna być nieznośne. Mam zamiar... - próbował protestować Pancho.

- Powiem ci, jaki możesz mieć zamiar! - Sierżant świsnął kijem parę centymetrów przed twarzą Pancho. Ten ani drgnął. - Zaraz się dowiesz!

Byłem ciągle zamroczony środkiem, którym utrzymywano nas we śnie, bolał mnie nos, ale nie sędzę, aby był złamany. Czyżby mieli wystarczająco dużo czasu, by go wyleczyć?

Nabrałem powietrza do płuc i przetrzymałem je trochę, chcąc pozbyć się resztek snu.

Sierżant przeszedł przez pokój i otworzył jedyne prowadzące doń drzwi.

- Za pozwoleniem, panie komendancie.

Mężczyzna, który się w nich ukazał, wyglądał młodo pomimo siwych włosów. Był wysoki, mocno opalony, o sylwetce młodego atlety. Nosił dobrze dopasowany mundur, z błyszczącymi insygniami określającymi jego stopień, którego jednak nie potrafiłem odgadnąć.

Stał przez chwilę z rękami na piersiach, spoglądając na nas obojętnym wzrokiem. Odezwał się głębokim, spokojnym głosem:

- Jestem kapitan Forrester z Korpusu Marynarki Jej Królewskiej Mości. Będę waszym dowódcą przez najbliższy rok, a może krócej, jeśli zwyciężymy wcześniej.

- Jakiej Królewskiej Mości? - spytał Pancho. Sierżant podskoczył do niego z podniesioną pałką.

- Sierżancie! Nie! - Spojrzał na Pancho. - Nie przeszkolono was jeszcze?

- W ogóle nie wiem, o czym pan mówi.

- Sir! - syknął sierżant.

- W ogóle nie wiem, o czym pan mówi, sir - powtórzył Pancho.

- Przez najbliższy rok wszyscy będziecie zatrudnieni przez Jej Wysokość Królową Sanctuary Phyllę Drugą z planety Spicelle. Jesteśmy tutaj, by rozstrzygnąć zatarg pomiędzy Jej Królewską Wysokością a panującym monarchą Federy, także ze Spicelle. Nasze armie spotkają się za dwa dni w północno-wschodnim kwadrancie Purgatory w wojnie klasy dwa D.

- Zaszła jakaś pomyłka, sir - powiedziałem. - My nie jesteśmy żołnierzami.

- Spróbuj to jeszcze raz powtórzyć - wymruczał sierżant.

- Teraz jesteście - odpowiedział kapitan. - Posiadam wasze dokumenty.

- To jest nielegalne! - odezwała się Alegria. - Jestem studentką, obywatelką Selvy.

Zostaliśmy porwani.

Uśmiechnął się lekko.

- Nie znajdziecie wielu prawników na Hell, nie tutaj w każdym razie. - Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął kopertę i wyjął z niej kilka arkuszy papieru. - Ty jesteś zapewne szeregowiec Alegria de Saldana, poprzednio obywatelka planety Selva, aktualnie niewolnik-rekrut wynajęty Jej Wysokości przez Manpower Incorporated.

- Nie! Jesteśmy studentami! Odbywaliśmy szkolenie...

- Może ja wyjaśnię, sir - wtrącił się sierżant. - Kiedy przekroczyliście rzekę, znaleźliście się na terytorium Northland. W Northland niewolnictwo jest legalne. Czyż to nie barbarzyństwo? Zostaliście pochwyteni zgodnie z prawem przez Manpower Incorporated i przeze mnie wynajęci Jej Wysokości.

- Nie będziemy walczyć - powiedziałem. - Sir.

- Nie wszyscy z was muszą walczyć. Na wojnie potrzebne są nie tylko oddziały bojowe... Szeregowiec Saldana, na przykład, została przydzielona do punktu pierwszej pomocy, ponieważ przeszła już przeszkolenie medyczne. A ty z pewnością jesteś... - przerzucił papiery - Carl Bok. Ty oczywiście będziesz walczył.

- Nie, sir. Na Springworld nie prowadzimy wojen. Jestem rolnikiem i pacyfistą.

- W papierach mam wyraźnie napisane, że wynajmowałeś się na Ziemi jako gladiator.

To dziwne zajęcie dla pacyfisty.

- To nie jest zabijanie ludzi.

- Słyszałem co innego. W każdym razie będziesz walczył, gdy dostaniesz rozkaz, lub czeka cię śmierć. Wyrok sądu wojskowego albo natychmiastowa decyzja na polu walki.

- Za co czy za kogo mamy walczyć? - spytał Miko. Przecież nawet nie słyszałem o Sanctuary ani o waszej Jej Wysokości.

- To bez znaczenia. Czy wiecie, co to jest wojna klasy dwa D? Nikt nie odpowiedział.

Obrócił się do sierżanta.

- Jeśli dobrze pamiętam, powiedział pan, że przeszli przygotowanie.

- Fizyczne, sir.

- Aha. Zatem podaję do waszej wiadomości, że wojna klasy dwa D jest dobrym typem wojny dla was, nie wyszkolonych żołnierzy. Wybraliśmy ten typ, ponieważ nasz Korpus

Marynarki nie jest liczny i musimy tutaj kupować większość piechoty. Szczerze mówiąc, Sanctuary nie jest szczególnie bogatym krajem i nie możemy sobie pozwolić na dużą liczbę wyćwiczonych najemników z Hell. Tak więc większość waszych towarzyszy broni to będą także wynajęci rekruci. W wojnie klasy dwa D nie wolno używać broni nuklearnej, laserów ani żadnej innej broni wynalezionej na Ziemi po roku tysiąc dziewięćsetnym, z wyjątkiem układów cybernetycznego wspomaganie tych prymitywnych urządzeń. Średnio inteligentna osoba może opanować posługiwanie się nią w ciągu jednego, dwóch dni. Ponadto uzgodniliśmy z Feder, że nie wolno używać artylerii, obserwatorów powietrznych i broni odłamkowej innej niż proste granaty ręczne.

- Co to jest granat ręczny? - zapytał Miko.

Kapitan westchnął.

- To jest sierżant Meyer, mój starszy sierżant polowy. Będzie was szkolił przez najbliższe dwa dni i z Bożą pomocą dowiecie się nie tylko, co to jest granat ręczny, ale również jak się nim posługiwać, by uniknąć samobójczej śmierci. Najważniejsze, żebyście sobie zdali sprawę z jednego, a mianowicie, że to co wam się przytrafiło, może się wydawać nadzwyczaj niesprawiedliwe, ale jednostkowa sprawiedliwość nie jest domeną wojny. Jeśli będziecie walczyć dobrze i ostrożnie, wywalczycie swoją wolność. Jeśli natomiast będziecie przeciwstawiać się lub w jakikolwiek sposób hamować postęp naszych działań, najprawdopodobniej z pewnością... zginiecie. - Odwrócił się do Meyera: - Sierzancie! Dostarczy pan tę szóstkę w sobotę o dziewiątej na teren zgrupowania. Mają być w pełni wyszkoleni, chętni i gotowi do współpracy.

- Tak jest! - Zasalutowali, podnosząc pięść i kapitan odmaszerował.

Sierżant odwrócił się do nas ze złowrogim uśmiechem.

- Pozwólcie, że wam to wyjaśnię bardziej szczegółowo. W razie nieposłuszeństwa

armia może was zabić na trzy różne sposoby. Pierwszy to proces, sąd polowy. Jeśli przewodniczący mu oficer uzna was winnymi, a tak zwykle bywa, czeka was szubienica.

Zawiśnięcie z pętlą na szyi...

- Zaduszeni na śmierć? - wykrztusił jeden z obcych.

- Boli tylko przez kilka minut - odpowiedział sierżant. - Jeśli odmówicie wykonania rozkazu na polu walki, każdy oficer albo podoficer taki jak ja może zastrzelić was na miejscu. Trzecia metoda przynosi najwięcej pożytku. Jest to drużyna śmierci JTD, czyli Jednostka Taktycznej Dywersji. Polega to z grubsza biorąc na tym, że zostajecie pozbawieni broni i użyci jako przynęta przyciągająca ogień nieprzyjaciela. Często można was jeszcze załatać i użyć ponownie.

* * *

Nie wiedziałem, co robić. Potrafiłbym chyba zabić kogoś, kto próbuje mnie zabić, ale zabić z zimną krwią, dla obcych mi celów? Nie zabiłbym przecież nawet z powodu własnych przekonań politycznych. Ale alternatywą jest taniec na końcu sznura. Czy byłbym gotów umrzeć za swoje pacyfistyczne przekonania? Z drugiej strony i tak chyba zginę. Chciałbym, żeby B'oosea był z nami.

Alegrię wzięto do punktu pomocy sanitarnej, a nas dołączono do grupy około pięćdziesięciu mężczyzn przechodzących szkolenie w posługiwaniu się bronią. Nikt nie pałał entuzjazmem, ale jak zapowiedział oficer, broń była całkiem prosta. Używaliśmy karabinów, noży i ręcznych granatów. Granaty ręczne to małe bomby, które się rzuca w kierunku nieprzyjaciela. Kiedy wybuchają, rozrywają się na tysiące małych kawałków, więc trzeba je rzucać odpowiednio daleko, aby samemu nie dostać odłamkami. Albo należy schować się za czymś. Karabin strzela metalowymi kulkami napędzanymi prochem i jest niezwykle prosty w użyciu. Gdy patrzy się przez lunetę celowniczą, jasna kropka wskazuje miejsce, gdzie wyląduje

kula. Wbudowany dalmierz wylicza wszystko, uwzględniając siłę i kierunek wiatru tak, że kropka przesuwa się, gdy wiatr zmienia kierunek lub żołnierz przesuwa karabin z celu na cel. Ćwiczyliśmy gdzieś w neutralnej części Purgatory, na terenie przypominającym wielki obóz więzienny o rozmiarach dwa na trzy kilometry, z ogrodzeniem pod wysokim napięciem i wieżami warowniczymi co pół kliksa. Kiedy nie ćwiczyliśmy z bronią, biegaliśmy, robiliśmy pompki, ogólnie nabieraliśmy krzepy. Jedną rzeczą była zastanawiająca. Ponieważ odebrali nam zegarki, nie wiedzieliśmy ani jaki to dzień, ani jak długo byliśmy nieprzytomni. W tym czasie zdołali przywrócić nam wszystkie siły. W naszym obozowisku w Northland nie byłbym w stanie zrobić jednej pompki, nie mówiąc o pięćdziesięciu na raz. Nie mieliśmy wiele czasu na pogawędki, ale odkryłem parę rzeczy. Większość współtowarzyszy-rekrutów stanowili studenci uczelni wojskowych z innych planet, którzy w małych grupach zostali wysłani do Northland na karne manewry. Był jeden myśliwy i jeden turysta przypadkowo namówiony na zwiedzanie Northland. Było dla mnie niepojęte, że władze Hell nie wiedzą nic o tym rekrutowaniu przez porywanie. I było oczywiste, że nikt z nas nie przeżyje, aby im o tym donieść. Naszą jedyną nadzieją mogła być ucieczka z pola walki i dotarcie do stolicy Hell — Hellas. Tylko wąski kawałek lądu łączy Hellas z Purgatory, więc obojętne, gdzie bylibyśmy, jeśli doszlibyśmy do wybrzeża i posuwali się wzdłuż niego, w końcu tam dotrzemy. Nasze szanse na udaną ucieczkę były zapewne tak nikłe jak szansę na przeżycie długiej wędrówki, ale nie widziałem innego wyjścia. W Hellas mogliśmy uzyskać pomoc od przedstawicieli Confederation, jeśli wojsko nie dopadłoby nas wcześniej.

Pierwszej nocy pojawiła się jeszcze inna alternatywa. Była groteskowa, ale posiadała jedną zaletę: mogła powstrzymać ich od zabicia nas zaraz po skończeniu tej wojny.

Tego dnia ćwiczyliśmy osiemnaście albo dwadzieścia godzin. Po zajęciach słaniając się, wróciliśmy do baraków na cienką zupkę i twardą pryczę. I jedno, i drugie przyjęliśmy z

dużą radością. Gdy jedząc szeptaliśmy do siebie zrozpaczeni, wszedł sierżant Meyer. Usiadł na wolnej pryczy i położył obok siebie tabliczkę z przypiętymi papierami.

- Dzisiaj nie byliście tacy źli, z czasem możecie zostać całkiem dobrymi żołnierzami... -

Klepnął ręką papiery. - Mam zamiar dać wam szansę, jeśli chcecie zadbać o swoją przyszłość.

To są formularze dla ochotników. Wypełnijcie je, podpiszcie, a zostaniecie prawdziwymi najemnymi szeregowcami z żołdem, stopniem i możliwością awansu.

- Na jak długo? - spytał Pancho.

- Na dziesięć lat. - Położył ręce na kolanach i spojrzał na Pancho. - Oczywiście nie będziecie walczyć przez cały czas. Niekiedy całe miesiące mijają bez wojny.

- A co w tym czasie?

Żyjecie w barakach. Takich jak ten.

- Jak więźniowie? Wzruszył ramionami i wstał.

- Przemyślcie to, przedyskutujcie. Ma to swoje zalety. - Rzucił papiery na łóżko, gdzie siedziałem z Pancho. - Jeśli ci to odpowiada, wypełnij jeden z tych formularzy i napisz ponad podpisem: Podpisałem bez przymusu, siedemnasty diazo, czterdziestego ósmego.

- Siedemnasty?

A zatem jesteśmy tu zaledwie dwa dni? Zgadzałoby się, gdyż pojutrze jest niedziela, ale byliśmy pewni, że leżeliśmy w szpitalu nieprzytomni co najmniej tydzień, a może nawet dwa.

- Tak, siedemnasty. Klinika regeneracyjna jest bardzo efektywna. Przekonacie się o tym, jeśli zostaniecie ranni. Tu nikt nie lubi, gdy żołnierze tracą czas w łózkach.

- I pan tego nie nazywa przymusem? - zapytał Miko.

- Nie. Nikt nie musi podpisać.

- Ale jeśli podpiszemy, pożyjemy dłużej - powiedziałem.

- Wrócę za dziesięć minut. Zastanówcie się. - Wychodząc zatrzymał się w drzwiach. -

Mnie wcielono tą samą metodą osiem lat temu. To nie jest takie złe życie. Po prostu życie.

Nikt nie odzywał się przez minutę. Potem jeden ze studentów podszedł i podpisał formularz. Pancho wziął od niego tabliczkę i także podpisał.

- Mogą nas zabić tylko raz, *amigo* - wyszeptał - a w ten sposób możemy poczekać na najlepszą okazję.

Nie byłem przekonany, że to zwiększa nasze szanse, ale podpisałem. Miko również. W końcu podpisali wszyscy. Gdy wrócił Meyer, wziął papiery, przerzucił je i pokiwał bez uśmiechu głową.

- Tak to się zwykle kończy... Słodkich snów, aniołki. Czeka was jutro ciężki dzień.

* * *

Następnego dnia ćwiczyliśmy ślepa amunicją i ćwiczebnymi granatami. Potem przyszedł czas na prawdziwe. Myślę, że to co nastąpiło, było nieuniknione. Meyer był na to przygotowany. Karabiny były współczesnymi kopiami wcześniejszych prymitywnych wzorów. Nie strzelały za każdym naciśnięciem spustu. Należało przesunąć ruchomy bolec, aby załadować kolejny nabój. Były wolne i niezgrabne, a magazynek mieścił tylko dziesięć pocisków. Meyer poprowadził nas na strzelnicę, a jego kapral wręczył każdemu jeden magazynek. Wiedzieliśmy już, jak się tym posługiwać po wczorajszych, wielokrotnie powtarzanych ćwiczeniach. Jeden z rekrutów, który przez ostatnie dwa dni nie wypowiedział ani jednego słowa, wsunął magazynek na miejsce, skierował broń na Meyera i wystrzelił. Jak należało się spodziewać, Meyer miał pod mundurem zbroję i kula tylko cofnęła go o krok. Natychmiast wyciągnął bicz i powalił nieszczęsnego strzelca, po czym szybko obrzucił wzrokiem pozostałych i wsunął broń do kabury. Stał nad leżącym.

- I co, kapralu? - Drugi z podoficerów, wyraźnie podniecony, przyglądał się scenie z wyciągniętą bronią. Nie był to neurobicz, lecz laser. - Co zrobimy z tym głupim szczeniakiem?

- Zabijmy go od razu. Mniej papierkowej roboty niż z sądem polowym. - Meyer w

zamyśleniu pokiwał głową. - Chyba powinienem posłużyć się nim jako przykładem, zwłaszcza że jest zbyt głupi jak na żołnierza piechoty.

- Spalić go? - Podoficer szczerknął bezpiecznikiem.

- Nie, może być jeszcze z niego pożytek. Posłuży nam za mięso. Kapral pochylił się i zakuł sparaliżowanego w kajdanki, a Meyer zwrócił się do nas podniesionym głosem:

- Jutro albo w niedzielę ujrzycie jak umiera. Nasz pierwszy JTD. Macie szczęście, bo może uratuje wam życie, ujawniając, skąd nieprzyjaciel prowadzi ostrzał. - Położył rękę na kolbie pistoletu. - Są jeszcze jacyś ochotnicy?

Nikt z nas nie był aż tak zdesperowany ani zrezygnowany. Zajęliśmy swoje miejsca w szeregu. Naszym celem były kukły wychylające się raz po raz z okopów odległych pięćdziesiąt do dwustu metrów. Trzeba było w ciągu niecałej sekundy wycelować i wystrzelić, a z prawdziwymi nabojami sprawiało to nam większy kłopot niż ze ślepakami. Huk był znacznie większy, a kolba karabinu uderzała w ramię, odskakując po strzale.

Po pięciu czy sześciu godzinach byłem już zupełnie dobry w tym, ale niektórzy, w tym Miko, nie potrafili wciąż tego opanować. Meyer zauważył sarkastycznie, że na pewno się poprawią, gdy cele zaczną strzelać do nich.

Kazano schronić się za przezroczystą ścianą z porysowanego plastiku, Floater pierwszej pomocy wylądował tuż za nami. Założyliśmy stalowe hełmy należące do wyposażenia. Było to stanowisko do rzutów granatem. Gdy przychodziła kolej, Meyer wręczał granat. Należało wyjść przed ścianę, wyciągnąć zawleczkę i rzucić granat w betonowy cel odległy o trzydzieści metrów, ale trafić w piach. Odłamki rażą śmiertelnie dziesięć do piętnastu metrów od miejsca, gdzie granat eksplodował. Niektórzy z trudem dorzucali na tę odległość i o plastikową ścianę często grzechotały zabłąkane odłamki. Jeden z ćwiczących "zarobił" kilka głębokich wgnieceń

w hełmie i stracił końcówkę małego palca u dłoni. Według Meyera uzyskał w ten sposób jeden dzień urlopu i gwarantowane miejsce w pierwszej linii okopów, gdzie “będzie mógł nabrać wprawy”.

My tymczasem nabieraliśmy wprawy w używaniu noży zamocowanych na lufach karabinów niczym włócznie. Podobno mają być użyteczne, gdy skończy się amunicja. Czy rzeczywiście, jeśli nieprzyjaciel ma ciągle w magazynku naboje?

Kiedy zapadła noc, przeszliśmy “praktykę dyplomową”. Musieliśmy pełzać w zygzakowatym okopie, podczas gdy nad naszymi głowami ktoś strzelał z kaemu - karabinu, który wyrzuca nieprzerwany strumień pocisków. Okop był pełen błota i miał z ledwością metr głębokości. Wszyscy mogli posuwać się na czworakach. Ja musiałem “ciągnąć” brzuchem po ziemi. Mieliśmy pełne portki strachu, zwłaszcza że Meyer czołgał się za nami, rzucając granaty. Na szczęście żaden nie stoczył się do okopu i skończyliśmy te ćwiczenia z tą samą liczbą ludzi, z którą zaczynaliśmy.

Dano nam dobry posiłek, bo mięso, jarzyny, wino, i pozwolono iść wcześniej do łóżek. Byłoby więc wspaniale, gdybym mógł od razu zasnąć. Jeszcze dobrze po północy wpatrywałem się w sufit, rozmyślając o jutrzejszym dniu. Czy zobaczę następny zachód słońca? Zastanawiałem się, co uczynię, gdy naprawdę będę musiał zabić innego człowieka. Rozmawialiśmy o tym z Pancho i Miko. Nie będzie problemu ze strzelaniem - można tak celować, żeby nie trafić. Ale co zrobić, gdy dojdzie do walki wręcz? Miko przysięgał, że prędzej umrze niż zabije kogokolwiek za Jej Królewską Wysokość. Zgadzałem się z nim, ale to było tylko takie gadanie. Byłem całkowicie pewny, że jednak jestem w stanie zabić, aby ratować własne życie, że nie zawahałbym się nawet podczas walki gladiatorów na Ziemi. Kiedy w końcu zasnąłem, śniłem o domu, ale nie był to przyjemny sen. Były żniwa, a ja miałem broń, w którą wyposażono nas tutaj. Do rana atakowały mnie śliniacze i cyklopy.

Nie wydaje mi się, żeby jakakolwiek wojna miała sens, ale ta była głupsza od wszystkich, o których słyszałem. Walka miała się toczyć na dwóch wzgórzach oznaczonych numerami 814 i 905 oraz w rozdzielającej je małej dolinie. Sanctuary wolno było wystawić pięciuset żołnierzy na wzgórzu 814, zaś Feder tę samą liczbę na wzgórzu 905. Batalia miała być prowadzona do chwili, aż jedna z armii obejmie w posiadanie oba wzgórza. Dolina miała zaledwie dwa kilometry szerokości i była pocięta siecią głębokich okopów. Prawdopodobnie właśnie tam będzie przebiegała większość starć. Ani karabiny, ani kaemy nie są skuteczną bronią na tę odległość. Kula doleci tak daleko, ale nie można precyzyjnie wycelować.

Oczywistą strategią był podział armii na dwie grupy, z których jedna przeznaczona jest do obrony własnego wzgórza, a druga przesuwa się od okopu do okopu w kierunku nieprzyjaciela. Ta ostatnia, jak mi się wydaje, ma bardziej niebezpieczne zadanie, ale też ma więcej okazji do ucieczki. Około jedną trzecią sił stanowili wyszkoleni specjaliści tacy, jak snajperzy wyposażeni w ciężkie karabiny o wielkiej dokładności, saperzy, medycy itp. Pozostałe dwie trzecie to mięso armatnie.

Obudzono nas przed świtem i popędzono na pokłady floaterów. Nie przerzucono nas bezpośrednio na wzgórza, ale do obszaru koncentracji - około dziesięć klików od nich. Na tyle tylko bowiem zezwolono zbliżyć się floaterom, aby uniemożliwić obserwację z powietrza.

Resztę drogi przebyliśmy pieszo, pchając wyładowane wyposażeniem wózki. Stanowiliśmy w przybliżeniu jedną dziesiątą armii Sanctuary. Reszta przebywała już na wzgórzach od kilku dni, przygotowując stanowiska. Wojna miała rozpocząć się w południe.

O jedenastej trzydzieści całkowicie wyczerpani wyciągnęliśmy wózki na wzgórze.

Sierżant Meyer po wspinaczkę był świeżutki jak kwiatusek, no ale on nie ciągnął wózka.

- Wrzućcie wasze wyposażenie do tego bunkra - powiedział, wskazując dziurę w ziemi

- i wypełnijcie parę worków piaskiem.

Worki z piaskiem? Odszedł szybko bez wyjaśnień. Kiedy ciągnęliśmy z Pancho nasz wózek w kierunku dziury, natknęliśmy się na dwóch mężczyzn pakujących błoto do plastikowych worków. Powiedzmy, że to był mokry piasek.

- Oho! Nadchodzą żółtodzioby - powiedział jeden. - Macie tam jakąś łopatę w tym waszym gównie? - Mieliśmy. - Teraz wy napełniacie, a my ustawiamy.

Podczas wznoszenia wokół dziury muru grubego na dwa worki bez przerwy rozmawiali. Nazywali się Tanner i Darty, byli weteranami ponad rocznych walk i dano im przywilej pomagania nam w budowie schronu. Przygotowany wcześniej stos worków układali z niezwykłą wprawą. Dziura była rodzajem jaskini otwierającej się w dół na zbocze. Wyjaśnili, że worki z piaskiem stanowią ochronę przed kulami karabinów i kaemów, te bowiem grzęzną w nich już po dziesięciu centymetrach. Ale to była tylko teoria. Naprawdę w murze znajdują się liczne otwory. Dobry snajper albo nawet zwykły żołnierz, który podejdzie blisko, może trafić w taki otwór. I jeśli w tym samym momencie znajduje się tam strzelec prowadzący ogień na zewnątrz, z pewnością zostanie trafiony. Darty pokazał nie pokrytą włosami bliznę na skroni i zachichotał. Otwory strzelnicze to prostokątne skrzynki długie na dwa worki z piaskiem. Były wystarczająco duże, aby można w nich lekko ruszać wsuniętym karabinem. Zewnętrzny otwór przykryty jest zasłoną z przezroczystej gazy koloru błota. Dzięki temu, przynajmniej teoretycznie, żaden snajper nie potrafi znaleźć otworu, chyba że zauważy wystrzał oddany w jego kierunku. Większe zagrożenie niż snajper mógł stworzyć ktoś, kto podszedłby blisko i wrzuciłby do bunkra granat odłamkowy lub zapalający. Była oczywiście "studnia przeciwko granatom", czyli głęboka dziura pośrodku w dnie, do której należało wkopnąć wrzucony granat, by skierować odłamki wyłącznie w górę. Jeśli był to granat zapalający, należało uciekać z bunkra tak szybko jak to możliwe. Najlepszą strategią jest nie dopuścić nikogo zbyt blisko, by mógł cokolwiek wrzucić.

- Ale posłuchajcie! - powiedział Tanner. - Nie strzelajcie, aby zabić, dopóki nie musicie.

- Tanner! - wycedził Darty.

- Zamknij się, bandyto! Strzelajcie w nogi, ręce, uda, ramiona. Ci faceci tam są tacy sami jak my. Oni też chcą przeżyć. Jeśli my będziemy krwiożerczy oni odpłacą się tym samym. Już to widziałem. Wiesz, że to prawda, Darty. - Darty tylko obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Chyba że zobaczycie insygnia Hellerian. Te wściekłe psy i tak kiedyś muszą zginąć. - Rozległ się gwizdek. - Odbiór amunicji. Idziemy.

Ślizgając się i padając raz po raz, wdrapaliśmy się na górę. Stali tam kapitan Forrester i sierżant Meyer w otoczeniu tuzina podoficerów z Hell. Z bunkra za nimi w grupie biało ubranych osób personelu medycznego wyszła Alegria i z wątlym uśmiechem pomachała do nas ręką.

Pięciuset żołnierzy stworzyło prawie tłok. Podzielono nas na dziesięć kompanii i ustawiono na terenie oznakowanym stosami skrzynek i flagami kompanijnymi. Chociaż Miko miał przydział do innego bunkra, cała nasza trójka znalazła się w kompanii B.

Drugi gwizdek zabrzmiał o dwunastej, z chwilą rozpoczęcia wojny. Wydano nam po dwieście sztuk amunicji i po pięć granatów oraz podzielono na dziesięcioosobowe drużyny.

Pancho i ja znaleźliśmy się w drużynie D dowodzonej przez kaprała z Ziemi o nazwisku O'Connor.

- Dzisiaj mamy szczęście - powiedział O'Connor. - Jesteśmy jednym z oddziałów obrony i pozostajemy na wzgórzu. Na razie większość walk będzie się toczyć na dole w dolinie. Macie wszyscy przydzielone bunkry?

Wymruczeliśmy zgodne tak.

- Dobrze. Spędzimy następne kilka godzin, czuwając na zmianę. Jedna godzina snu, jedna godzina obserwacji. Ilu mamy nowych?

Pięciu podniosło ręce. Westchnął.

- Zawsze ich muszę dostać. Słuchajcie! Nie mieliście zbyt dużo ćwiczeń i wiem, że nie jesteście dobrze przygotowani. Kiedy zrobi się gorąco, o wszystkim zapomnicie. Ale o jednej rzeczy nie wolno wam zapomnieć, celujcie zawsze tak, aby zabić. Zawsze tak strzelajcie. Nie wydobędziecie się stąd żywi, jeśli nie zdobędziemy wzgórza. Jeśli tylko zranicie kogoś z nich, w przyszłym tygodniu znów będzie do was strzelał. Zawsze...

Z doliny dobiegło słabe tap-tap-tap strzelającego kaemu.

- Szajs! Już rozpoczęli, cwaniaki. Włączcie do bunkrów za worki z piachem. Przyjdę później.

Spojrzałem na Pancho i otworzyłem usta, by coś powiedzieć, gdy usłyszeliśmy świst, potem ciche pacnięcie i jakieś trzy metry ode mnie kula zrobiła w błocie małej krater.

- Myślałem, że te rzeczy tak daleko nie dolatują - stwierdził, ocierając ręce z błota. - Na szczęście z takiej odległości nie są w stanie dobrze celować. Próbują tylko nas przestraszyć.

Rzeczywiście robili to skutecznie. Słyszeliśmy krzyki i odgłosy nerwowej bieganiny.

Serce bilo mi szybko, a Pancho zbladł pod swoją opalenizną. W odpowiedzi nasze kaemy też zaczęły strzelać. Wsunąłem karabin w szczelinę między workami i nastawiłem teleskopowy celownik na największą odległość. Kropeczka w polu widzenia opadła w dół i błyskała czerwono. Żołnierze na wzgórzu 905 wyglądali jak krzątające się mrówki. Wycelowałem w okop leżący u podnóża. Kropka stała się żółta i powróciła na środkowe położenie.

- Nie wydaje ci się, że potem będziemy mieli tego aż za dużo, *amigo*? - spytał Pancho. -

A twój karabin nie jest nawet naładowany.

Jakby w odpowiedzi z pobliskiego bunkra dobiegł szczęk karabinu.

- Oszczędź sobie! - ktoś krzyknął. - Nie doleci nawet do połowy.

- Kto odpoczywa pierwszy? - zapytał Pancho.

- Ty. Ja nie mógłbym teraz zasnąć.

- Ja także. Parzyste czy nieparzyste?

- Parzyste - odpowiedziałem. Wystawił dwa palce, ja trzy.

- Przyjemnych snów - powiedział, wciskając magazynek w karabin.

Nagle powstał jeszcze większy rozgwar. Tłum żołnierzy, ślizgając się i potykając, przeciągał ścieżką prowadzącą obok naszego bunkra. Byli uzbrojeni, na głowach mieli hełmy. Szli obładowani skrzynkami z zapasową amunicją, granatami i żywnością. Spieszyli się, by w okopach poniżej choć przez chwilę poczuć się bezpiecznie. Były to drużyny atakujące - ponad dwustu ludzi. Jeden z mężczyzn upadł i ześlizgnął się około piętnastu metrów, po czym znieruchomiał w błocie. Kolejny zatrzymał się przy nim na chwilę, spojrzął, wykrzyknął "Medyk! Nieprzytomny!" i pospiesznie kontynuował schodzenie. Do leżącego dobiegło dwóch sanitariuszy, pobieżnie zbadali go i chwyciwszy pod pachy, podprowadzili do naszego bunkra i zaczęli opuszczać go do wewnątrz.

- Tutaj. Pomóżcie nam.

Ułożyliśmy go na ziemi delikatnie jak tylko było to możliwe. Jeden z sanitariuszy zeskoczył do bunkra, z kasetki u pasa wyjął strzykawkę i dał nieprzytomnemu zastrzyk w ramię. Mężczyzna jęknął i potrząsnął głową. Sanitariusz odpiął mu hełm i położył obok.

- Gdzie ja jestem... Co za... Szajs...

- Kula odbiła się od twojego hełmu, straciłeś przytomność - poinformował go sanitariusz. - Gdy już będziesz mógł chodzić, przyjdź do punktu sanitarnego - podniósł się - albo gdy już przestanie padać - dodał i pobiegł szybko w górę w ślad za kolegą.

Żołnierz wziął do ręki swój hełm i przesunął palcami po dużym wgłębieniu, potem delikatnie dotknął guza wielkości kurzego jaja, który wyrósł mu na czubku głowy i popatrzał na palce.

- Było blisko. - Pobladł, przełknął ślinę.
- Miałeś szczęście, *amigo*.
- Nigdy dotąd nie dostałem...
- Od jak dawna walczysz? - spytałem.
- To zła wróżba. Co? Co mówiłeś?
- Pytałem, w ilu wojnach brałeś udział, że dotąd nie byłeś ranny?
- W trzech widowiskach - odparł, dotykając powtórnie głowy. - Zaciągnąłem się cztery miesiące temu.
- Zaciągnąłeś się? Nie wyglądasz na Hellerianina. Ponownie spojrział na palce.
- Przynajmniej nie krwawię. Nie, jestem Ziemianinem. Niestety jestem zbyt duży jak na Ziemianina. Zarobiłem trochę pieniędzy na walkach i przybyłem tu, by otworzyć sklep z trunkami. Popadłem w długi. - Pokiwał wolno głową. - Gdybym wiedział, że do tego dojdzie, pozostałbym na Ziemi. Mogłem zarobić masę pieniędzy. Skoro ludzie chcą oglądać i płacą?
- My także walczyliśmy na arenie - powiedziałem. - Pancho *bolo*, a ja tyczką.
- A niech to. - Uśmiechnął się po raz pierwszy i wyciągnął rękę. - Jake Newmann, wibropalka.
- Jestem Carl...

Rozbryzgując błoto, wskoczył do środka O'Connor, mały kapral z Ziemi.

- Co jest u diabła? - zapytał. - Trzech ludzi w jednym cholernym bunkrze, a nikogo na straży!
- Nagły wypadek, sir - powiedziałem.
- Nie mów do mnie sir! Ja zarabiam na swoje życie! - krzyknął. - To ty dostałeś podczas schodzenia? - zwrócił się do Jake'a.
- Tak, kapralu. Pocisk z kaemu uderzył w mój garnek i znokautował mnie.
- Szybko. To przynosi pecha.

Czy wszyscy żołnierze są tacy przesądni?

- A wy, szczeniaki - zwrócił się do mnie i do Pancho - nie musicie wytrzeszczać oczu przez najbliższą godzinę. Niebiescy w tym czasie nie przebiegną doliny.

My byliśmy Czerwoni. Obie strony nosiły identyczne ziemiste mundury, tylko na ramionach mieliśmy opaski pozwalające rozróżnić swoich od wrogów.

- Ale też nie chcę, żebyście się tu lenili - kontynuował. - Rozumiecie, oni wysłali już swoich snajperów, którzy obejdą bokiem naszą grupę uderzeniową i mogą tu być za godzinę. Założę się zresztą o własną dupę, że nasi zrobili to samo. O tym że snajper już jest, dowiadujemy się najczęściej dopiero wtedy, gdy zabije swoją pierwszą ofiarę. Na pewno nie będzie ryzykował, że zdradzi swoją pozycję, dopóki nie będzie pewny strzału. Jeśli wszyscy będą patrzeć, to może ktoś spostrzeże koniec lufy albo jakiś dymek.

- Kapralu - powiedziałem - nie można ich dostrzec, gdy strzelają? To znaczy, mam na myśli, że na dole nie ma przecież bunkrów?

- Bunkrów nie ma, ale oni noszą pezetemy, czyli przenośne zestawy maskujące. Coś w tym rodzaju jak na wylotach waszych strzelnic. Jeśli nie zauważycie ich w momencie rozkładania, a to już samo w sobie jest trudne, to potem nie będziecie w stanie odróżnić ich od okopów. Chyba że zapamiętaliście obraz terenu z dokładnością do pojedynczego kamyka, na to jednak potrzeba paru tygodni. Wtedy jednak oni strzelają już tylko w nocy.

Dobrze że reguły walki nie zezwalają na noktowizory, których używamy u nas w okresie zniw. Snajperzy byliby wtedy naprawdę skuteczni.

- A wy, szczeniaki, co? Nowicjusze? - spytał Jake.

- Oczywiście - odpowiedział za nas O'Connor.

- Może zostałbyś z nimi do chwili, aż twój oddział będzie wracał?

- Oczywiście. Sam na ziemi niczyjej?

- Załatwię to z sierżantem Dubi. Jeśli mu to w ten sposób przedstawię, powinien się zgodzić.

- I tak nie mam, gdzie iść - powiedział Jake - a poza tym, w pewnym sensie jesteśmy rodziną. Wszyscy byliśmy gladiatorami na Ziemi.

Kapral spojrzał na nas zdziwiony.

- Wojna zatem musi się wam wydawać nieciekawa. - Pancho i ja milczeliśmy. -

Poczekajcie tylko - powiedział podejrzanie łagodnym głosem i wygramolił się z bunkra.

- Mam wrażenie, że on nie przepada za gladiatorami - odezwał się Jake. - Skąd się tu wzięliście? Pozbawiono was uprawnień czy coś w tym rodzaju?

Opowiedzieliśmy mu pokrótce o Starschool i o porwaniu. Nie był specjalnie zdziwiony.

- Jesteście pewni, że wasz statek już odleciał? Pancho wzruszył ramionami.

- Z pewnością zgłoszono, że zginęliśmy podczas ćwiczeń na jakimś oddalonym obszarze. Podejrzewam, że Bruno robił takie rzeczy wystarczająco często, aby nauczyć się zacierać ślady.

- A statek według planu miał odlecieć wczoraj - dodałem.

- Jednak jestem przekonany, że szefowie Starschool nie są głupcami - kontynuował Jake. - Do diabła! Przecież nawet mnie wydałoby się to podejrzane. Może jutro ujrzycie, jak wasz statek ląduje pośrodku doliny na ziemi niczyjej?

- Nigdy nie ląduje - odparłem. Z drugiej strony wiedziałem, że dziekan to solidna firma.

- Może masz rację, może celowo pozbawiono nas nadziei.

- Na pewno! Tylko nie dajcie się zabić. Na pewno zjawią się po was. Spójrzcie na to z ich strony, z punktu widzenia Starschool. Wrócą do domu i powiedzą waszym ludziom, że po prostu zniknęliście podczas jakiegoś szkolenia? Nie mogą! Na pewno nie!

Opierałem się tej rozbudzonej na nowo nadziei.

- Na Starschool podpisaliśmy dokument zwalniający ich od odpowiedzialności...O

Boże!

- Co? - zaniepokoił się Jake.

- Zaciągnęliśmy się! Zaciągnęliśmy się jako najemnicy i podpisaliśmy, że robimy to bez przymusu.

Jake roześmiał się głośno.

- Mogą się wypchać tym kawałkiem papieru. Nie Jest nic wart przeciwko takim ludziom jak wasz dziekan. Nie jesteście przecież Hellerianami. Pochodzicie z zewnątrz. Jeśli zakwestionujecie umowę, sprawa idzie do sądu apelacyjnego Confederation. A na to sobie nie mogą pozwolić.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - spytał Pancho.

- Spójrz na mnie! - Rozłożył szeroko ramiona. - Jestem kupcem, nie żołnierzem. -

Zaśmiał się cicho z szelmowską nutką. - Zanim zacząłem walczyć na arenie, miałem na Ziemi sklep z alkoholami. Wiercie mi, znam się na tym. Mogłem zarejestrować się tutaj jako obcy, ale przyjmując obywatelstwo Hell, uzyskałem dziesięcioprocentową obniżkę podatku. Szajs... Gdybym mógł cofnąć czas. Lepiej splajtować i zostać deportowanym niż splajtować i zostać wcielonym do armii. - Zaśmiał się znowu. - Ale wiercie mi, poznałem prawo. Widziałem jak działa. Patrzyłem na to przez rok albo i dłużej.

- I nic już nie możesz zrobić? - zapytałem.

- Przeżyć te dziesięć lat. Dzisiaj wydaje się to mniej prawdopodobne niż wczoraj - dodał ponuro.

- Ta cała cholerna planeta w ogóle nie ma sensu. Dlaczego oni...? Na Springworld przysłano by po prostu zarządcę państwowego, zadbano by o twoje warunki życia.

- Och! Mój sklep ma teraz rządowego menagera. I nie ma już długów. Ale tutaj nie

można zaskarżyć rządu. Kto by się odważył? Teoretycznie jeśli się stąd wydostanę, odzyskam swój sklep. I swoje długi. Plus procenty. To wyniesie dokładnie tyle, ile mój dziesięcioletni żołd szeregowca, a potem kaprała. Dlatego mnie wcielono.

- Myślałem, że się sam zaciągnąłeś - powiedziałem.

- Jasne. Tak samo jak wy. Miałem do wyboru albo się zaciągnąć, albo iść do więzienia dla dłużników. Stamtąd się nie wychodzi, chyba że w pudełku.

- Ale dożyłbyś... - Pancho zdał sobie sprawę z tego, co chce powiedzieć, ale kontynuował - ...dożyłbyś późnej starości.

- Jasne! Gdzie byłeś, jak potrzebowałem porady? - Wstał i oparł się o worki z piaskiem.

- Czy ci wszyscy, którzy nie chcą walczyć, nie mogliby po prostu odmówić?

-zastanawiał się Pancho. - Po prostu usiąść, czy coś w tym rodzaju?

Jake zaśmiał się.

- Jediną niewiadomą byłoby, kto pierwszy przybiegnie cię zabić. Jest tu pełno Hellerian, którzy z lubością wykonaliby tę robotę. Niektórzy z tych wcielonych również. Zaczynają nienawidząc, a kończą uwielbiając. Wiele razy widziałem takie przeobrażenia.

Zadrzałem, przypomniawszy sobie arenę. Każdy człowiek ma swoje ciemne sprawy.

- Muszę iść po swój karabin, zanim będzie to zbyt niebezpieczne - powiedział Jake. -

Leży ciągle tam, gdzie upadłem.

- Zostań tutaj i odpocznij, *amigo*. Ja go przyniosę...

- Pancho!

Ciągle w oddali słyhać było serie kaemów.

- ...zanim będzie to zbyt niebezpieczne - powiedział Pancho, wychodząc na zewnątrz.

Wrócił po chwili.

- Dzięki. - Jake odebrał karabin i zaczął czyścić go kawałkiem szmatki. - Tak jak

mówiłem, wy chłopcy musicie przetrwać jeszcze dzień albo dwa, zanim przylecą was zabrać.

Po prostu trzymajcie głowy nisko i nie róbcie nic głupiego. - Machnął ręką w kierunku otworów strzeleckich. - Połóżcie magazynki na tę drewnianą półeczkę, wszystkie w tę samą stronę.

Będziecie musieli przeładowywać broń po ciemku. Połóżcie tam też parę granatów. Używajcie ich nocą, jeśli nie chcecie zdradzić położenia waszego bunkra. Miejcie oczy szeroko otwarte, utrzymujcie broń w czystości. To może uratować wam życie.

- Czy celujesz tak, aby zabić? - spytałem.

- Po prostu strzelam. Niech kula decyduje sama. - Spoważniał. - Ale jeśli jakiś Niebieski będzie wspinał się na wzgórze, mam zamiar celować bardzo dokładnie.

- Sądysz, że będą próbowali podejść pod wzgórze dziś w nocy? - zapytał Pancho.

- Chyba nie. W mojej drugiej wojnie tak zrobili. Wzięli każdego cholernego żołnierza ze swojego wzgórze i spróbowali zmasowanego ataku. Nie wyszło.

Jak zwykle przyślą po prostu kilku snajperów. Każdy ma dwa albo trzy pezetemy, dzięki czemu mogą ostrzeliwać nas z różnych miejsc. Będą próbowali ich wprowadzić nocą. Prześlizgną się i obrzucą kilka bunkrów granatami. My podobnie, gdy tylko zrobi się ciemno, wyślemy oddział komandosów, by wytropili ich snajperów. To nieprzyjemna robota. Trzeba działać niezwykle cicho. Niekiedy schodzący w dół komandosi natykają się na podchodzących saperów. I zaczyna się krwawa jatka.

- Sądysz, że mogą nas użyć jako komandosów? — spytałem.

- Nie. To zwykle robią Hellerianie albo inni prawdziwi najemnicy. Jak już mówiłem, trzeba działać cicho i umieć posługiwać się nożem.

Ciarki przeleciały mi po grzbiecie. Potarł mocno twarz dłońmi.

- Zastanawiam się, czy powinienem pokazać się medykom.

- Ale on powiedział...

- Taaa. Ale ja naprawdę nienawidzę lekarzy. - Wzdrygnął się, zakładając hełm na głowę. - Chyba jednak pójdę. Może odeślą mnie w dół na kilka dni.

Wyczołgał się z bunkra. Usłyszeliśmy twarde pacnięcie.

- Och - powiedział łagodnie i ześlizgnął się z powrotem.

Chwyciłem go, zanim uderzył o ziemię i ułożyłem na plecach. Pancho ciężko wciągnął powietrze do płuc. Ciemnoczerwona plama powiększała się szybko na przodzie koszuli.

Wpatrując się w nią, powiedział tylko jedno słowo:

- Nie... - w gardle zabulgotało mu okropnie, zwiotczał, głowa opadła mu na ziemię, oczy znieruchomiały.

- *Dios. Mierda* 11 - powiedział Pancho.

Ręce mi się tak trzęsły, że z trudem zdołałem rozpiąć suwak jego koszuli. To co zobaczyłem, spowodowało, że poczułem kwaśny smak wymiotów w gardle, wstałem i zmusiłem się do przełknięcia. Nie miałem zamiaru wystawiać głowy na zewnątrz, tylko dlatego, żeby opróżnić mój żołądek. Krwawa rana pośrodku piersi Jake'a była tak duża, że mogłem w nią włożyć pięść. Wystawały jakieś odłamki kości.

- Sanitariusz! - krzyknął Pancho.

- O co chodzi? - dobiegł nas głos z góry.

- Mamy tu... Mamy tu martwego!

- Jesteście pewni, że nie żyje? Pancho spojrzał na leżącego przez moment i szybko odwrócił głowę.

- Na pewno.

- Chwileczkę.

Czekaliśmy. Wyciągnąłem chusteczkę z kieszeni i przykryłem twarz Jake'a. Tak było odrobinę łatwiej. Mówią, że gdy studenci medycyny wykonują sekcję zwłok, pierwszą rzeczą,

jaka robią, jest usunięcie twarzy.

- Hej, wy! Niech tam leży. Przyjdziemy po niego, gdy się ściemni.

- Czy... czy nie powinniśmy wystawić go na zewnątrz?

- Nie wydaje mi się - wyszeptał Pancho. - Może przez jakiś czas obaj będziemy trzymać wartość?

- Dobry pomysł. - Przeszedłem ponad ciałem i usiadłem tak, żeby mieć dobry widok przez otwór strzelniczy.

- Co za okropna rzecz - westchnął Pancho. - On...

11 *Dios* (hiszp.) - Boże! *Mierda* (hiszp.) - gówno (przyp. tłum.).

Ktoś za naszymi plecami wskoczył do bunkra. Złapałem karabin i obróciłem się.

- Nie strzelaj, idioto! - To był O'Connor. Dotknął ciała czubkiem buta. - To ten sam facet! - Zerknął pod chusteczkę. - Niech mnie diabli! Niech mnie diabli wezmą!

Pomyślałem, że to wielce prawdopodobne, ale się nie odezwałem.

- Jak to się stało?

- Szedł właśnie na punkt opatrunkowy. To chyba był snajper.

- Nieee. To kaliber pięćdziesiąt. - Przewrócił ciało na bok i przytrzymał. Na plecach widniała tylko mała plamka krwi. - Zobaczcie, to jest rana wlotowa - powiedział obojętnym tonem. - Wyżej niż wylot. Gdyby to był snajper, byłoby odwrotnie. - Puścił i ciało opadło. -

Miejmy nadzieję, że nie mają snajperów z karabinami kalibru pięćdziesiąt.

- Zatem to jakaś zbląkana kula z kaemu - powiedziałem.

Wstał i wytarł ręce o koszulę.

- Niekiedy po prostu facetowi kończy się zapas szczęścia. Dwukrotnie! Czy uwierzylibyś...

Dwóch sanitariuszy pojawiło się na krawędzi bunkra.

- Wy tam! Może byście podali nam ten kotlet. Przeklęty porucznik twierdzi, że potrzebujemy części.

- Nie potrzebujemy żadnych cholernych części - powiedział drugi.

- Słuchajcie no, jestem kapralem - odezwał się O'Connor.

- Jesteś tylko pieprzonym dowódcą na polu bitwy. Na nas to nie robi wrażenia. Dajcie nam tylko to pieprzone mięso, żebyśmy je mogli zabrać do naszego pieprzonego bunkra.

Chwyciłem jedną rękę, O'Connor drugą. Ciało zabitego jest znacznie cięższe niż ciało żywego. Sanitariusze przejęli je od nas i pociągnęli, tak że czubki butów rzeźbiły w błocie dwa równoległe rowki.

O'Connor narzucił nogą trochę błota na kałużę krwi i usiadł, opierając się o worki z piaskiem. Wyciągnął papierosa, zapalił i rzucił nam pudełko. Odmówiłem, Pancho skorzystał.

Przez minutę siedzieliśmy i wpatrywaliśmy się w milczeniu w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżało ciało. Kaemy grzechotały cicho i raz po raz, gdy kula uderzała w pobliżu, słychać było mokre pacnięcie.

- Muszą mieć całe tony amunicji - odezwał się O'Connor.

- Dlaczego my nie strzelamy? - spytałem.

- No chyba po prostu dlatego, że ktoś pomyślał, że oni chcą, żebyśmy strzelali i pozbyli się amunicji. Wtedy czekałoby nas dziś w nocy duże natarcie z kolejnymi falami

szturmującymi nasze pozycje. Więc oszczędzamy amunicję. Oczywiście to nic pewnego, tylko tak sobie myślę. - Zaciągnął się głęboko. - To byłoby dobre.

- Co? Falowe ataki? - zdziwił się Pancho.

- Mieć to za sobą. Wóz lub przewóz, ale mieć to za sobą. Jednak czeka nas chyba walka w okopach. Przemieszczanie oddziałów.

Gdzieś nisko w dolinie rozległo się kilka wystrzałów, a po nich pojedyncze wybuchy

granatów.

- Pierwszy kontakt - powiedział O'Connor z podnieceniem w głosie. Znowu wybuchła krótka strzelanina. Uniósł się i zdeptał papierosa. - Pójdę lepiej do dowództwa. - Ruszył, lecz nagle zatrzymał się i odwrócił do nas. - Czy ktoś z was, szczeniaki, robi dobrze nożem?

- Nie - skłamałem.

- Nigdy nie używałem - powiedział Pancho.

Skinął głową, wygramolił się na zewnątrz i odszedł bez specjalnego pośpiechu.

- Ten człowiek stanowi dla nas większe niebezpieczeństwo niż ktokolwiek z

Niebieskich - mruknął Pancho.

- Poczekaj - głośno zastanawiałem się. - Założmy, że wysła nas jako komandosów. To dałoby nam całą noc, aby się stąd wyślizgnąć, a jeśli nie wrócimy, będą sądzić, że zostaliśmy zabici.

- Jediną skazą na twoim logicznym wywodzie jest fakt, że najprawdopodobniej zostaniemy zabici. - Spojrzał przez strzelnicę. - Ciekaw jestem, czy już doszli do połowy? Obejrzałem teren przez swój teleskopowy celownik. W oddali widać było fontanny dymu i błota, a wiatr przynosił odgłosy wybuchów granatów. Wyostrzyłem obraz, kropka w celowniku sięgnęła dna ramki, ale nie błyskała jeszcze na czerwono. Nagle kilka tuzinów żołnierzy z niebieskimi opaskami na rękawach wyskoczyło z okopów i zaczęło biec w naszym kierunku. Na lufach karabinów mieli zatknięte bagnety. Ktoś krzyknął:

- Otworzyć ogień!

W tej chwili ze wszystkich bunkrów wokół nas zaczęto strzelać. Wycelowałem wysoko i nacisnąłem spust - karabin wewnątrz bunkra powodował większy hałas - przeładowałem broń i wystrzeliłem powtórnie.

- Celować dokładnie, skurwysyny! Kula potrzebuje sekundy, żeby tam dolecieć!

Jak na razie nasza strzelanina nie odnosiła większego efektu. Jeden z atakujących żołnierzy opadł na kolana, wypuścił karabin i zaczął czołgać się z powrotem. Nagle z okopu odległego od nich o dwadzieścia metrów unieśli się Czerwoni, strzelając i rzucając granaty. Kilku Niebieskich upadło, reszta kontynuowała atak, ostrzeliwując się w biegu. Jasnozielona gwiazda rozbłysła nad ich pozycjami. Ktoś wystrzelił z raketnicy sygnał żądający wsparcia. Około połowa Niebieskich zdołała dobiec i wskakiwała do okopu, wystawiając bagnety.

- Przerwać ogień! - rozległo się. Nie odrywając głowy od strzelnicy, Pancho powiedział.

- Dobrze że jesteśmy tu, a nie tam.

- Mogłoby tak pozostać. Trafiłeś kogoś?

- Nie. Celowałem wyżej.

- Ja także.

Drgnąłem, gdy granat wybuchnął w okopie. Wyglądało to na rzut z bliska. Głośniejszy strzał, jak gdyby oddany z sąsiedniego bunkra, wybił się ponad zgiełk bitwy i zaraz potem ktoś na szczycie wzgórza przeraźliwie krzyknął.

- Teraz my się możemy tego spodziewać - powiedziałem.

- Zauważyłeś coś?

- Nie.

Zraniony przez snajpera żołnierz wzywał sanitariuszy, a ja zastanawiałem się, czy wyszedłbym udzielić mu pomocy, gdybym był ubrany na biało. Zasadniczo nie strzela się do medyków, ale... I niejasna wizja, obraz Alegrii wybiegającej z bunkra, opatrującej rany, wystawionej na strzały na odkrytej przestrzeni, Alegrii, której życie zależy tylko od tego, czy snajper skłonny jest przestrzegać reguł gry. Kobiety nie walczą, nie ma ich wśród żołnierzy, więc może sanitariuszki pracują tylko w bezpiecznych schronach. Kolejny strzał padł z

zupełnie innego kierunku, ale tym razem nikt nie został trafiony. Kilka sekund później z bunkra położonego powyżej nas zabrzmiała szaleńcza kanonada. Musieli zauważyć wystrzał. Rzucili też kilka granatów, ale spadły zbyt blisko, trafiając w sąsiedni bunkier.

- Czy coś widzisz? - spytał Pancho.

Widziałem tylko błoto rozpryskiwane strzałami. Padł jeszcze jeden strzał i tym razem usłyszeliśmy świst kuli przelatującej nad naszymi głowami. Bunkier nad nami ucichł.

Rozsądnie. Po co pakować się w kłopoty?

- Tam - szepnął Pancho. Wydawało mi się, że też zauważyłem jakiś ruch, niewielkie poruszenie.

- Na lewo od tej białej skały?

- Właśnie.

Po chwili spytałem:

- Będziesz strzelał?

- To nie moja wojna. A może twoja, *amigo*?

- Nie.

Ale wpatrując się w ten punkt, zacząłem rozważać moralność w kategoriach arytmetyki i vice versa. Jeśli nie pociągnę za spust, on będzie żył nadal, zabije jeszcze dziesięciu żołnierzy i powstrzymując się od strzelania, w pewnym sensie będę odpowiedzialny za ich śmierć. Ale jeśli on zauważy błysk lub dym, a ja nie trafię, on wyceluje ponownie... W tym momencie poczułem się raczej jak tchórz niż moralista.

- Czy myślisz, że w tym co mówił Jake tkwiła chociaż odrobina prawdy?

- Masz na myśli dziekana spieszącego nam na pomoc? Nie postawiłbym na to wiele pieniędzy.

- Obawiam się, że ja także. Czy nie powinniśmy się sami zgłosić na rajd komandosów?

Myślałem przez chwilę.

— Jeszcze nie, mogą nabrać podejrzeń. Ja w każdym razie wietrzyłbym jakiś podstęp.

Poczekajmy i zobaczymy, co będzie. Wydaje się, że walka się kończy.

Nie było już słychać strzałów, siedmiu zabitych albo rannych żołnierzy leżało między dwiema liniami okopów. Biało ubrany sanitariusz z niebieską opaską na ramieniu przesuwał się od ciała do ciała. Ilu leżało w okopach? Nie strzelali również snajperzy, czekali na zmierzch albo na to, by się ktoś pokazał. Chciało mi się sikać, ale wyjście teraz na zewnątrz byłoby chyba nie najlepszym rozwiązaniem.

Pancho czuwał, a ja rozmyślałem, próbując zasnąć. Prawie marzyłem, żeby zjawił się O'Connor. Czy z dotychczasowego przebiegu bitwy wynikało, że ponieważ zaangażowano niewielu żołnierzy, nie czekają nas falowe, zmasowane ataki? A może trzystu albo czterystu ludzi skrada się właśnie okopami? Obląłem się zimnym potem, gdy zdałem sobie sprawę, że to ma sens: wysłać kilka tuzinów ludzi, aby odwrócić uwagę przeciwnika, podczas gdy główne siły wyruszają chyłkiem, by zmasakrować wroga. Nie, w tym przypadku słyszelibyśmy więcej strzałów, chyba że... atakują bagnietami. Ale gdzieś tam na dole są dwie setki naszych. Ilu mogło do tej pory wziąć udział w walkach? Na pewno nie dwustu. Z drugiej strony okopy tworzą skomplikowany labirynt, co między innymi ułatwia snajperom działanie z ukrycia. Jeśli może się niepostrzeżenie prześlizgnąć kilku snajperów, to czy może i pięciuset? Jest to mało prawdopodobne, ale też nie jest niemożliwe. Ocknąłem się gwałtownie na odgłos strzału.

- To w pierwszym okopie - powiedział Pancho - nie w łączniku tylko naprawdę w pierwszej linii.

Łącznikami w odróżnieniu od zygzakowatych, głębokich linii prawdziwych okopów, którymi poprzekreślana była cała dolina, nazywano płytkie, biegnące prosto rowy. Spojrzałem przez strzelnicę i zobaczyłem smużki dymu podnoszące się znad okopów. Czyżby to była

pierwsza fala ataku? Jeszcze nie było całkiem ciemno.

- Widzisz jakichś ludzi?

- Nie - odparłem - jeszcze nie.

Strzelanina ucichła równie niespodziewanie jak wybuchła. Tuziny żołnierzy zaczęły wysączać się z okopów i ku naszej uldze spostrzegliśmy czerwone opaski na ich mundurach.

- Może złapali snajpera? - spróbowałem zgadywać.

- W każdym razie wracają. Noc powinna być spokojniejsza. Przeciągnąłem się i poczułem ostry ból.

- Snajperzy mają teraz tyle różnych celów, idę zmoczyć trawę.

- Ja po tobie.

Latrynę stanowiła ustawiona po drugiej stronie ścieżki olbrzymia dwustulitrowa beczka. Gdy tam stałem i z uczuciem ulgi uwalniałem się od nadmiaru płynów, powracający żołnierze przeciągali tuż obok i niektórzy rzucali żartobliwe komentarze. Było wśród kilku poowijanych bandażami, niektórzy krwawili, innych trzeba było nieść. Zamieniliśmy się z Pancho miejscami i obserwowałem teraz, jak zapada zmrok. Kiedy już z trudnością można było cokolwiek dostrzec, postyszałem zbliżające się kroki.

- O'Connor?

- Tak. Nie śpicie?

- Tak.

- Macie. - Wręczył każdemu z nas ciężkie zawiniątko. - Pistolet i nóż bojowy.

Gładiatorzy muszą być chyba odważni, nie? - Milczeliśmy. - A to jest robota dla odważnych mężczyzn.

- Jaka "robota"?

- Wyjdziecie wieczorem poszukać snajperów. Musicie przedostać się przez kilka

pierwszych linii okopów i cicho ich załatwić.

- Myślałem, że nacierające dziś oddziały już zrobiły z nimi porządek.

- Wróć. Kochają noc.

- Kapralu - włączył się Pancho - pistolety są przecież głośne.

- Zgadza się. Używajcie więc ich tylko w ostateczności. Weźcie też kilka granatów, są

lepsze. Słuchajcie, co zrobimy. - Spodobało mi się to "my". - O wpół do jedenastej wystrzelimy podwójny pocisk oświetlający, dwie jasne flary. Gdy się wypalą, wychodźcie z bunkra i ruszajcie ścieżką w dół. Będziecie mieć pięć minut ciemności.

- Chyba że z kolei nieprzyjaciel wystrzelił rakiety.

- Zgadza się. W takim przypadku musicie przypaść do gruntu tak jak was szkolono.

Naprawdę w tych ciemnościach trudno dojrzeć człowieka, jeśli się nie rusza. Ponadto przy pasach waszych pistoletów znajdziecie zestawy maskujące. Wysmaruj cię sobie kremem twarz, ręce i karki. - Zagrzechotał czymś. - Te pigułki polepszą zdolność widzenia nocą i przyciemnia białka oczu. Weźcie jedną od razu.

Połknęliśmy grzecznie.

- Skąd będziemy wiedzieli, że jest wpół do jedenastej? - spytałem.

- Nie macie zegarków? Zatem wrzucę kamyczek do waszego bunkra. Jeśli natomiast usłyszycie taki sygnał - wyciągnął gwizdek i lekko dmuchnął - będzie to znaczyło, że akcja jest odwołana.

- Dlaczego mogliby ją odwołać? —zapytał Pancho.

- Gdyby były sygnały zbliżającego się zmasowanego ataku. Wtedy bylibyście bardziej potrzebni tutaj. Czy wasze szkolenie obejmowało naukę, jak zabić człowieka nożem?

- Pokazano nam, ale zajęć praktycznych nie było.

- Najlepiej jest podejść przeciwnika od tyłu, wolną ręką zacisnąć mu usta i nos, i wtedy

do wyboru albo po gardle, albo w nerki. Sięgnąć do gardła łatwiej, ale pchnięcie w nerki zabija szybciej. Ty z twoimi dużymi łapami mógłbyś gnoja po prostu przydusić, aż straci przytomność, a potem spokojnie załatwić. Najważniejsza jest cisza. Z dużym prawdopodobieństwem możecie się spodziewać w pobliżu drugiego snajpera, może nawet kilku. Najlepiej jak jeden czuwa, a gdy drugi idzie zabijać.

- Ale będzie ich trudno zaskoczyć - powiedział Pancho - z pewnością spodziewają się czegoś takiego.

- Może nie. Wysyłamy tam JTD, tego z waszej grupy, który strzelał do starszego sierżanta. Będzie wyposażony jak komandos, ale jeden z jego butów będzie lekko skrzypiał.

Gdy go zabiją, będą mniej czujni. - Troskliwie osłaniając płomień, zapalił papierosa. -

Pamiętajcie również, że najlepiej uderzać, gdy trwa strzelanina. Kaem ze szczytu naszego wzgórza będzie sporadycznie ostrzeliwał ich okopy. W tych momentach atakujcie. Inny kaem będzie trzymał pod obstrzałem przerwę w zaporach z drutu kolczastego. Wstrzyma ogień, gdy będziecie wracać. - Przez chwilę palił w milczeniu. - Powrót. Najbezpieczniej jest przeczekać gdzieś w okopie do świtu. Potem machajcie opaską. Kaem was przepuści.

- A co ze snajperami?

- Jeśli dobrze wykonacie swoje zadanie, już ich nie będzie. Ale na wszelki wypadek kaemy pokryją całe pole ogniem.

- Czy na dole będą sami Niebiescy? - spytałem.

- Tak. Mamy kilka jednostek na ziemi niczyjej, ale oni wszyscy są bliżej tamtego wzgórza. Jeśli usłyszycie lub zobaczycie grupę mężczyzn, będzie to prawdopodobnie oddział saperów Niebieskich. Obrzućcie ich z ukrycia granatami. Jeśli to będą Czerwoni, znaczy, że złamali rozkazy.

Trochę surowa kara - pomyślałem.

- Macie jeszcze jakieś pytania?

- Tylko jedno - powiedział Pancho. - Dlaczego my? Tego typu zadania przydziela się przecież doświadczonym żołnierzom.

- Mam tylko pięciu zawodowców w moim oddziale, muszę ich oszczędzać. - Odwrócił się, jakby chciał odejść, ale dorzucił: - Cóż, to nie wszystko. Nie powinienem wam tego mówić, ale musieliście coś zrobić, co zdenerwowało starszego sierżanta. To on polecił mi przydzielić wam niebezpieczne zadanie. Sprawcie się dobrze, to może zmieni zdanie.

Wcale nie byłem pewien, że jeśli sierżant zmieni zdanie, to nasze położenie się poprawi.

- Wasz przyjaciel dostał podobne zadanie.

To o Miko.

- Nie mówił dlaczego?

- I tak wam za dużo powiedziałem. Nie, nie mówił. Powodzenia.

Odszedł. Przez chwilę słuchaliśmy oddalających się kroków.

- Niezbyt obiecujące - stwierdził Pancho.

- Wygląda na to, że chcą pozbyć się dowodów.

- Ciekaw jestem, co przygotowali dla Alegrii i Miko?

- Zostawimy ich tu?

- Musimy. Jeśli nie damy znać Confederation, nikt z nas nie ma najmniejszych szans.

- Też tak sędzę. - Słyszałem, jak układa się do snu. - Obudź mnie, jak będziesz miał dość.

Powróciłem do obserwacji przedpola i w miarę jak pigułka zaczynała działać, obraz stawał się coraz wyraźniejszy. Niewiele się działo. Gdzieś w dole w pobliżu drutów kolczastych kaem wystrzelił kilka pocisków, snajper odpowiedział, jego kula odbiła się o metalową osłonę kaemu. Jeden z Niebieskich został zaskoczony światłem flary na otwartej

przestrzeni i chociaż kilku strzelało do niego, zdołał skulić się do okopu. Jego karabin z dużą, ciężką lunetą i podpórką w pobliżu końca lufy był większy od naszych, a więc to snajper. Był zatem co najmniej jeden, którego powinniśmy unieszkodliwić lub... unikać.

O'Connor podsunął mi pewien pomysł. Jeśli będzie to konieczne, mogę jedynie pozbawić snajpera przytomności, nie zabijając go. Chociaż najlepiej zapewne byłoby go w ogóle nie spotkać.

Gdy Pancho obudził się, cicho szepcząc, obgadaliśmy z grubsza wstępny plan. Ziemia niczyja tworzy prostokąt długości dwóch kilometrów, a szerokości jednego kilometra.

Najdłuższy okop, trzeci licząc od nas, leży w odległości dwudziestu metrów od granicy tego prostokąta. Ustaliliśmy, że gdy do niego dotrzemy, pójdziemy w prawo do samego końca i tam spróbujemy uciec. Wydawało nam się, że na ziemi niczyjej nie było kawałka drutu kolczastego, mógł jednak być jakiś system alarmowy. Ostrzeżono nas, że wystawienie chociaż jednej nogi poza ten obszar oznacza dezercję i automatycznie karę śmierci. To utrzymywało większość ludzi wewnątrz, gdzie kara śmierci w pewnym sensie była tylko opóźniona.

Rakiety, wystrzały karabinowe i jakieś przerażające sny sprawiały, że budziłem się co pięć minut. Byłem naprawdę przerażony, podobnie zresztą jak i Pancho. W świetle rakiety ujrzałem, jak z zaciśniętymi w napięciu szczękami, ze strumyczkami potu spływającymi po ciemnej paście maskującej, wpatruje się w ziemię niczyją.

W końcu zaświeciła podwójna gwiazda i kamyk uderzył o któryś z worków.

Przypięliśmy pistolety i noże, a gdy tylko zgasły rakiety, wygramoliliśmy się z bunkra i pobiegliśmy ścieżką w dół tak szybko i tak cicho, jak to było możliwe. Niemal dostałem ataku serca, gdy w chwili przechodzenia przez druty kolczaste usłyszałem za plecami kaem. Na szczęście nie strzelał do nas, było to raczej wsparcie ogniowe zniechęcające nieprzyjaciela do wystawiania głowy z okopów.

Zarówno Pancho, jak i ja wiele w swoim życiu polowaliśmy, także umiejętność cichego skradania stanowiła naszą drugą naturę, mimo to gdy pełzliśmy dziesięć metrów między łącznikiem a pierwszym z okopów, wydawało mi się, że ściągamy na siebie uwagę wszystkich snajperów. Szczęśliwie nie rozbłysła żadna rakietka i bez przygód zsunęliśmy się do okopu. Przed nami było do pokonania sto metrów do kolejnego łącznika.

Snajpera spostrzegliśmy dopiero, gdy znaleźliśmy się niecałe trzy metry od niego. Siedział w czymś w rodzaju wnęki wyciętej w ścianie okopu całkowicie pochłonięty swoją misją. Nie mogliśmy ryzykować przemknięcia za jego plecami. Klepnąłem Pancho w ramię, by został, a sam kilkoma szybkimi skokami znalazłem się za nim. Zacisnąłem obie dłonie na jego gardle i całym ciężarem swego ciała przycisnąłem go do ściany, by stłumić wszelkie hałasy. Wydał cichy pisk jak kociak i po chwili zwiotczał. Trzymałem tak jeszcze kilka sekund i opuściłem ciało na ziemię. Wyjąłem zamek z jego karabinu, wsunąłem do własnej kieszeni i machnąłem na Pancho. Zanim dotarliśmy do łącznika, natknęliśmy się na jeszcze jednego snajpera. Przymierzyłem się do niego w ten sam sposób, ale jego szyja była zimna i śliska, Osunął się na mnie i w świetle kolejnej rakietki dojrzałem odłamki kości sterczące z rany na głowie. Instynktownie odepchnąłem go i upadł z ciężkim hałasem na dno okopu.

Wstrzymaliśmy oddech i czekaliśmy, że skoczy na nas cała armia, ale wokół panowała cisza. Skręciliśmy w kolejny łącznik i ruszyliśmy tak szybko jak się dało. Gdyby teraz zaczęły strzelać nasze własne kaemy, nie mielibyśmy się gdzie ukryć, byliśmy dokładnie na linii strzału. W połowie drogi natknęliśmy się na jeszcze jednego zabitego z czerwoną opaską na ramieniu. Mógł to być wysłany na przynętę nasz JTD, ale nie zatrzymaliśmy się, by sprawdzić.

Na skrzyżowaniu z drugim okopem zwlekaliśmy przez chwilę, wahając się, w którą stronę skręcić. W rezultacie wyszło nam to na dobre, bo po chwili usłyszeliśmy ciężkie kroki zbliżających się z lewej strony kilku mężczyzn. Nie dostrzegli nas za załomem okopu -

budowano je zygzakiem, by chroniły od wybuchu granatów i uniemożliwiały jednemu człowiekowi z kaemem utrzymanie pod ogniem całego okopu. Przebiegliśmy szybko skrzyżowanie i przywarliśmy do ściany. Każdy z nas trzymał granat w ręce. Nie musieliśmy ich jednak użyć - przeszli w odległości kilku metrów i nikt nawet nie spojrzał w naszą stronę. Był to sześciuosobowy oddział saperów. Skręcili w łącznik i szybko się oddalili.

Zajaśniała kolejna rakietą i rozstrzelał się kaem. Cofnęliśmy się do okopu, by tam znaleźć schronienie, ale saperzy zostali złapani na otwartej przestrzeni. Rozległy się przeraźliwe krzyki, któryś zaczął wzywać sanitariusza. Kaem przerwał ogień, dopiero gdy ucichły wszystkie jęki. Pomyślałem o Miko, który też gdzieś tu krążył, w równie niebezpiecznej misji, w dodatku sam. Nie zastanawiałem się jednak długo, nie mogliśmy mu pomóc i każdy musiał dbać sam o siebie. Gdy zgasła flara, ruszyliśmy wzdłuż łącznika. Walczyłem z nagłą chęcią, by zerwać się i pobiec. Wiedzieliśmy już, jak w nocy niosą się dźwięki. Trzeci okop. Skręt w prawo i tylko pół kliksa do wolności. Istniało małe prawdopodobieństwo, że natkniemy się tutaj na snajperów, ale nadal zachowywaliśmy ostrożność. Pancho skradał się pierwszy, podchodził kilka kroków, zatrzymywał się, a ja stanowiąc większy cel, dołączałem wpatrując się w sygnały, które dawał mi rękami. W ten sposób dotarliśmy do końca okopu bez niespodzianek. Na szczęście obie armie zdecydowały się dzisiaj pozostać w domu! Odbyliśmy szeptaną naradę i zdecydowaliśmy pozostać w okopie do następnej rakietą, a gdy zgaśnie, ruszyć biegiem. Wydawało się to trwać wiecznie. W końcu flara wystrzeliła w niebo i już sprężeni do biegu zobaczyliśmy w jej jaskrawym świetle ostrzegawczą tablicę.

UWAGA!

JESTEŚCIE NA SKRAJU STREFY

JESZCZE MOŻECIE ZAWRÓCIĆ

OPUSZCZENIE TEGO TERYTORIUM

KARANE JEST ŚMIERCIA

Gdy flara zgasła, wygramoliliśmy się z okopu i zaczęliśmy biec. Po kilku krokach poczułem ostry ból w piersiach. Nie miałem czasu nawet się zdziwić, bo ból błyskawicznie narastając, powalił mnie na kolana. Pancho upadł na ziemię obok mnie.

- Moje ciało - wystękał. - *Dios*.

- Mu...simy... wracać.

- Wracać? - Nie mógł pojąć.

- Chodź już. - W miarę jak czołgając się po własnych śladach, zbliżaliśmy się do strefy, ból zmniejszał się,

by ostatecznie zniknąć, gdy stoczyliśmy się do okopu.

- Myślę, że wiem, co to jest - wyszeptał, ciężko łapiąc powietrze. - Wszczepili coś w nasze ciała.

- A jakiś sygnał generowany na obrzeżu strefy to uaktywnia!

- Jestem pewien, że zabiłoby to nas, gdybyśmy podeszli bliżej. - Potrząsnął głową. - Co teraz?

- Tak jak radził Jake. Nie możemy dać się zabić przez parę dni. A potem jeszcze przez parę kolejnych. Na razie musimy przetrwać żywi do świtu.

- To chyba bezpieczne miejsce.

- Nie sądzę. Zakładając, że wysłali nie tylko dwóch snajperów i sześciu saperów, im dłużej tu pozostaniemy, tym więcej Niebieskich będziemy musieli ominąć w drodze powrotnej.

- A jeśli nie wysłali nikogo, będziemy bezpieczni - stwierdził ironicznie, choć z nutką nadziei w głosie.

Wstałem.

- Wracamy o połowę wolniej, za to dwa razy ciszej.

- I staramy się nie zabijać?

- Jasne. O cholera!

- Co jest?

- Zapomniałem usunąć zamek z karabinu tego martwego snajpera. Wystarczy że pierwszy, którego poddusiłem, ocknie się i wymieni broń.

- Jeśli tam jeszcze będzie, Na jego miejscu wiałbym w kierunku własnego wzgórza.

W drodze powrotnej nikogo nie spotkaliśmy i pokonaliśmy ją w całkowitej ciszy. W łączniku natknęliśmy się na ciała pięciu saperów, ciało szóstego leżało w pierwszym okopie. W karabinie martwego strzelca ciągle tkwił zamek, zabrałem go na pamiątkę. Drugi snajper zniknął. Zacząłem gramolić się z okopu. Pancho złapawszy moją nogę, ściągnął mnie w dół.

- Nie, *amigo* - wyszeptał - tu mamy lepsze schronienie przed własnym ogniem niż w łączniku.

Miał rację. Ledwo usiedliśmy w małej wnęce, rozpętało się piekło. Najpierw w ciągu paru sekund stłumione wybuchy granatów, potem pojedyncze strzały karabinowe i coraz szybsze trzaski pistoletów. Ludzkie jęki, wołania o pomoc, wykrzykiwane rozkazy. Na niebie rozbłysły rakiety. Wzgórze zaroilo się biegającymi w zamieszaniu żołnierzami.

- Saperzy - wyszeptał Pancho.

Czterech mężczyzn zbiegało ścieżką w dół, ostrzeliwując się z pistoletów. Przebiegli przejście w drutach kolczastych bez uszczerbku, musieli z pewnością załatwić granatami bunkier kaemów. Wskoczyli do łącznika i biegli w naszym kierunku. Wokół nich gęsto padały kule. Wskoczywszy do okopu, nie mogli nas nie spostrzec.

- Boże, przebacz - wymruczałem i wyszarpnąwszy zawleczkę, rzuciłem granat w ich kierunku. Zamiar miałem dobry, ale źle wyliczyłem czas. Granat odbił się od piersi jednego z nich, a on nie przerywając biegu, odkopnął go z powrotem w naszym kierunku. Granat upadł na dno okopu między nas tak blisko, że słyszałem skwierczenie zapalnika. Mogłem zachować się

jak bohater i przykryć go własnym ciałem, by uratować Pancho, mogłem zachować się rozumnie i paść na ziemię, nogami w jego kierunku, jak to zrobił Pancho, a zachowałem się jak idiota i podniosłem go. Zapamiętałem wszystko jako sekwencję przerażająco wolnych ruchów. Już w momencie gdy się po niego schylałem, wiedziałem, że popełniam błąd. Gdy zamachnąłem się, by rzucić go w kierunku zbliżających się saperów, popełniłem drugi błąd. Należało go wrzucić kilka metrów dalej do okopu, którego załom ochroniłby nas przed odłamkami. Wybuchnął nie dalej niż o metr od mojej ręki. Nawet nie zabołało. Poczulem tylko mocne ukłucie. Padłem na ziemię wprost na Pancho. Usłyszałem saperów wskakujących do okopu, trzask repetowanej broni i czyjś głos:

- Nie marnuj amunicji, to trup. Doszły mnie jeszcze dźwięki kaemu i wszystko z wolna ucichło.

* * *

- Carl! Obudź się! *Dios!*

Ocknąłem się nagle w świetle rozdzierającego bólu. Czulem jakby ktoś oderwał mi od ciała piersi i twarz, przeżuł dokładnie i przybił gwoździami z powrotem, a moją prawą rękę wsadzono w zamrażarkę. Widziałem tylko jednym okiem. Spojrzałem na rękę i niemal zemdlałem. Kciuk i palec wskazujący zniknęły, palec środkowy zwisał na kawałku skóry.

Tryskała krew. Pancho założył mi opaskę uciskową i krew powoli przestawała płynąć.

- Idę po pomoc - powiedział - trzymaj nóż. - Naprowadził moją lewą rękę do noża, którego użył do zaciśnięcia opaski. - Nie próbuj siadać, prawe oko masz na zewnątrz oczodołu. Nie wiem, co z tym zrobić.

W gardle miałem tak sucho, że nie mogłem w ogóle mówić. Chciałem powiedzieć mu, żeby szedł, że jestem martwy, żeby nie ryzykował życia swojego ani sanitariusza, ale zniknął. Zasnąłem. Czyżby zdążył mi dać jakiś zastrzyk?

Ujrzałem przed sobą twarz Alegrii. Uśmiechała się.

- Wyjdiesz z tego, Carl - Znajdowałem się zatem w stacji ratunkowej na szczycie wzgórza. - Za tydzień będziesz mógł używać ręki jak dawniej.

Obraz był zamazany. Dotknąłem uszkodzonego oka. Bolało, ale było na miejscu.

- Wstawili je z powrotem. Wyglądałeś przerażająco, gdy cię przyniesiono. - Głos jej zadrżał. Ciekaw jestem, czy płakała.

- Co z Pancho?

- Bez jednego zadrapania. Podziękuj mu, że znalazł twoje palce, gdy czekaliście na pomoc. Oderwało je na szczęście w jednym kawałku, więc chirurdzy mieli ułatwione zadanie.

- Bez zadrapania? Przecież musiał wtedy oberwać.

- Kilka powierzchownych ran głowy to jedyny efekt twojej zabawy z granatem. Nawet ich nie zauważył.

- Czy jesteśmy sami? - wyszeptałem.

- Tak.

- Posłuchaj! Na pewno wyślą mnie na tyły do szpitala...

- Sądzę, że tak.

- Mogę uciec, skontaktować się z Confederation.

- To nie takie proste. Miko próbował ostatniej nocy i... Usłyszałem, że otwierają się drzwi.

- Czy on może wstać? - odezwał się głos, którego nie potrafiłem zidentyfikować.

- Nie wiem, sir - odpowiedziała Alegria - moim zdaniem nie powinien.

- Spróbujcie.

Przekręciłem się na bok, uniosłem na łokciu i usiadłem na łóżku. To dziwne, ale bolało

mnie jedynie oko. Głos należał do kapitana Forrestora. Stał z pistoletem w swobodnie opuszczonej dłoni. Za nim stali Miko i Pancho z rękoma związanymi na plecach, a na końcu sierżant Meyer z karabinem. Opuściłem nogi na ziemię i stanąłem zamroczony. Alegria podtrzymywała mnie za zdrowe ramię.

- O co chodzi... sir? - odezwałem się.

- Wiesz doskonale, o co chodzi. Szkoda tylko, że wczorajszej nocy chirurg zmarnował na ciebie tyle czasu. I tak dzisiaj umrzesz. Ty i szeregowiec Bolivar z całą świadomością próbowaliście zdezerterować. Czujniki wszczepione w wasze klatki piersiowe pozwoliły was zidentyfikować. Gdyby ktoś mnie obudził odpowiednio wcześniej, rozstrzelałbym was od razu i zaoszczędził sobie dalszych kłopotów. - Spojrzał ostro na Meyera. - Ponadto jest jeszcze sprawa usiłowania ucieczki przez szeregowca Riley'a. Należy podziwiać jedynie jego odporność na ból, gdyż dotarł dalej niż ktokolwiek z was. - Obrócił się i spojrzał chłodno na Miko. - Szeregowiec Riley zdołał dotrzeć do granicy strefy i unieszkodliwił część systemu sieci alarmowej. Mógł uciec. Postąpił głupio i wrócił. Gdyby zabrał tylko tę kobietę, miałby nadal szansę. Został pochwycony, gdy próbował uratować was. Dziecinna lojalność. Szkoda że go od razu nie zabito.

Spojrzałem na Miko. Gdy odwrócił wzrok, dojrzałem warstwę mięśnioplastu pokrywającą połowę jego twarzy.

- Mam zatem uzasadnione powody, aby przypuszczać, że zawiązaliście spisek mający na celu waszą ucieczkę. Decyzja może być tylko jedna: zostajecie skazani na śmierć. - Uniósł pistolet. - Sierzancie!

Meyer oparł karabin o ścianę i wziął do ręki dużą rolkę plastra. Związał ręce Alegrii na plecach, moje z przodu, przymocowując zdrową do plastikowej osłony chorej. Następnie zakleił nam usta.

- Zabrać ich na dół i rozstrzelać z kaemu na oczach całej jednostki. Przedtem palnij

krótką mowę, niech będzie z nich jakiś pożytek.

Meyer wypchnął nas za drzwi i poprowadził ścieżką wiodącą ze wzgórza. Miko szedł

tuż za mną. Było mi głupio za te wszystkie rzeczy, które o nim wygadywałem. Chciałem mu

teraz to powiedzieć i jeszcze parę innych ważnych rzeczy. Zrozumiałem, że nigdy nie będę miał

tej szansy, pochwyliłem jednak jego wzrok i poczułem, że mnie rozumie.

- Wiem, że to żadne pocieszenie - powiedział Meyer - ale nie lubię tego robić.

Pancho udało się odkleić narożnik plastra, ocierając twarz o ramię.

- Ale to robisz! - wymamrotał niewyraźnie.

- Żeby uratować własną skórę. Nie obudziłem tego skurwiela, bo wyobrażałem sobie,

że każdy kto potrafi spać podczas ataku saperów musi rzeczywiście potrzebować snu. Mogę

zresztą wam wszystko powiedzieć. Dostał polecenie, nie rozkaz, ale polecenie, aby całą waszą

czwórkę odesłać na tyły. Wydaje się, że urzędnicy Confederation prowadzą śledztwo w

sprawie sposobu prowadzenia przez nas rekrutacji, zwłaszcza w przypadku waszej czwórki.

Odbędą się przesłuchania. Wolał, żebyście nie mogli zeznawać, dlatego otrzymaliście

wczoraj takie ciekawe zadania. To że próbowaliście uciekać, tylko mu ułatwiło sprawę.

- Przecież zostaliśmy porwani, tak samo jak ty! Nie rozumiesz, że uwolnienie nas

oznaczałoby również wolność dla ciebie?

- Nie. Oznaczałoby kulę w głowę. A poza tym zostaliśmy porwani legalnie. Myślę, że

gdyby wytoczono mu sprawę, wygrałby ją nawet przed sądem Confederation, ale ten skurwiel

posiada impulsywny temperament i panicznie boi się Confederation... A co to takiego u

diabła?!

Byliśmy w połowie wysokości wzgórza. Rozległ się świergotliwy warkot przeplatany

nerwowymi, niskimi tonami, prawie poniżej granicy słyszalności. Nigdy dotąd nie widziałem

policyjnego krążownika Confederation. Błyszcząca czarno, odwrócona misa wielkości połowy wzgórza osiadła łagodnie jak pyłek na trzech pierwszych rzędach okopów. Zamontowany na szczycie gigawatowy laser obrócił się w naszym kierunku.

- WZYWAMY DO STAWIENIA SIĘ NASTĘPUJĄCE OSOBY: KAPITAN

HARVEY FORRESTOR, ALEGRIA SALDANA, FRANCISCO BOLIYAR, CARL BOK, MIKO RILEY. ZBLIŻYĆ SIĘ.

Dla mnie brzmiało to jak głos któregoś z bogów.

- Zastrzelcie tych...

Ze szczytu wzgórza zbiegał Forrester, machając pistoletem. Wystrzelił, a kula świsnęła nad naszymi głowami. Meyer z trzaskiem wprowadził pocisk do komory i skierował broń na oficera.

- Rzuć broń, kapitanie, oni mogą nas wszystkich usmażyć!

Forrester jeszcze przez chwilę trzymał pistolet wycelowany w nas, potem go odrzucił.

- Ramirez! Tulo! Sandiwell! Niech ktoś coś zrobi! Wszyscy z bunkrów przyglądali się, ale nikt nie podniósł broni.

- Sądzę, że pójdę z panem, sir - powiedział Meyer. - Chodźmy! - I nie odwracając broni od Forrestora, dorzucił: - Morrison, czy zechciałbyś rozwiązać tych ludzi?

* * *

Po ogłoszeniu, że wojna zostaje czasowo zawieszona, zabrano nas na pokład i po kilku minutach wylądowaliśmy w stolicy na terenie kosmoportu. Strażnicy uzbrojeni w neurobiczne doprowadzili nas do floatera, którym zostaliśmy przetransportowani do wysokiego budynku w centrum miasta, dalej windą w dół i ciągiem korytarzy do jakiegoś biura. W pomieszczeniu znajdowało się olbrzymie biurko, na którym leżały cztery kartki - nasze formularze rekrutacyjne. Dostrzegłem trzech mężczyzn. Był tam Hellerianin w wyjściowym mundurze

ozdobionym pięcioma gwiazdkami, dziekan M'Bisa i... B'ooosa! Dziekan drgnął, gdy mnie zobaczył, a B'ooosa powiedział:

- Nadal masz ręce i nogi, Carl? Zaskakujesz mnie.

- Kim jesteś? - spytał generał.

- Sierżant Meyer, sir. Musiałem eskortować...

- Pytałem tylko, kim jesteś. Możesz odejść. - Odwrócił się do nas: - Siadajcie. Pan stoi nadal, kapitanie. - Poczekał, aż usiedliśmy. - Kapitanie Forrester, czy zdaje pan sobie sprawę, że jest pan winny istotnego pogwałcenia prawa? Naruszył pan przepisy, rekrutując tę czwórkę.

- Sir, kupiłem ich od...

- Milczeć! Nie wiem, w jaki sposób dostali się do pańskiego obozu i nie obchodzi mnie to. - Wypielęgnowaną dłonią przesunął dokumenty w kierunku Forrester'a. - Mówię o tym!

- Podpisali bez przymusu, sir.

- Wspaniale. - Pochylił się i zniżył głos do szeptu: - Ale są niepełnoletni, Forrester!

Niepełnoletni! Nie mogą podpisywać takich dokumentów bez zgody rodziców. - Odwrócił się do dwóch czarnych mężczyzn: - A w tym przypadku doktor M'Bisa działa *in loco parentis* 12.

- Nie ucieszy pana zapewne informacja, że w związku z tym okropnym planem jeden człowiek został już

powieszony. Sierżant, który dostarczył panu tę czwórkę. Porwał ich, zgłaszając, że zginęli w trakcie szkolenia i

pobrał zarówno część ubezpieczenia, jak i wynagrodzenie od pana.

- Pan będzie miał jeszcze możliwość wyjaśnienia swojej roli w tej haniebnej aferze

przed oficerskim sądem wojskowym. Rozprawa odbędzie się dziś po południu. Może pan odejść.

- Ale... generale... każdy...

- Nie pomaga pan tym sobie, kapitanie. Odmaszerować!

Strażnicy wyprowadzili go z pokoju. Gdy wyszli, generał powiedział:

- Jego pomyłka może być zrozumiała. W świecie, z którego pochodzi, pełnoletność uzyskuje się w wieku osiemnastu lat, na Hell dwudziestu pięciu.

- Oczywiście - zgodził się M'Bisa.

- Nie jest to więc sprawa podlegająca Confederation, chociaż jesteśmy oczywiście wdzięczni jej urzędnikom za pomoc w jej rozwiązaniu. Reszta zostanie rozpatrzona zgodnie z przepisami ogólnego kodeksu wojskowego.

12 in loco parentis (łac.) - w miejsce rodzica (prawn., przyp. tłum.).

- Chyba że zdecydowalibyśmy się nalegać, że jest inaczej - powiedział M'Bisa.

- Pozwólcie, że będę szczery. - Wskazał na nas ręką. - Tak się składa, że formularze wypełniane przez najemników są takie same jak te stosowane przy naborze do szkół wojskowych. Te ostatnie mogą podpisywać nieletni.

- I jak się domyślam, jest niezwykle trudno ich stamtąd wydobyć - stwierdził B'osa.

- Nawet jeśli zyczą sobie tego ich rodzice. Prawdziwi rodzice. Dziekan M'Bisa wstał.

- Myślę, że rozumiemy się, generale. Do widzenia panu.

- Do widzenia, obywatelu.

* * *

B'osa obserwował wszystko spod nawisu śnieżnego. Potem wydeptał w śniegu wiadomość w języku pan-swahili, który w przeciwieństwie do większości Hellerian znany jest powszechnie pracownikom Confederation. Informacja została wychwycona przez meteorologicznego satelitę i uratował go ten sam statek, który później przyleciał po nas. Spędziłem Jeszcze jeden dzień na Hell, w szpitalu. Lekarze z Ziemi pracowali solidnie nad moją twarzą i ręką. Następnego dnia wróciliśmy na Starschool i wkrótce Hell została za nami. Doktor M'Bisa ogłosił, że planeta ta ostatecznie zostaje usunięta z programu naszych

studiów.

Czego się tam nauczyłem? Trudno wskazać na coś konkretnego. Wcześniej już dość dobrze poznałem i lęk, i ból, i wyczerpanie. Zwierzęta nie były ani bardziej niesamowite, ani bardziej krwiożercze niż na mojej rodzimej planecie. Z wyjątkiem ludzi-zwierząt. Wydaje mi się, że ujawniło się coś lodowatego i oschłego, coś takiego jak bezduszność instytucji albo niedoskonałość człowieka. A Hellerianie nie są mniej ludzcy niż ja.

Czasami nocą budzi mnie myśl, że może są nawet bardziej ludzcy.

CONSTRUCT

Zastrzeżenie

W poprzednich czternastu rozdziałach przedstawiono zarys programu nauczania oraz trasę podróży Starschool łącznie z planowanymi miejscami zatrzymań. Nie możemy gwarantować, że program ten zostanie zrealizowany w całości.

Sytuacja polityczna części światów Confederation nie jest stabilna i zmienia się z roku na rok. Decyzji dziekana pozostawiono możliwość zrezygnowania ze zwiedzania niektórych planet, jeśli tak będzie nakazywała ostrożność. Dziekan ma jednocześnie prawo włączyć do programu nowe punkty, jeśli jego zdaniem mają szczególne walory edukacyjne...

I

Hell związała nas ze sobą. Po tym co razem przeżyliśmy, tworzymy nierozzerwalną grupę. Tak bywa. Czasami trzeba przebyć długą drogę, aby dostrzec to, co cały czas tkwiło przed czubkiem nosa. Pochodzimy z pięciu różnych planet, posiadamy pięć różnych rodowodów, ale nauczyliśmy się wiele o sobie i od siebie. Doszedłem nawet do porozumienia z Miko, chociaż ciągle istnieje między nami pewne napięcie z powodu Alegrii.

Nawet dziekan M'Bisa zdaje się okazywać nam pewną słabość. A może tylko specjalnie stara się mieć nas na oku, by mieć pewność, że nie wplączemy się w nowe kłopoty. Nie powinien się tym martwić. Kłopoty są ostatnią rzeczą, której by nam było potrzeba, wprost przeciwnie, zadawaliśmy sobie wiele trudu, aby ich unikać. Byliśmy wręcz wzorowymi studentami na Odalys, kolejnej planecie po Hell, i z wyjątkiem tego drobnego incydentu z tratwą alg nie spowodowaliśmy żadnych trudności. No... prawie żadnych.

Potem też byliśmy zbyt zajęci, aby napytać sobie biedy. Makroekonomia staje się skomplikowana, gdy rozważania dotyczą systemów planetarnych, a przed nami była seria egzaminów. Zakuwałem ekonomiczne teorie tak pracowicie, że w końcu śniły mi się po nocach. Jaka strata innych wspaniałych snów! Na sali gimnastycznej nie byłem od ponad dwóch tygodni. Jeśli chodzi o ścisłość, to poza salami wykładowymi i czytelnią nie byłem nigdzie. Aż do dzisiaj.

Dzisiaj dziekan wezwał wszystkich studentów do auli. Już samo w sobie było to niezwykle, jako że wszystkie swoje rozporządzenia i informacje ogłaszał poprzez intercom. Nigdy dotąd nie widziałem wszystkich studentów Starschool zgromadzonych w jednym miejscu i nigdy na pokładzie naszego statku. To był imponujący widok. Panował niesamowity hałas. Chyba wszyscy naraz mieli coś do powiedzenia. Przebiegłem wzrokiem po sali w poszukiwaniu znajomych twarzy. Najłatwiej zawsze było odnaleźć B'oola - wystawał ponad tłum

prawie tak samo jak ja. Teraz siedział z resztą naszych przyjaciół. Zatrzymali dla mnie miejsce.

Dołączyłem więc do nich, przeciskając się przez rozgorączkowany tłum.

- Siadaj tutaj, Carl - powiedziała Alegria, wskazując miejsce obok siebie.

- Nie Sądziłem, że cię tu zobaczę, *amigo* - odezwał się Pancho, gdy usiadłem.

- Nawet ja wiem, co znaczy obowiązkowa obecność. Nie chcę podpaść, mam zbyt dużo roboty.

B'oosa zaśmiał się. Mógł się śmiać, zajmował najwyższą pozycję z makro. Ja próbowałem utrzymać się w środku i ciężko walczyłem, aby się nie obsunąć.

- Czy ktoś wie, co dziekan musi nam tak pilnie oznajmić? - spytałem. B'oosa potrząsnął głową.

- Cokolwiek to jest, musi być niezwykle ważne.

- Nie ma nic ważniejszego niż czekający nas w przyszłym tygodniu egzamin z makro - oznajmiłem.

- Gdybyś wszystkiego nie odkładał na ostatnią chwilę, nie miałbyś teraz takich problemów - stwierdziła Alegria.

Miała rację. Co mogłem powiedzieć? Faktycznie odkładałem wszystko na ostatnią minutę. Miejsce takie jak Starschool oferuje dużo atrakcji.

Wszedł dziekan. Wszyscy zajęli swoje miejsca i zapadła cisza. Zdecydowanym krokiem podszedł do pulpitu i wziął mikrofon. Co prawda, jak wynika z moich osobistych doświadczeń, on nie potrzebuje żadnego wzmacniacza. Odbyłem przecież już z nim kilka rozmów. Jako słuchacz. Był teraz niezwykle poważny.

- Studenci, będę mówił krótko i zwięźle. W naszych planach nastąpiła niespodziewana zmiana. Nie zmierzamy już w kierunku Dimian. Ten punkt zostaje odwołany w wyniku informacji, którą właśnie odebraliśmy. Za sześć dni lądować będziemy na Construct. -

Przerwał, aby to dotarło do wszystkich. Construct! - Nie muszę nikogo przekonywać o znaczeniu tego faktu. Od tej chwili zostają odwołane wszystkie zajęcia. Natychmiast rozpoczniecie szkolenie przygotowujące. Korzystając z terminali systemu informatycznego, proszę zapoznać się ze wszystkimi danymi o Construct. Zapewniam was, że nie ma tego wiele.

- Odwrócił się i wyszedł.

Siedzieliśmy oszołomieni w absolutnej ciszy. Construct - niewiadoma otoczona warstwami tajemnic. Dowód na to, że rodzaj ludzki nie jest samotny we wszechświecie.

- Możesz zapomnieć o egzaminie z makro - szepnął B'oosa.

- Jest to ostatnia rzecz, którą zajmowałbym sobie teraz głowę - odparłem. To była niemal prawda.

Construct. Punkt spotkania ludzkości z obcymi rasami, obcymi kulturami. Wszystko co tam się działo Confederation otaczała ścisłą tajemnicą do tego stopnia, że wydawała się całkowicie mitycznym miejscem. A my tam lecieliśmy! My!

II

Dziekan nie żartował, gdy zapowiadał, że zbiór dostępnych danych na temat Construct nie jest imponujący. Prawdą było, że w ogóle niewiele na jej temat wiedziano. Nie znana była nawet jej prawdziwa nazwa. Była to sztuczna planeta zbudowana około pięćdziesięciu tysięcy lat temu. Była jedyną planetą krążącą wokół małego, czerwonego karła i widok był niespotykany, bo Orion Nebula zajmował ponad połowę nieba. Nikt go jednak nie oglądał, wszyscy mieszkańcy Construct żyli we wnętrzu planety. Była jednocześnie planetą i statkiem kosmicznym, senatem i ogrodem zoologicznym. Wydrążona kula zawierająca w środku kolejną kulę zawierającą... itd. - dziewiętnaście sfer, przy czym średnica największej wynosiła sześćset kilometrów, średnica najmniejszej jedną dziesiątą tego. Została zbudowana w ten sposób, aby wykorzystując obrót wokół własnej osi, wytworzyć sztuczną siłę ciężenia. Grawitacja zwiększała się na poszczególnych poziomach w miarę posuwania się na zewnątrz od jednej trzeciej g do około trzech g, co oznaczało, że każdy miał zapewnione w miarę komfortowe warunki.

“Każdy” oznaczało tu 277 gatunków istot inteligentnych z 246 różnych planet.

Każdemu przydzielono obszar, na którym odtworzono warunki panujące na jego macierzystej planecie. Springworld się wśród nich nie znalazła, Ziemia tak. Stworzono światy tonące w wodzie, pustynie, wypalone ziemie, na których kropla wody jest trucizną, mroźne strefy wysokiej grawitacji, gdzie pływa się w ciekłym amoniaku, i strefy 0,5g, gdzie istnieje niemal doskonała próżnia zanieczyszczona jedynie pojedynczymi atomami chloru.

Część istot zamieszkujących Construct była w mniejszym lub większym stopniu humanoidami. Przestrzegano nas, że widok niektórych może być nieprzyjemny. Na przykład Lingwiści, ci którzy zbudowali tę planetę, posiadają prawie ludzki wygląd. Mają jedną głowę, dwie ręce i dwie nogi. Ale są wyżsi ode mnie i przy tym nieprawdopodobnie chudzi. Ich biała

skóra pokryta Jest czerwonymi, pulsującymi żyłami, a ręce i nogi mają dodatkowe kolana i łokcie. Nie mrugają, lecz “przewracają” oczami. W miejscu ust posiadają szerokie, bezzębne, gumowate otwory. Maja być naszymi przewodnikami.

Oto jak postąpili Lingwiści: wprowadzili tu różne rasy i obserwują, co się dzieje.

Construct zbudowano prawdopodobnie w tym celu, ale nikt tego nie wie na pewno. Jest bowiem niezwykle trudno uzyskać od nich odpowiedź na zadane pytanie.

Ludzkość zaproszono do rozpoczęcia działalności na Construct około dziewięćdziesiąt lat temu. Mamy tam parę tysięcy ksenobiologów, ksenoantropologów i jeszcze niewiadomo kogo, żyjących tam, prowadzących badania i będących obiektem badań. Jak dotąd, z wyjątkiem tej grupy naukowców wyselekcjonowanej przez Confederation, nie wpuszczono na Construct żadnych ludzi. Zaproszenie dla Starschool było pierwsze i w pewnym sensie burzyło dotychczasowe reguły. Mamy tam pracować, ale będzie to dziwny rodzaj pracy. Mamy w małych grupach poruszać się pod opieką Lingwistów i rozmawiać albo próbować rozmawiać z przedstawicielami obcych ras. Lingwiści są w pewnym stopniu telepatami, mogą wychwytywać nasze reakcje i pełnić rolę tłumaczy.

Udaliśmy się z Pancho na pomost obserwacyjny, aby przyjrzeć się dokowaniu. Był to niesamowity widok. Z początku Construct była ciemnoczerwonym rogalem, obejmującym ciasno krąg czerni. Stopniowo przemieniła się w krwistoczerwone półkole, by w końcu wypełnić cały obraz po widnokrąg. Na tym tle pojawiła się czarna kropka, powoli rozwinęła się, tworząc wlot ciemnego tunelu, który nas połknął. Po minucie czerni wynurzyliśmy się wewnątrz, w środkowej, pozbawionej powietrza strefie rozświetlonej bladoniebieskim światłem równomiernie promieniującym ze wszystkich kierunków. W zerowej grawitacji unosiły się tu setki statków w większości obcej konstrukcji, niektóre swymi rozmiarami znacznie przewyższające Starschool.

- Szkoda że nie mieliśmy więcej czasu, aby się do tego przygotować - stwierdził

Pancho.

- I tak nie było zbyt wiele do studiowania.

- Nie to miałem na myśli.

- A co?

- Będą nas obserwować uważnie. Nie mieli dotąd tylu ludzi do obserwacji. Boję się, że popełnimy jakiś błąd. Nie wiemy, czego się po nas spodziewają. Co będzie, jeśli kogoś niechcący obrazimy czy naruszymy jakieś tabu?

- To ryzyko, które musimy podjąć. Trzeba zachować ostrożność i mieć oczy szeroko otwarte.

- Jednakże wolałbym dokładniej wiedzieć, co mamy robić.

- Sądzę, że musimy być po prostu sobą. Tego właśnie chyba oczekują.

- I tego właśnie się obawiam - zakończył Pancho.

Unosiliśmy się nad platformą, mogącą pomieścić co najmniej pięć takich statków jak Starschool. Zadźwięczał dzwonek i niechętnie opuściliśmy pomost obserwacyjny, aby dołączyć do reszty grupy. Odtąd mieliśmy być zdani tylko na siebie.

- Jesteś gotowy? - spytał Miko, gdy się pojawiliśmy.

- Na tyle, na ile można.

Miko był tym wszystkim wyraźnie podniecony. B'osa reagował tak jak zwykle, to znaczy przyjmował wszystko ze stoickim spokojem. Alegria, choć starała się nie okazywać swoich uczuć, robiła wrażenie lekko przestraszonej.

Światła zamrugały i ucichł szum, tak cichy, że praktycznie nie zdawaliśmy sobie z niego sprawy. Statek wylądował. W nerwowym oczekiwaniu staliśmy przez kilka minut i wydało mi się dziwne, że wszyscy starają się mówić szeptem. W końcu przyszedł do nas

dziekan M'Bisa

- Czeka ją na was - oznajmił tak po prostu.

Opuściliśmy statek podłączonym rękawem wyposażonym w rozmaite uchwyty dla rąk mające ułatwić poruszanie się w stanie nieważkości. Jak się zorientowałem, przystosowane były również do macek, wici i czulek różnego rozmiaru i kształtu. Taki uniwersalny, kosmiczny chodnik. Na zewnątrz powietrze było czyste i świeże. Pomyślałem, że tak musiało pachnieć kiedyś powietrze na Ziemi. Na planecie, z której wywodzi się gatunek ludzki, już od dawna nie ma takiego powietrza. Gdy wyłoniliśmy się z rękawa, zauważyłem pierwszych obcych - Lingwistów. Pomimo że byliśmy przygotowani i pomimo że byli humanoidami, przeżyliśmy szok. Ich podobieństwo do ludzi jedynie podkreślało różnice. Zarówno te widoczne, rzucające się w oczy cechy, jak i inne, bardziej nieuchwytnie uprzytomniły nam, jak bardzo się różnimy. Poruszali się z ciałami odchylonymi od pionu w sposób, jaki wykluczała struktura naszego kośćca, wykonując przy tym rękoma i nogami nieprawdopodobne ruchy. Jeden oddzielił się od grupy i podszedł do nas. Zadrzałem. Zadrzałem i uprzytamniając sobie, że są telepatami, pomyślałem, czy nie popełniłem pierwszego błędu.

- Nazywajcie mnie Przewodnikiem - odezwał się doskonałym pan-swahili.

Beznamiętny głos przypominał dźwięki pochodzące z automatu. - Ze względu na fizjologiczne cechy waszego gatunku nie jesteście w stanie wymówić mojego prawdziwego imienia, połowa z niego jest "wypowiadana" drogą telepatyczną. Pozostanę z wami podczas waszego pobytu, możecie zadawać pytania, a ja będę na nie odpowiadał. Teraz zabieram was na poziom Ziemi. - Odwrócił się gwałtownie.

Poszliśmy za nim. Jego głos pozbawiony był wszelkiego wyrazu, czego jednak nie można było powiedzieć o jego ruchliwej twarzy. Jednak malujące się na niej uczucia zupełnie nie pasowały do tego, co mówił. Samo przyglądanie się tym makabrycznym uśmiechom i

gniewnym zmarszczkom wywoływało u mnie bóle mięśni.

Lingwista poprowadził nas do rzędu małych pojazdów. Nazwał je saniami. Były to dziwacznie ukształtowane siedzenia umocowane na platformie osłoniętej nader krucho wyglądającą powłoką. Sanie unosiły się dziesięć centymetrów nad cienką stalową szyną tkwiącą w podłożu. Wsiedliśmy i przezroczysty dach zasunął się nad nami. Na każdym siedzeniu leżał w małej torebeczce srebrny naszyjnik. Przewodnik wyjaśnił nam jego przeznaczenie.

- Wśród niewielu zasad regulujących życie na Construct jest jedna niepodważalna: zasada wolnego dostępu. Każda istota ma prawo zwiedzać dowolne terytorium. Istnieją wprawdzie śluzы powietrzne, izolujące różne środowiska naturalne, ale każdy ma prawo z nich korzystać. Oczywiście niektóre mogą być dla was niebezpieczne, a nawet zabójcze. Zanim przekroczycie jakiegokolwiek drzwi, musicie posłużyć się kluczem zamocowanym na naszyjniku. On powie wam, czy możecie wejść, nie narażając życia.

- Ale nie powstrzyma nas od wejścia, nawet jeśli atmosfera po drugiej stronie drzwi będzie dla nas zabójcza? - zapytał M'Bisa.

Przewodnik zakrył twarz oburącz i wydał jakiś dziwny gwizd.

- Świetny dowcip - powiedział. - Teraz zapnijcie pasy.

Czekaliśmy parę sekund, aż nieruchoma platforma lądowiska zrównała się zjedną z rur transportowych wolno obracających się wokół nas wraz z całą Construct, a prowadzących od środka na powierzchnię sztucznej planety. Ta miała zabrać nas na poziom Ziemi.

Przyspieszyliśmy łagodnie i platforma wkrótce zniknęła nam z oczu.

- Aby dotrzeć na miejsce, musimy przekroczyć siedem poziomów - objaśniał

Przewodnik. - Możecie dopasować siedzenia, używając dźwigni po lewej stronie fotela. Dla niektórych gatunków ten środek transportu bywa stresujący.

Nie bardzo mogłem zrozumieć, co miał na myśli. Tunel transportowy był obszerny i solidny, i chociaż poruszaliśmy się w półmroku, na zewnątrz widać było kratownicę tworzącą konstrukcję planety: potężne belki i pajęczynę cienkich drutów. Sieć tuneli transportowych i sieć kanałów spletały się, tworząc złożoną strukturę. Wnętrze Construct to w większości nie zabudowana przestrzeń, miejscami wykorzystywana na magazyny, miejscami wypełniona aparaturą niezbędną do normalnego funkcjonowania planety. Strefy mieszkalne rozlokowane są w rzeczywistości tylko w cienkiej warstwie, przecinającej planetę na wysokości równika, a pomimo to ich rozmiary szokują swym ogromem. Daleko w przodzie, w miejscu, gdzie tunel przechodził przez ścianę, pojawił się krążek ciemnego światła. Powoli zaczął się powiększać, rósł coraz szybciej, by w końcu gwałtownie wyskoczyć na nas i... byliśmy wewnątrz.

Zakręciło mi się w głowie i poczułem mdłości. Ściana, którą minęliśmy, stanowiła sufit pierwszego zamieszkanego poziomu. Patrzeliśmy prosto w dół na skalistą podłogę, rozciągającą się kilka kilometrów pod nami. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że spadam. Bez wahania sięgnąłem po dźwignię, siedzenie obróciło się plecami do platformy, a ja twarzą w kierunku tunelu. Poczuję się lepiej. Zauważyłem, że wszyscy zareagowali tak samo, wszyscy z wyjątkiem Przewodnika.

Poziom zajmował przestrzeń niebywałych rozmiarów. Od sklepienia, gdzie się znajdowaliśmy, do ziemi musiał mieć dobre dwadzieścia kilometrów. Daleko na horyzoncie dojrzałem ledwo widoczny tunel podobny do naszego. Ziemia była pokryta postrzępionymi skałami, bez śladu jakichkolwiek budowli, a przynajmniej niczego, co przypominałoby budowlę. Byliśmy ciągle względnie wysoko i przypatrując się ziemi w poszukiwaniu obcych, niemalże ich nie przeoczyłem, gdy się pojawili. Unosili się w powietrzu wokół nas. Wisieli jak delikatne zasłony o niewyraźnie zarysowanych krawędziach, kurcząc się i rozszerzając w regularnym rytmie. Przemieszczali się wdzięcznymi, falistymi ruchami. Jeden podpłynął do

tunelu poniżej naszego pojazdu, przyłgnął do jego przezroczystej powierzchni i rozciągając swoje ciało, owinał się wokół. Po chwili pozostał w tyle. Gdy mignął obok nas, zdołałem jedynie zauważyć kolorową plamę pastelowych barw. Ciekawe, czy chciał nam powiedzieć “cześć”, czy też próbował nas pożreć?

- Kto to był? - zapytał Miko.

- To Szeptacze z planety K'allson - odparł Przewodnik. - Niektórzy twierdzą, że są oni wybitnymi kompozytorami, ale ja w ich muzyce nie gustuję. Wy nie możecie tego ocenić, jako że porozumiewają się na częstotliwości znacznie poniżej tej, którą jesteście w stanie odbierać. Zbliżyliśmy się do poziomu gruntu. Ponad naszymi głowami Szeptacze odpływali od tunelu, żeglując na tle nieba jak kruche, kolorowe chmury. Mignął nam jeszcze skalisty teren i w mgnieniu oka znaleźliśmy się na kolejnym poziomie. Z początku nic nie było widać.

Otoczała nas gruba warstwa chmur. Chmury miały pomarańczową barwę, kotłowały się i wirowały niczym jakiś diabelski napar. Mogły być równie niebezpieczne. Przynajmniej dla istot ludzkich. Przebiliśmy się przez chmury i pod nami odsłonił się żółty, krystaliczny świat. Wszędzie w zasięgu wzroku widać było jedynie niezwykły, splątany gąszcz ostro zakończonych kryształów sterczących we wszystkich kierunkach. Niektóre były niesamowicie wielkie, wypiętrzały się w górę na kilometr lub dwa, rozgałęziając się pod nieprawdopodobnymi kątami. Na samym dole żółto pobłyskiwały kryształy czystej siarki. Ten świat przypominał wielkie naczynie chemiczne, w którym pozostawiono do odparowania roztwór jakiejś przedziwnej substancji. Nigdzie nie widać było obcych ani jakichkolwiek śladów ich działalności.

- Nie jesteś w stanie dojrzeć Clingersów - odezwał się Przewodnik. Czyżby czytał w moich myślach? - Strukturą ciał przypominają cienką, elastyczną błonę tego samego koloru co cała

ich

planeta.

Spędzają

życie

na

rozmyślaniach.

Są

wyśmienitymi

matematykami-teoretykami, od czasu do czasu parają się również filozofią. Nie wytwarzają żadnych dóbr materialnych. Ich procesy myślowe są całkiem interesujące. Możecie się z nimi porozumieć tylko przy pomocy Lingwistów, a poza tym nie moglibyście tam żyć bez systemów osłony. Atmosfera jest silnie żrąca.

Gdy zbliżaliśmy się do gruntu, wydało mi się, że mignął mi inny kolor, coś szarego, ale przelecieliśmy zbyt szybko, aby się temu dokładnie przyjrzeć. Potem wpadliśmy w ciemność.

- Mieszkańcy tego poziomu odcinają się od świata i nie życzą sobie przypadkowych obserwatorów, dlatego tunel przechodzący przez ich terytorium jest nieprzezroczysty. Mają do tego prawo. Muszą jednak umożliwić swobodny dostęp każdemu, kto tego zażąda.

Następny poziom wypełniony był czerwoną mgłą. Jego mieszkańcy wyglądali jakby wywrócono ich na lewą stronę i wnętrzości znalazły się na zewnątrz. Ich widok przyprawił mnie o mdłości. Kolejny poziom przypominał jedno wielkie miasto, a przynajmniej odniosłem wrażenie, że spełnia taką funkcję. Miasto było rozłożone na przestrzeni ponad dziesięciu kilometrów, z labiryntem łączących się pomostów i dróg, pełniących chyba rolę chodników. To co brałem za budynki, czyli olbrzymie kuliste konstrukcje połączone pomostami, przypominało bardziej modele używane do wyjaśniania budowy związków chemicznych. Trudno było

domyślić się, jak mogą wyglądać ich mieszkańcy. Zaczynałem odczuwać już przesyt wrażeń tak różnych od wszystkiego, z czym do tej pory się zetknąłem. Potrzebowałbym dłuższej chwili, żeby je uporządkować. I dlatego sprawiło mi wielką ulgę przejście przez drugi z rzędu nieprzezroczysty sektor. Po nim przesunęliśmy się jeszcze przez podwodny świat, rojący się od wszelkiego rodzaju istot w większości wielkich, brzydkich i pełnych zębów.

W końcu dotarliśmy do Ziemi - Ziemi, która prawdopodobnie nie istniała od kilkuset lat. Gdy spojrzałem na nią z góry, spod sklepienia, uderzyło mnie, że wszystko wygląda tutaj tak spokojnie i przyjemnie. Dominowała zieleń pól i lasów. Z odległego wzgórza spływała rzeka i płynęła dalej doliną tuż pod nami. W miejscu, gdzie tunel przebijał dno, rozłożyło się miasteczko - nowoczesne i czyste. Ilość energii, jaką musiał pochłaniać sektor, mogła przyprawić o zawrót głowy. A należało pomnożyć ją przez liczbę wszystkich zamieszkałych obszarów Construct, aby mieć jakieś pojęcie o kosztach związanych z tym przedsięwzięciem. Łagodnie i cicho zatrzymaliśmy się na peronie. Poczulem przyjemną ulgę, uczucie jak gdyby powrotu do domu, pomimo że ta imitacja Ziemi nie przypominała w ogóle Springworld. Po prostu wszystko co nas otaczało zbudowane było w ludzkiej skali i dla ludzkich potrzeb. Znajome były i kształty, i funkcje. Wiedziałem, do czego każda z otaczających nas rzeczy służy, w przeciwieństwie do tych obcych światów, gdzie mogłem jedynie zgadywać. Opuściliśmy tunel i zebraliśmy się w dużym pomieszczeniu wychodzącym na peron. Przybywały kolejne grupy studentów Starschool z towarzyszącymi im Lingwistami. Stąd udaliśmy się windą na wyższy poziom budynku, gdzie mieściły się sypialnie. Pokój, który nam przydzielono, był przestronny i komfortowo wyposażony w porównaniu z tym, do czego przywykliśmy na statku. Z jego okien rozpościerał się imponujący widok na miasto, tunel, a dalej na pola i lasy. Sama zieleń!

- Podczas waszego pobytu na Construct wolno wam przebywać i poruszać się po

dowolnym terenie. Nie ma żadnych ograniczeń poza tymi, które sami na siebie nałożycie.

- Jak możemy podróżować? - spytał Miko niespokojny jak zawsze.

- Wszystko jest do waszej dyspozycji. To dotyczy wszystkich istot żyjących na tej planecie, niezależnie od ich zamiarów.

Czekałem na dalsze wyjaśnienia, ale nie nastąpiły.

- Czy możemy używać sanek? - zapytałem.

- Możecie - odparł - jeśli sobie tego życzycie.

- Czy udasz się z nami?

- Jeśli sobie tego życzycie. Nie odpowiedział wprost na żadne pytanie, spróbowałem więc czegoś innego.

- Czy możemy sami prowadzić sanie?

- Jeśli sobie tego życzycie.

Poczułem, że wpadam w programową pętlę.

- Jak mamy nimi sterować? - Wydawało mi się, że z tego pytania nie może uciec.

- Jak wszyscy inni - odparł. Zaczynałem rozumieć, dlaczego ludzie choć przebywają tu od wielu lat, nadal prawie nic nie wiedzą o Lingwistach. - Pożądane jest, abyście utworzyli małe grupy, tak aby jak najwięcej doświadczyć i przeżyć - odezwał się Przewodnik. - Czas waszego pobytu jest ograniczony i powinien być wykorzystany w najwyższym stopniu.

Wrażeniami można się podzielić, czasu nie da się rozciągnąć.

Po krótkiej dyskusji zdecydowaliśmy się podzielić. Pancho pójdzie ze mną, Alegria z

B'ooosa, a dziekan i Miko z Lingwistą. Miko zdawał się imponować fakt, że dziekan

zdecydował się być z nami. Mnie to raczej martwiło, odnosiłem wrażenie, że woli z bliska czuwać nad nami. Czuję się trochę za stary, by podróżować z niańką.

III

Zaczęliśmy od zwiedzania ziemskiego sektora. Pomimo że miasto nie było duże, sędzę, że mogło pomieścić pięć albo sześć razy więcej ludzi niż aktualnie w nim zamieszkiwało. Każdy chciał rozmawiać z nami, zapoznać się z najnowszymi plotkami z Ziemi i sąsiednich planet. Nie widziałem wiele na Ziemi poza murami stadionów, ale to im nie przeszkadzało. Myślę, że cieszył ich po prostu widok nowych twarzy.

Siedzieliśmy z Carlosem na werandzie wychodzącej na rzekę. Widok był fantastyczny.

Carlos, inżynier z Ziemi, przebywał na Construct od dwóch lat.

- Jak możemy podróżować po innych sektorach? - zapytałem. Zarzucaliśmy się nawzajem pytaniami, chcąc wyciągnąć w ciągu krótkiego czasu maksimum wiadomości.

- Czy wam, dzieciaki, nic nie powiedziano? - wyglądał na rozbawionego.

- Naszemu Lingwiście trudno zarzucić sypanie konkretami - odparł Pancho.

- To wyjaśnia sprawę, powinienem się domyślić. To czego się tutaj dowiedziałem, pochodzi w większości od innych ludzi. Ciężko cokolwiek wyciągnąć od tych Lingwistów.

Przytaknąłem. To można było uważać za pewnik.

- Między sektorami podróżuje się saniami - wyjaśnił Carlos, wyciągając się wygodnie na krześle i kładąc nogi na stole. - Należy wsunąć klucz w szczelinę w przedniej części sań. To uruchamia je i programuje wewnątrz właściwą atmosferę. Drażek przed przednim siedzeniem służy do sterowania. Przesuwasz go do przodu, aby ruszyć i do tyłu, aby się zatrzymać. Proste.

- Co to za klucz i gdzie możemy go otrzymać? - spytał Pancho.

Carlos potrząsnął głową i wskazał na wąski metalowy prostokąt zawieszony na jego szyi.

- To klucz - powiedział.

Takie same nosiliśmy obaj od paru godzin.

- Nic nam nie powiedzieli! - wykrzyknąłem.

- Tego należało się spodziewać - stwierdził. - Oczekują, że będziecie zapoznawać się ze wszystkim metodą prób i błędów. Tak było z nami wszystkimi.

- Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Trochę mogę wam pomóc, ale niewiele. Construct to jeszcze ciągle więcej pytań niż odpowiedzi. Czy wasz Lingwista powiedział wam cokolwiek o naszyminikami?

- Niewiele, tylko to, że używa się ich przed wejściem do sektora.

- To jedna z jego funkcji. Uruchamianie sanek to druga. Jest również pewnego rodzaju urządzeniem komunikacyjnym, dzięki któremu możecie połączyć się z waszym Lingwistą, jeśli jest gdzieś w pobliżu. Ponadto jest czymś w rodzaju prostego komputera i na zadane pytania odpowiada najlepiej jak umie. Niestety umie niewiele, więc nie...

Przerwało mu pojawienie się obcego - małego, wieloramiennego stworzenia pokrytego luźnymi fałdami brązowej, białą cętkowanej skóry. Carlos wyraźnie ucieszył się z jego przybycia i gdy obcy usadowił się w krześle, przedstawił nas sobie. Imię obcego można było z grubsza przetłumaczyć jako Ten-Który-Szuka-I-Znajduje. Pochodził z planety Savrot i mieszkał też na poziomie jednego g, sąsiadując z sektorem Ziemi. Przebywał na Construct od pięćdziesięciu ziemskich lat - krótko według miary Savrot - i mówił całkiem dobrze pan-swahili. Jego niski, szorstki głos przypominał szczekanie psa.

- Wiemy więcej o ich kulturze niż o jakiegokolwiek innej - odezwał się Carlos. -

Atmosfery naszych planet są podobne, co oczywiście wiele ułatwia.

- No i nie spoglądamy na siebie jak na smakowity kęsek pożywienia, co też pomaga - dodał Szuka-Znajduje, wydobywając z gardła serię warknięć będących zapewne oznaką dobrego humoru, bo Carlos też się roześmiał.

- Szuka-Znajduje, co możemy dla ciebie zrobić? - spytał Carlos. - Znam cię zbyt dobrze,

aby wiedzieć, że nie przyszedłeś tutaj tylko dla przyjemności spędzenia kilku chwil w moim towarzystwie.

- Szukałem i znalazłem. Słyszeliśmy o studentach i jesteśmy zaintrygowani. Czy mógłbyś nam paru pożyczyć?

- Studenci to nie rzeczy, które można pożyczyć, pójdą z tobą, jeśli tego zechcą.

Obcy odwrócił się do nas i zapytał:

- Pójdziecie ze mną? Interesujemy się studentami.

Spojrzałem na Pancho. Równie dobre miejsce jak każde inne, a od czegoś trzeba zacząć.

- Idziemy - odpowiedziałem.

Zjechaliśmy na peron i zbliżyliśmy się do pierwszych z brzegu sań. Szuka-Znajduje pokazał nam, jak się je uruchamia. To rzeczywiście nie jest trudne. Gdy sanie osiągnęły stan gotowości, dach rozsunął się i wsiedliśmy. Ponieważ Szuka-Znajduje użył mojego klucza - co było z jego strony oznaką uprzejmości - wewnątrz wypełnione było ziemskim powietrzem.

- Pojedziemy drogą poziomą - powiedział ruszając. - Przebiegają one pod każdym poziomem i łączą ze sobą pionowe tunele.

W drodze było niewiele rzeczy wartych obejrzenia. Wszędzie metalowe dźwigary, zwory, tunele i kanały, druty biegnące we wszystkich kierunkach. Byliśmy w ciemnym wnętrzu gigantycznej, skomplikowanej maszyny i trzeba było olbrzymiej siły wyobraźni, by uprzytomnić sobie, że nad moją głową znajdują się ziemskie lasy i łąki, a tuż pod moimi stopami świeci słońce na czyimś niebie. Wkrótce zrobiło się jaśniej i zatrzymaliśmy się na peronie. Tuż obok, pod kątem prostym do naszej drogi biegł kolejny tunel. Peron był inny, znacznie prostszy od znajdującego się w ziemskim sektorze. Wsiedliśmy i skierowaliśmy się do wyjścia ze znajomym już układem śluzy powietrznej. Szuka-Znajduje zatrzymał nas, gdy chcieliśmy za nim wejść do komory.

- Ten sektor nie jest dla was niebezpieczny, ale należy wyrabiać sobie odruch używania klucza przed wchodzeniem do każdej strefy - powiedział, wskazując na właściwy otwór.

Wsunąłem mój klucz i gdy go wyciągnąłem, błysnął zielonym światłem i odezwał się.

Zaskoczył mnie tak, że prawie go upuściłem.

- Struktura fizjologiczna waszego gatunku pozwala na przebywanie w tym sektorze przez nieograniczony czas bez nieodwracalnych zmian w organizmie. - Było to powiedziane czystym pan-swahili, znacznie lepszym niż ten, którym posługiwał się Szuka-Znajduje.

Bezmyślnie uśmiechnąłem się do Pancho, który z wyraźnym poczuciem wyższości wsuwał właśnie swój klucz. Gdy i jego klucz przemówił, zrobił minę wskazującą, że miał już z tym do czynienia nieraz. Niemal wybuchnąłem śmiechem.

Weszliśmy za Szuka-Znajduje do jego sektora. Nie wiem, co spodziewałem się ujrzeć: może miasto, może wieś. Starąłem się być gotowy na wszystko, ale na to nie byłem przygotowany. Była to parująca dżungla, gorąca i wilgotna, z ciężkim powietrzem o zapachu przedwczorajszych śmieci. Od razu zacząłem się pocić. Nie było żadnych oznak cywilizacji, tylko olbrzymi gąszcz dziwacznie ukształtowanych drzew i roślin tak wzajemnie ze sobą przepłatanych, że jak lita ściana otaczały maleńką polanę, na której staliśmy.

- Witajcie na Savrot - powiedział Szuka-Znajduje. - Nie jesteśmy wprawdzie na naszej planecie, ale to zupełnie dobra namiastka.

- Wygląda... eee... całkiem przyjemnie - powiedział Pancho, nawet nie mrugnawszy okiem.

Miałem nadzieję, że mieszkańcy Savrot nie potrafią odczytać wyrazu ludzkiej twarzy.

- My też tak uważamy. Pozwólcie, proszę za mną. - Robiąc właściwy użytek ze swoich wielu ramion, wciągnął się na górę i wkrótce zniknął nam z oczu.

- Jak u ciebie z chodzeniem po drzewach? - spytałem Pancho.

- Zaraz się okaże - powiedział, podchodząc do najbliższego drzewa, którego pień pokryty gładką korą nie zapewniał najmniejszego uchwytu. - Podrzućesz mnie? - zapytał.

Stojąc na moich ramionach, z trudem dosięgnął! najniższej gałęzi i po krótkiej szamotaninie zdołał się na nią wdrapać. W tym samym momencie pojawił się ponownie Szuka-Znajduje i opuścił w dół lianę.

- Przepraszam - powiedział, gdy się już wspiałem. - Zapomniałem, że nie jesteście przyzwyczajeni do naszych dróg.

Niezgrabnie balansując wśród splątanych gałęzi, ruszyliśmy za nim w głąb dżungli. Był to jednak zupełnie obcy świat.

- Czujemy się znacznie lepiej na drzewach - wyjaśnił Szuka-Znajduje. - Wybaczcie i weźcie to pod uwagę.

Widziałem teraz, co miał na myśli. Gałęzie drzew tworzyły nad ziemią gęsty labirynt i nie było trudno przenosić się z miejsca na miejsce, kiedy posiadało się kilka rąk zapewniających pewny uchwyt. Poruszał się z łatwością, nawet z pewnym wdziękiem, żadne z ramion nie spoczywało ani przez chwilę w bezruchu. Dżungla poniżej tworzyła splątana masę groźnie wyglądających roślin pokrytych bez wyjątku różnego rodzaju kolcami, haczykami i cierniami. Ostre jak igły szpilki sterczały na wszystkie strony. Nie dziwię się, że czuli się lepiej na drzewach.

Nagle coś w tym ciernistym gąszczu przyciągnęło mój wzrok. Było szare, na wpół zakopane w podszyciu. Zatrzymałem się i gdy próbowałem w półmroku przyjrzeć mu się dokładniej, poruszyło się.

- Co to jest? - zapytałem. - Wygląda niebezpiecznie.

Szuka-Znajduje zatrzymał się i zwisając na trzech ramionach, spojrział w dół.

- Na naszej planecie nie ma nic niebezpiecznego. Gdzie jest to coś?

Wskazałem na stworzenie, teraz już wyraźnie widoczne. Natura wyposażyła je w twarde, chitynowy pancerz i kilka wieloczłonowych ramion, z których kilka kończyło się pazurami. Nawet jeśli nie było niebezpieczne, to nie wyglądało zachęcająco. Kilka bąbli, będących zapewne oczami, wзираło spod wybrzuszeń na pancerzu.

- Nazywamy je pancerniakami, żyją na innym poziomie. Wasz przyjaciel

Carlos-z-Ziemi nazywa je krabami. Jedynie Lingwiści potrafią wymówić ich prawdziwą nazwę. To dźwięki naśladujące kłapanie żuchwą, nadzwyczaj trudne do naśladowania. Nic o ich nie wiemy.

- W ogóle nic? - zdziwił się Pancho.

- Nic. Nie komunikują się z nikim, a przynajmniej nie w żaden znany sposób.

Zadawałają się bierną obserwacją. Na każdym poziomie jest ich kilka. Nic o nich nie wiadomo, poza tym że są fizycznie bardzo słabe. Spotykamy je często wpłątane w roślinność lub unieruchomione przez opadające gałęzie. Uwalniamy je wtedy. Nie wiadomo, w jaki sposób potrafią egzystować w tylu różnych środowiskach, na wszystkich poziomach. Nigdy nie widziano, by cokolwiek jadły. Ten przebywa na naszym poziomie od dziesięciu lat.

- Wywołują u mnie ciarki - powiedział Pancho.

- Co to są ciarki? - spytał Szuka-Znajduje. - Nie znam tego słowa.

- Ciarki. Dreszcze. Przerazają mnie.

Wydał to swoje głupawe szczeknięcie. Widać znalazł coś zabawnego w słowach Pancho.

- Wy, ludzie, używacie wielu dziwnych słów i pojęć. Aby być przerażonym, trzeba odczuwać strach, a w tym sensie strach wiąże się z tym, co wy nazywacie konflikt lub walka. Zupełnie niezrozumiałe pojęcia, nie potrafimy ich pojąć.

- Myślałem, że konflikt jest pojęciem podstawowym - powiedział Pancho.

- Może dla was, ale nie dla wszystkich. My na Savrot nie mamy wrogów. Jesteśmy wegetarianami, drzewa dostarczają nam pożywienia. Nigdy nie mieliśmy przeciwników, stąd nie znamy pojęcia walka. Mam nadzieję, że używam tych słów prawidłowo, ich definicja nie jest dla mnie zbyt jasna.

- Nie jestem pewien, czy są tak zupełnie jasne również dla nas - powiedziałem, myśląc o licznych w moim życiu przypadkach, gdy wrogowie stawali się przyjaciółmi, a przyjaciele wrogami i że wielokrotnie zarówno konflikt, jak i walka istniały wyłącznie w mojej głowie. Spoglądał na nas przez chwilę. Próbowałem zrozumieć wyraz jego twarzy, ale poddałem się. Było niewiele ludzkiego w tej istocie poza zdolnością porozumiewania się naszym językiem.

- Odtąd będziemy poruszać się w górę - powiedział.

Wbrew pozorom przemieszczanie się w górę nie było trudniejsze niż w bok. Ze wszystkich stron otaczały nas gałęzie i brakowało nam jedynie kilku dodatkowych rąk. Ogon też nie byłby najgorszy. Ziemia dawno zniknęła gdzieś w dole, lecz nie zanosiło się na koniec tej wspinaczki. Nie potrafiłem określić, jak wysoko już zaszliśmy. Bolały mnie mięśnie i wyobrażałem sobie, jak czuje się Pancho mający przecież krótsze ręce i nogi. Mimo to nie skarżył się, był pewnie równie ciekawy jak ja, dokąd podążamy. Jedynie nie można było przyzwyczać się do tutejszego powietrza. Ciągle śmierdziało jak na wysypisku śmieci.

- Już prawie jesteśmy - odezwał się Szuka-Znajduje pięć czy sześć metrów nad naszymi głowami.

Spojrzałem w jego kierunku i ujrzałem spód olbrzymiej platformy - podestu zbudowanego ze splecionych gałęzi. Prymitywny, ale solidny. Nie zajęło nam wiele czasu, aby się nań dostać. Byłem zaskoczony jego rozmiarami. Koniec ginął w gałęziach odległych drzew, a część, w której się aktualnie znajdowaliśmy zajmowała obszar dwukrotnie większy od sali

gimnastycznej na Starschool. Z bliska wszystko wyglądało jeszcze bardziej prymitywne niż myślałem. W zasięgu wzroku nie było widać ani kawałka metalu. Zastępowały go różne rodzaje drewna. Wyplecionymi z pnączy ściankami wydzielono symbolicznie kilka pomieszczeń, widać było kilka niezgrabnych, dziwacznie ukształtowanych krzeseł i stołów. Całość pozbawiona była dachu.

Oczekiwało na nas kilku Savrotian. Szuka-Znajduje podszedł do nich, rzucił kilka szybkich słów w ojczystym języku i powrócił do nas.

- To są Starsi, większość z nich jest również nauczycielami. Aczkolwiek spełniłem już swoje zadanie, czyli odnalazłem was i sprowadziłem tu, pozostanę z wami jako tłumacz. Starsi sporadycznie tylko miewali kontakt z gatunkiem ludzkim i nie potrafią swobodnie porozumiewać się waszym językiem.

Kilku Starszych przemówiło naraz, wydając niezrozumiałe, warkoczące dźwięki. W tym nagłym hałasie Szuka-Znajduje przekrzywił głowę w zadziwiająco ludzkim geście.

- Mają wiele pytań - powiedział. - Sądzę, że wy również. Trzeba będzie poszukać sposobu zapewniającego równowagę w wymianie informacji.

Rzeczywiście miałem wiele pytań, Pancho też, ale nie dano nam najmniejszej szansy.

- Ponieważ są nauczycielami, a wy studentami, naturalne jest, że się wami interesują.

Chcieliby wiedzieć, kiedy nastąpi wasza przemiana.

- Przemiana? - zdziwił się Pancho.

- Kiedy przestaniecie być studentami i przemienicie się w coś innego. Mają nadzieję, że to wkrótce nastąpi i chcieliby być przy tym.

- Nie wydaje mi się, że kiedykolwiek naprawdę przestajemy być studentami.

- Nie rozumiem - powiedział Szuka-Znajduje.

- Nie można być studentem w nieskończoność, pojęcie wiecznego studenta jest

sprzeczne samo w sobie.

- Pancho chciał powiedzieć, że nigdy nie przestajemy się uczyć.

- To przecież nie ma nic wspólnego z byciem studentem. Z pewnością przechodzicie przemianę.

- Nie wiem, co rozumiesz przez przemianę - powiedziałem - i wydaje mi się, że nie rozumiesz studentów.

- Rozumiem studentów, sam przecież kiedyś byłem studentem, chociaż oczywiście nie pamiętam tego okresu mojego życia. Nie mógłbym być szukającym, jeśli przedtem nie byłbym studentem.

- Może powinniśmy porozmawiać ze studentem - odezwał się Pancho.

Szuka-Znajduje wybuchnął swoim szczekającym śmiechem i powiedział coś do otaczających nas jego pobratymców, tłumacząc chyba słowa Pancho, bo wkrótce wszyscy rechotali radośnie. Wszyscy z wyjątkiem nas dwóch. Miałem wrażenie, że jestem w psiarni w porze karmienia zwierząt. Pancho wzruszył ramionami równie zmieszany jak ja.

- Pokażemy wam naszych studentów - zaproponował Szuka-Znajduje - możecie z nimi porozmawiać, jeśli chcecie. - Śmiejąc się, poprowadził nas w poprzek podestu.

Weszliśmy do dużego pomieszczenia oddzielonego od reszty przepierzeniami z pnączy.

Wewnątrz znajdowało się tylko kilka skórzanych worków zawieszonych na uginających się pod ich ciężarem gałęziach. Jeden poruszył się, po chwili drugi. Odniosłem wrażenie, że one żyją.

- To są nasi studenci - objaśnił nasz gospodarz.

- Studenci?

- Tak. Ci którzy się uczą, czyli studenci. To pewien etap naszego życia, taki jak wasz.

Musimy być studentami, aby zdobyć wiedzę. Potem następuje przemiana i otrzymujemy

imię-zawód.

Domyśliłem się, że worki pełnią rolę kokonów. Do jednego podszedł któryś ze

Starszych i zaszczekał. Szuka-Znajduje przetłumaczył:

- On pokaże wam nauczanie i będzie śpiewał uczące pieśni. Może uda mu się wywołać przemianę. Ten student jest już prawie gotowy.

Obcy zbliżył się do kokonu i rozciągnął fałdy swojej skóry. Na wewnętrznej stronie znajdowały się tysiące małych, podobnych do przyssawek krążków. Ze środka każdego krążka wyrastał maleńki haczyk. Wczepił się nimi w kokon i owinał szczelnie wokół niego. Niskim, łagodnym głosem zaintonował serię chrząknięć i pomruków.

- Śpiewa do studenta. Uczy go tego, co musi wiedzieć jako dorosły. Ma stać się budowniczym-żywcicielem umiejącym obrabiać drewno i zbierać żywność. Student również śpiewa w trakcie nauki, ale można to jedynie odebrać jako wibracje worka-matki. Nauczyciel wstrzykuje również pożywienie oraz płyny, które ułatwiają przyswajanie wiedzy.

“Pieśń” stawała się coraz głośniejsza, sięgała wysokich tonów wywołujących bolesne wibracje, przypominając bardziej zwierzęcy skowyt niż jakikolwiek rodzaj języka. Kokon skręcał się teraz i wyginał na splocie, którym był zaczepiony do gałęzi.

- Macie szczęście - powiedział Szuka-Znajduje - wkrótce ujrzycie przemianę.

Nagle kokon pękł, wylewając z wnętrza zielonawe płyny i biała masa wyslizgnęła się na podłogę. Dopiero po dłuższym przyglądaniu się zdołałem rozpoznać w niej kształty na wpół rozwiniętego mieszkańca planety Savrot.

- Przeszedł już przemianę, teraz może rosnąć - wyjaśniał Szuka-Znajduje, gdy dwóch dorosłych wynosiło wilgotny kłębuszek.

Zbliżył się do mnie jeden z nauczycieli, rozpościerając szeroko fałdy swej skóry.

Miałem teraz możliwość przyjrzeć się dobrze wypukłym przyssawkom zakończonym ostrymi

punktami. Wyglądały niebezpiecznie. Cofnąłem się o krok.

- On chce ciebie nauczyć - powiedział Szuka-Znajduje. - Możesz uważać to za wielki zaszczyt. Chciałby wywołać twoją przemianę, tak żebyśmy ją mogli teraz zaobserwować. Jak się z tego wyplątać? Dłuższą chwilę intensywnie przekonywałem ich, zanim pojęli, że nasi studenci różnią się całkowicie od ich studentów. Gdy to w końcu do nich dotarło, przestali się zupełnie nami interesować. Szuka-Znajduje przeproszał za ten nagły spadek zainteresowania, a nie za same nieporozumienia związane z definicją studenta. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że nadal nic nie rozumie i jest rozczarowany moją niechęcią poddania się przemianie.

W drodze powrotnej opowiadał nam trochę o swojej ojczystej planecie. Nie mają wrogów, mają natomiast pod dostatkiem łatwo dostępnego pożywienia. Klimat na Savrot jest zadziwiająco stały, niezmiennie ciepły i łagodny. W konsekwencji nie rozwinęła się u nich cywilizacja techniczna. Nie było takiej potrzeby. Wszystko na ich planecie było do wzięcia, więc nikt nie słyszał o rywalizacji, a w rezultacie nie mieli najmniejszych podstaw, by rozumieć pojęcia: wojna i walka. Jestem przekonany, że nie rozumieli również pojęcia student. Gdy zbliżaliśmy się do wyjścia, w gęstych zaroślach dojrzałem kraba. Dziesięć lat w jednym miejscu to dużo czasu, nie wiadomo jednak czy również dla nich? Mógłbym przysiąc, że przyglądał się nam. Po dojściu do peronu Szuka-Znajduje pokazał nam, jak przy użyciu klucza wezwać sanie. Pożegnaliśmy się i gdy sanie nadszedły, wsiedliśmy. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było kilka głębokich wdechów świeżego, ziemskiego powietrza. Po zgniłej atmosferze Savrot była to prawdziwa przyjemność.

- Byłeś blisko, *amigo mio* - powiedział Pancho, gdy już przypięliśmy się pasami. — Jeszcze chwila, a przyspieszonym kursem ukończyłbyś studia.

- Zwykle nieporozumienie - powiedziałem, czując się dziwnie zakłopotany tym

wszystkim.

- Nieporozumienie, które mogło kosztować cię życie.

- Dokąd teraz? - spytałem, chcąc zmienić temat.

Pancho spojrzał na zegarek.

- Mamy jeszcze parę godzin. Rozejrzyjmy się po okolicy.

Przesunąłem dźwignię do przodu i ruszyliśmy.

Zwiedzanie dwóch pierwszych sektorów zakończyło się fiaskiem. Klucz poinformował nas, że poniesiemy natychmiastowe i nieodwracalne szkody, jeśli tam wejdziemy. Nie usiłował nas jednak powstrzymać. Krążyliśmy po okolicy i w końcu znaleźliśmy obiecujący sektor na poziomie 0,8g. Klucz orzekł, że możemy bez szkody przebywać w nim tydzień. Weszliśmy do śluzy. Jeszcze zanim rozsunęły się wewnętrzne drzwi, wiedziałem, że coś jest nie tak. Nic konkretnego, takie przelotne, niejasne przeczucie. Drzwi rozsunęły się, wyszliśmy na zewnątrz i uczucie niepokoju pogłębiło się. Mieliśmy przed oczyma spustoszony, zdewastowany krajobraz. Jałowa, spieczona ziemia pokryta była rzadkimi kępami suchej trawy.

Zdeformowane, pokrzywione drzewa ostro odcinały się na tle bladego, bezchmurnego nieba.

Wszystko na co spojrzeliśmy, było stare, zniszczone, umierające. W zasięgu wzroku nie było żadnej żywej istoty. Ten przygnębiający widok przemawiał nie tylko do nas, ludzi.

Uniwersalnym językiem mówił o bólu, o śmierci, o stracie. Mówił o rzeczach niegdyś wielkich, które przeminęły na zawsze. Życie staje się śmiercią, piękno przemienia się w chaos. Wszystko prowadzi do tego konającego świata rozpacz, strzaskanych marzeń i nieskończonego smutku.

Coś ścisnęło mnie za gardło, przełykałem łzy. Czułem obietnice, które stały niegdyś przed tym światem, a które rozwiały się dawno temu. Stałem na krawędzi śmierci, widziałem ginącą rasę i napełniało mnie to smutkiem. Dotarła do mnie pieśń, pieśń bez słów, pieśń bez muzyki.

Głosiła chwałę rasy znacznie starszej niż rodzaj ludzki, rasy licznej, która w pełni rozkwitu

sięgnęła większej liczby systemów gwiazdnych niż jest ludzi na Springworld. Mieli swoje eony świetności, złote stulecia szczęśliwego życia i wszystko to już przeminęło, zaledwie małe błysk na bezkresnej wstędze czasu, z trudem zauważalny, z ledwością pamiętany. Myślałem o ludzkości, gdy ta pieśń o marności i bezowocnej daremności wypełniała moją głowę. Czy zawsze tak musi być? Czy wszystko kruszy się i rozpada? I nadeszła odpowiedź: TAK.

Zdruzgotane marzenia, nadzieja, która nie wraca. Tylko pył i popioły.

Odwrociłem się do Pancho. Szlochał otwarcie, łzy ciekły mu po policzkach. On także słyszał tę pieśń.

JEST TYLKO TA PIEŚŃ.

Otarłem łzy i spróbowałem coś powiedzieć. Słowa więzły mi w gardle. Schwyciłem Pancho za ramię i popchnąłem w kierunku śluzy. Nie zaprotestował, przebywał myślami gdzieś daleko. Ogromnym wysiłkiem woli wsunąłem klucz w drzwi. Byłem rozbity, zniewolony tą pieśnią o nieuniknionej śmierci. Trafiała wprost do mojej duszy, wciągając mnie, próbowała mnie zniszczyć. Drzwi otworzyły się. Ostatnim desperackim wysiłkiem wszedłem, wciągając za sobą Pancho. Drzwi zasunęły się i pieśń się urwała. Pomimo że już jej nie było, ciągle jednak rozbrzmiewała w mojej głowie z niewiarygodnym natężeniem. Pancho siedział na podłodze z oczami pełnymi rozpacz. Trwaliśmy tak dłuższą chwilę w bezruchu, odrętwiali po tym, co przeżyliśmy, spowici w szczelną skorupę naszych myśli.

Sanie ciągle czekały. Cicho wsiedliśmy i w milczeniu wróciliśmy do domu.

* * *

Przygniatającą nas rozpacz rozpędziło dopiero radosne podniecenie Alegrii, która zwiedziła wraz z B'oosa sektor zamieszkały przez istoty podobne motylom, istoty o głosach przypominających, w zależności od nastroju rozmówcy, delikatne dźwięki dzwoneczków lub melodie wygrywane przez pozytywki. Żyły w prawie niematerialnym, przesyconym światłem

świecie, a ich delikatne i kruche z pozoru ciała, przez dziwny kaprys natury, odznaczały się niewiarygodną twardością. Nawet B'osa stracił swoją zwykłą powściągliwość i był wyraźnie pod ich wrażeniem.

Spytaliśmy Przewodnika o sektor, który zwiedziliśmy z Pancho, a który nami tak wstrząsnął.

- To królestwo Talubar. Czy spodobał wam się ten świat?

- Nie. Był przygnębiający, przerażający. Opowiedziałem wszystkim, co widzieliśmy i co przeżyliśmy.

- To typowa reakcja, jakiej doświadcza większość żywych istot podczas zwiedzania tego sektora. Zamieszkuje tam jeden samotny Talubar, ostatni przedstawiciel swojej rasy. Istnienie swoje zawdzięcza skomplikowanemu systemowi podtrzymywania życia, dzięki któremu żyć jeszcze będzie przez kilka stuleci. Jest całkowicie pogrążony w melancholii, a sprawę pogarsza fakt, że jest empatą emanującym intensywnie swoje uczucia. Wiele istot zwiedzających ten sektor popełniło samobójstwo. - Zakrył twarz rękoma i zagwizdał. - Reagując jak zwierzęta, zrobili niezły dowcip.

- Nie widzę w tym żadnego dowcipu - powiedziałem. - To było niezwykle przygnębiające przeżycie.

- Wam ludziom brakuje dostatecznie rozwiniętego poczucia humoru. Nie powinno wam być z tego powodu szczególnie przykro, jako że jest to typowa cecha młodych, prymitywnych ras.

Miałem kilka pytań dotyczących stopnia rozwoju rasy dowcipkującej na tematy związane ze śmiercią i rozpaczą, ale zachowałem je dla siebie. Miko zaczął opowiadać o świecie, który on zwiedził, mroźnym świecie lodu i śniegów. Mówił właśnie o ludziach, którzy tam żyją, gdy uderzyła mnie nagła myśl: brakowało dziekana M'Bisa. Miko opowiadał jakby

zwiedzał ten świat wyłącznie z Przewodnikiem, a wiedziałem przecież, że dziekan wyruszył razem z nimi. Przerwałem mu przy pierwszej okazji.

- Gdzie jest dziekan, Miko? Nie wrócił razem z tobą?

Miko spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nie, nie wrócił ze mną. Myślałem, że poszedł z tobą.

Spojrzałem na Pancho, a on z kolei na Miko, nie wierząc własnym uszom. Odezwał się

B'ooosa:

- Wszyscy widzieliśmy, że wychodził z tobą i Przewodnikiem. Co się stało?

Miko wyglądał na zdezorientowanego.

- Ja... ja... nie pamiętam - zaczął. - Nie jestem pewien... Myślę, że na początku był z nami... wydaje mi się, że pamiętam... nie do końca, ale na samym początku był. Może gdzieś poszedł samotnie? Pamiętam, pomyślałem, że poszedł do was albo że ma coś innego do zrobienia. Był jakiś powód, dla którego odszedł, już nie pamiętam jaki, ale musiał być. I to z pewnością dobry, bo wydawało mi się całkiem naturalne, że go nie ma. Aż do tej chwili nie martwiłem się jego nieobecnością.

B'ooosa odwrócił się do Lingwisty.

- Gdzie jest dziekan? - zapytał.

- Nie mogę powiedzieć wam tego, do czego powinniście dojść sami.

- Wyszedł z tobą, prawda? - spytałem go.

- Tak.

- Czy powrócił z tobą?

- Nie.

- Zatem musiał zostać gdzieś po drodze.

- Rozsądne przypuszczenie.

- Gdzie?
- Być może znam odpowiedź na to pytanie, a być może nie. W każdym razie nie mogę wam powiedzieć tego, do czego powinniście dojść sami.
- Czy opuścił was z własnej woli? - wtrącił B'ooosa.
- Rozsądne przypuszczenie. - I tym razem uniknął jasnej odpowiedzi.
- Czy opuścił was wbrew własnej woli? - spytałem.
- To także jest rozsądne przypuszczenie.
- Nie rozumiem - powiedział Pancho. - Co jest prawdą? Czy odszedł gdzieś z własnej woli, czy go porwano?
- Nie mogę wam powiedzieć tego, do czego powinniście dojść sami - powtórzył Przewodnik.
- Jeśli go porwano, czy nie powinieneś nam przynajmniej o tym powiedzieć?
- Ludzie mają dziwaczne poglądy na temat powinności i obowiązków. Są całkowicie niekonsekwentni. Gdyby jakaś inna rasa chciała porwać jednostkę znaną jako dziekan M'Bisa, czy byłoby moim "obowiązkiem" im pomóc?
- Oczywiście nie - odparł B'ooosa.
- Ale to jest dokładnie to, do czego prowadzi wasza tak zwana logika. Jeśli założymy, że mam obowiązek pomagać jednej rasie, czy nie powinienem tym samym pomagać wszystkim pozostałym?
- To co innego - powiedział Pancho - porwanie jest rzeczą złą.
- Wy, ludzie, macie również dziwne poglądy na temat tego, co jest dobre, a co złe. To są terminy niejednoznaczne i ich znaczenie zależy od interpretacji. My wolimy całkowicie unikać takich pojęć.
- Ale porwanie to czyn nielegalny, sprzeczny z prawem.

- Nadal nic nie rozumiesz. Tu nie obowiązują żadne prawa ani reguły poza tymi, które sami na siebie nakładacie. Nie ma więc czynów sprzecznych z prawem. To takie proste. Dla mnie nie było to takie proste, ale nie miało to żadnego znaczenia. Lingwiści i tak interpretują wszystko po swojemu. Jeszcze przez godzinę dyskutowaliśmy z Przewodnikiem, przekonywaliśmy go, ale bez żadnego rezultatu. Nic więcej nam nie powiedział. W końcu odszedł, a my już we własnym gronie zastanawialiśmy się, co dalej robić. Ja byłem gotowy iść szukać M'Bisa choćby zaraz, Pancho obawiał się, że jeśli dziekan nie został porwany, to ogłaszając przedwczesny alarm, możemy tylko wpędzić i jego, i siebie w niepotrzebne kłopoty. Miko całkowicie wykołowany tym, co mu się przytrafiło, uważał, że ktoś lub coś manipulowało dzisiaj jego pamięcią. Po odczuciach, jakie potrafił nam narzucić Talubar wierzyłem, że wszystko jest możliwe na Construct. B'oosa sugerował, żeby poczekać i zobaczyć, co przyniesie najbliższa noc. W ten sposób, argumentował, nawet jeśli będziemy musieli go jutro szukać, to przynajmniej będziemy wypoczęci. Była to rozsądna propozycja, ale i tak rano nie byłem bardziej wypoczęty. Całą noc męczyły mnie sny wypełnione przygnębiającymi obrazami ginącej, starożytnej rasy.

IV

Nadszedł w końcu dzień, a dziekana nadal nie było. Terminal informacyjny zasypany był wiadomościami dla niego, nie stawiał się na kilka wieczornych spotkań. Powoli stawało się oczywiste, że ktoś maczał palce w jego zniknięciu.

Usiedliśmy w piątkę i naszkicowaliśmy z grubsza plan. Musimy wrócić na poziom ósmy, tam gdzie Miko stracił pamięć. Wiedzieliśmy na pewno, że opuścił obszar Kaful bez dziekana, nie wiadomo jednak było, czy zwiedzał go razem z nim. Istniała ponadto szansa, że Kafultianie powiedzą nam, skąd dziekan i Miko do nich przybyli. Na Przewodnika nie mieliśmy co liczyć. Pomocny czy nie, Przewodnik czekał na nas na peronie. Podróż na poziom ósmy, 0,7g, trwała krótko. Klucze orzekły, że możemy przebywać w nim w nieskończoność, jeśli tylko będziemy unikać dziur grawitacyjnych.

Kafultianie to szybownicy - mają ludzkie tułowia i głowy, a zamiast rąk i nóg posiadają kilkumetrowe, wielocłonowe kończyny podtrzymujące elastyczne, błoniaste skrzydła.

Wykorzystują dziury grawitacyjne do przenoszenia się z miejsca na miejsce.

- To coś takiego jak generatory sztucznej grawitacji, jakie posiadamy na pokładzie Starschool, ale bardzo zminiaturyzowane - wyjaśniał Miko. - Co dwadzieścia, trzydzieści metrów znajduje się sześciątka oznaczająca dziurę grawitacyjną, a jego kolor informuje o natężeniu pola. Używają ich tak jak ptaki używają prądów powietrznych. Nabierają szybkości, spadając w nie, po czym rozpościerają skrzydła, a pole wynosi je w powietrze. Bardzo to łacinnie wygląda.

- Ale może być dla nas niebezpieczne - powiedział Pancho.

Miko wzruszył ramionami.

- Musimy tylko trzymać się od nich z daleka. Dziury różnią się wielkością grawitacji, mają pięć czy dziesięć różnych stopni, i próba przejścia przez niektóre mogłaby zakończyć się

tragicznie, w najlepszym wypadku połamaniem nóg.

Ale nie było takiego niebezpieczeństwa. Cały obszar Kaful był jednym wielkim ogrodem wypełnionym klombami kwiatów i krzakami strzyżonymi w kształcie rzeźb. Dziury grawitacyjne wydzielone były kręgami wypolerowanego, przypominającego marmur kamienia. Nie można było ich nie zauważyć. Powietrze było wilgotne, przesycone słodkimi zapachami, na niebie świeciły tysiące małych słońc. Planeta Kaful leży w środku kulistej gromady gwiazd, więc nigdy nie zapada tam noc, jednak ta wszechobecna, wieczna jasność miała w sobie jakiś niehumaniczny chłód. W zasięgu wzroku szybowały dziesiątki Kafultian - jak powiedział Miko "oni tylko latają i myślą". W końcu jeden wypatrzył nas. Zwinął skrzydła i rzucił się głową w dół, nabierając niebezpiecznie dużej szybkości. Tuż przy ziemi skrzydła z trzaskiem rozłożyły się, z rozpędu uniósł się jeszcze w powietrze, zwolnił, zawisł na chwilę nad naszymi głowami i wylądował. Przewodnik zaczął tłumaczyć.

- Wracasz z przyjaciółmi, Miko... pochlebiasz nam.

- Chciałem, by mogli ujrzeć wasze piękno - odpowiedział uprzejmie - ale jesteśmy tu również dlatego, że szukamy naszego przyjaciela. Powiedz mi, czy przyszedłem tutaj wczoraj sam?

- Czyżbyś stracił pamięć. Miko?

- Właśnie coś takiego mi się przytrafiło. Czy poza Przewodnikiem był ktoś wczoraj ze mną?

- Nie, przynajmniej nie wtedy, kiedy z tobą rozmawiałem, ale nie wiem, od jak dawna tu przebywałeś. Jeśli przybyłeś z przyjacielem, mógł się wcześniej gdzieś oddalić.

- Czy przebywają tu aktualnie inni ludzie? - spytał B'ooosa.

- To mogę łatwo sprawdzić.

Kafultianin odszedł kilka kroków, wziął krótki rozbieg i wybił się w powietrze. Uderzył

kilka razy skrzydłami i ciasną spiralą runął w dół, by po chwili wyskoczyć w górę. Na moment straciliśmy go z oczu w jaskrawym świetle zalewającym powierzchnię sektora,

- Musi się teraz rozejrzeć - powiedział Miko i w tym momencie rozległ się przeraźliwy gwizd, głośny pisk tak wysokiej tonacji, że wszyscy się wzdrygnęliśmy.

- Komunikuje się z innymi - powiedział Przewodnik. - Oni nie są telepatami.

Rozległy się kolejne gwizdy, coraz słabsze w miarę jak kolejni Kafultianie przekazywali dalej wiadomość.

- Co oni mówią? - spytał Miko.

Lingwista spojrzał na niego i wywrócił oczy.

- To czego możesz się po nich spodziewać, jeśli znasz te stworzenia.

- Prawdziwa kopalnia informacji - powiedział Pancho. - Wręcz niewyczerpana studnia.

W niecałą minutę później nadeszła odpowiedź - pojedynczy, niski świst. Kafultianin powrócił.

- Jesteście jedynymi ludźmi w tym sektorze, a wczoraj nie widziano żadnego człowieka poza tobą. Musiał zaginać, zanim tutaj dotarłeś.

- Obawiałem się tego - powiedział Miko. - Czy wczoraj podczas rozmowy z tobą nie wspomniałem przypadkiem, gdzie przedtem przebywaliśmy?

- Pozwól, że pomyślę - uderzył kilka razy skrzydłami, uniósł się w górę kilka metrów i opadł łagodnie na ziemię, przemieniając się w nieforemny pagórek kościstych kończyn. - Nie, nie mówiłeś, ale na pewno przyszedłeś tutaj piechotą, żadne sanie nie zatrzymywały się na peronie, zauważyłbym. A ponadto sierść na czubku twojej głowy była mokra, więc myślę, że przyszedłeś z obszaru Bawex.

B'ooosa wyciągnął plan poziomu ósmego.

- To po drugiej stronie tego łącznika. - Spojrzał na Przewodnika, ale nic nie powiedział.

- Chodźmy!

Podziękowaliśmy Kafultianinowi i wyszliśmy. Dopiero na zewnątrz zdałem sobie sprawę, że prawie przez cały czas starałem się nie oddychać ze względu na przesyconą zapachem kwiatów atmosferę. Gdy zbliżyliśmy się do służy Bawex, wyłoniły się z niej w wielkim pośpiechu dwa kraby.

- Aż dwa naraz - zauważył Pancho. - To coś nowego.

Lingwista zagwizdał ze śmiechem.

- Prawie wszystko jest dla was zupełnie nowe, dlatego chyba tak bardzo lubię przebywać w waszym towarzystwie.

Nasze klucze powiedziały, że możemy przebywać w obszarze Bawex nie dłużej niż trzydzieści godzin. Jeśli dziekan był tam, nie mieliśmy wiele czasu do stracenia.

- Coś sobie niejasno przypominam - powiedział Miko, gdy przeszliśmy przez wewnętrzne drzwi służy.

Bawex był niemal całkowitym przeciwieństwem obszaru, który przed chwilą opuściliśmy. Ponury i ciemny, najeżony postrzępionymi skałami i stalagmitami wyrastającymi w półmroku jak kredowe duchy. W powietrzu przesyconym wilgotnym zapachem pleśni wyczuwało się lekką domieszkę chloru. Ciepła mgła drobnego deszczu osiadała w ciszy zakłócanej jedynie chrzęstem mokrego żwiru pod naszymi stopami.

- Gdzie są Bawexianie? - zapytał B'ooosa.

- Cierpliwości.

Nagle pojawili się czterej, po chwili dalsi dwaj. Otoczyły nas białe węże o wielkich głowach i długich, delikatnych ciałach. Jeden uniósł się powyżej mojej głowy, wyprostował i pomagając sobie omdlewającymi gestami dwóch wątych rączek, które wysunęły mu się spod szczęki, przemówił sycząc i wzdychając:

- Pyta, czy jesteście pożywieniem - tłumaczył Przewodnik. - Myślę, że to żart, bo węglowodory są dla nich trucizną.

Oddech stworzenia śmierdział zgnilizną i chlorem.

- Spytaj, czy pamięta mnie albo doktora M'bisa - poprosił Miko. Wymienili kilka gestów i gwizdów.

- Mówi, że to nie jego funkcja. On pamięta niewiele poza ontologią i jedzeniem. Żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, potrzebny byłby żywiciel-mędrzec, a najbliżsi mieszkają w jeziorze oddalonym o dwadzieścia kilometrów.

Miko odwrócił się do B'oosa.

- Idziemy?

B'oosa potarł w zamyśleniu szczękę.

- To może zająć kilka godzin...

- I pójdziecie beze mnie - włączył się Przewodnik. - Mogę bardziej pożytecznie spędzić ten czas. A poza tym, to bardzo nieprzyjemne miejsce.

Miał rację. Gardło miałem przeżarte chlorem i zbierało mi się na wymioty.

- Nie możemy przebywać tutaj godzinami - powiedział Miko. - A może tylko mój organizm jest bardziej wrażliwy i mocniej reaguje na to świństwo.

Alegria rozkaszała się.

- Nie wytrzymam dłużej niż dziesięć minut. Zaraz zemdleję.

- Może wy dwaj, najwięksi, powinniście pójść do Jeziora? Klucze umożliwiają ą w ograniczonym zakresie wzajemną łączność.

- Czy on tam jest? - zapytał Pancho żałośnie. - Jeśli nie chcesz iść z nami, powinieneś przynajmniej...

- Nie mogę powiedzieć wam tego, do czego powinniście dojechać sami.

Przysunąłem się powoli do niego, potem gwałtownie sięgnąłem i pochwyciłem jego ramię.

- Sądzę, że jestem w stanie to wytrzymać - powiedziałem - ale ty pójdziesz ze mną. -

Zacisnąłem dłoń na jego zimnej, pokrytej pulsującymi żyłami ręce. Próbował się uwolnić, po sekundzie jednak zrezygnował.

- To bardzo niekulturalne - powiedział. Pojawiło się dwóch dalszych Bawexian.

Wzmocniłem uścisk.

- Ludzie bywają porywczy, a czasami nawet bardzo brutalni - powiedziałem. Przewrócił kilka razy oczami i spojrzał na mnie.

- No dobrze, waszego dziekana tu nie ma. Opuścił to miejsce, zanim tu dotarliśmy. Nie zwalniałem uchwytu.

- Skąd mogę wiedzieć, że nie kłamiesz?

- Nigdy nie kłamię. Nie umiem kłamać.

- Chyba to prawda - potwierdził B'oosa. - Zjeżdżajmy stąd jak najszybciej.

- Poczekaj - powiedziałem. - Ta atmosfera wyraźnie mu nie odpowiada. Może przetrzymać go tutaj, dopóki nie powie nam, gdzie powinniśmy pójść.

- Nie mogę powiedzieć wam tego, do czego powinniście dojść sami.

- Ta akurat zasada nie jest nie do ominięcia.

- Mogę przebywać tu w nieskończoność.

- A ja przez trzydzieści godzin. Odpowiada ci to?

- Nie zrobisz tego.

Niestety była to prawda. Mój żołądek mię wytrzymałby nawet godziny. Próbowałem ukryć to przed nim, powtarzając w myślach w kółko: Do cholery zrobię to, do cholery zrobię to, do cholery...

- Dobrze, jeszcze jedna wskazówka, ale przyrzeknij, że nie posłużysz się już więcej przemocą.

- Przyrzekam... jeśli wskazówka okaże się użyteczna.

- Wasz dziekan zniknął na poziomie dziewiątym. Nic więcej już wam nie powiem.

Spojrzeliliśmy na siebie, skinęliśmy głowami i wszyscy popędziliśmy do służy. Gdy wsiadaliśmy do sań, Lingwista zatrzymał mnie.

- Poczekaj - powiedział. - Tam wewnątrz oszukałeś mnie, nie wytrzymałbyś już dłużej.

Celowo zmyliłeś moje telepatyczne zmysły?

- To prawda, ale zagrożone jest życie człowieka.

- Wspaniały dowcip. - Zakrył twarz i wydał ten swój cholerny gwizd. - Wy, ludzie, rozwiniecie już wkrótce poczucie humoru.

- Uważasz, że śmierć to coś zabawnego? Czy Lingwiści nigdy nie umierają? Lingwista znów zagwizdał.

- Wy naprawdę już macie poczucie humoru - wykrztusił między gwizdami.

- Nie - zaprzeczyłem. - Jestem jak najbardziej poważny.

- Zawsze poważni. Poważni, porywczy, nieprawdomówni ignoranci. Nie wiem, po co w ogóle was tu zaproszono.

- Proszę... Naprawdę chciałbym wiedzieć.

- Żart przestaje być zabawny, kiedy trzeba go objaśnić.

- Proszę.

- No dobrze. Bardzo rzadko, tylko przypadkowo Lingwista przestaje istnieć w swojej postaci cielesnej. Uważamy ten akt za coś złego, przejaw poczucia humoru w złym guście i nazywamy to działaniem-jak-zwierzę. Podobnie jak wiele innych rzeczy umieranie jest wykonywane rutynowo tylko przez niższe formy życia. Dla nas nie jest czymś szczególnie

interesującym.

- Zatem wasza rasa jest nieśmiertelna?

- Technicznie rzecz biorąc, nie. Żyjąc odpowiednio długo, każdy popełni w końcu błąd, omyłkę w ocenie sytuacji. Błędy się kumulują i prędzej czy później... cóż, rozumiecie sami, działa-jak-zwierzę.

- Więc należy rozumieć, że umieracie jedynie przez przypadek?

- Nie ma czegoś takiego jak przypadek, jest tylko błąd w ocenie sytuacji. Z każdym działaniem związany jest pewien zbiór skutków o określonym prawdopodobieństwie zaistnienia. Wszystkie należy brać pod uwagę. My, Lingwiści, posiadamy zdolność przewidzenia prawie nieskończonej liczby możliwych konsekwencji danego działania. Jeśli tylko wśród możliwych rezultatów określonej akcji istnieje jeden o skończonym prawdopodobieństwie działania-Jak-zwierzę, wybieramy inną. Czy to takie trudne do zrozumienia?

- Nie. - Ciekaw tylko byłem, czy kilka minut temu obliczał prawdopodobieństwo zdarzenia polegającego na pozbawieniu go przeze mnie życia. Zauważyłem, że od tej pory starał się zachowywać bezpieczną odległość.

B'ooosa przyglądał się w saniach planom poziomemu dziewiątego.

- Do której części powinniśmy się dostać?

- Już wam mówiłem, co mogę wam powiedzieć.

Skinął głową, nie odrywając wzroku od mapy.

- Większość tego poziomu jest zamieszkała przez Oomo. Zacznijmy od nich.

Podjechaliśmy jeden poziom w górę i zwolniliśmy, aby skręcić w poprzeczny łącznik.

Na peronie pakowały się właśnie do sań trzy kraby i nawet Przewodnik obejrzał się za nimi ze zdziwieniem. Przyspieszyliśmy i wkrótce zniknęły nam z oczu. Po dwukrotnej zmianie

kierunku dotarliśmy na miejsce. Według kluczy mogliśmy przebywać wewnątrz prawie miesiąc. Informacja dla Przewodnika brzmiała: Nieograniczony czas. Weszliśmy w złocisty krajobraz, zupełnie obcy, ale piękny. Szmaragdowozielone budynki wznosiły się majestatycznie w niebo, a ich błyszczące ściany przyjemnie kontrastowały z ciepłym złotem chmur. Powietrze było lekkie i słodkie, pachnące goździkami i innymi aromatycznymi przyprawami, które podobne do zbóż trawy kołysały się w łagodnych podmuchach wiatru. Bardzo ciche i przyjemne miejsce.

Z pobliskiego miasta, ślizgając się po wierzchołkach traw, zbliżał się do nas pojazd z jednym pasażerem. To co z daleka wydawało mi się śliskimi łuskami, z bliska okazało się lśniąącym futerkiem. Wyglądał jak dziecięca pluszowa zabawka - przyjazny miś z dużymi, brązowymi oczami. Od razu go polubiłem.

- Witajcie, ludzie - powiedział głosem przypominającym szmer strumyka wśród skał.

Zadziwiająco miły głos. - Nieczęsto mamy okazję gościć przedstawicieli waszej rasy. Proszę, czujcie się jak u siebie w domu. Bawcie się i radujcie.

Nie mogło być po temu lepszego miejsca. Lekki wietrzyk przynosił z oddali dźwięki dzwoneczków, a z pobliskiego miasta docierał radosny śmiech. Trudno było skoncentrować się na naszym zadaniu. Obcy wyciągnął rękę i przedstawiając się, dotknął delikatnie każdego z nas. Miał na imię Pagoo.

- Szukamy kogoś - powiedziałem, próbując skupić się na zaginionym dziekanie. - Istota ludzka, niższa ode mnie, czarna, z białymi włosami.

Pagoo uśmiechnął się, promieniując ciepłem.

- Nie widziałem go, ale może w każdej chwili nadejść. Powinniście poczekać.

- To brzmi rozsądnie - powiedział Pancho. - Podoba mi się to miejsce.

Im dłużej o tym myślałem, tym lepsza wydawała mi się ta propozycja. To przyjemne

miejsce, dziekan wcześniej lub później musi się gdzieś pojawić, a my możemy tu na niego poczekać. Aromatyczne powietrze i odległe dzwoneczki wpływały uspokajająco. W takim miejscu można było zapomnieć na chwilę o kłopotach. Tak, należy poczekać. Dziekan przyjdzie, a my czekając, możemy spędzić przyjemnie czas. Skinąłem na Pancho i spojrzałem na pozostałych. Miko i Alegria biegali po złotej łące, śmiejąc się beztrąsko. B'oośa pochylony podziwiał z bliska piękny kwiat i wyglądał na szczęśliwego. Co za wspaniały świat! Pagoo robił wrażenie zadowolonego z naszej decyzji. Mówił, że będzie wielkie święto ze śpiewami, tańcami i śmiechem, może trwać długo - godziny, dni, tygodnie, czas nie ma znaczenia. Są szczęśliwymi istotami i najbardziej lubią dzielić się tym szczęściem z innymi. Niezwykły to przypadek, że odwiedziło ich tylu ludzi naraz i cieszą się z tego. Im dłużej rozmawiałem z Pagoo, tym bardziej czułem się szczęśliwy. Były to naprawdę cudowne, przyjazne istoty.

Podszedł do nas B'oośa. Zauważyłem, że zerwał kwiat i nieświadomie dotyka nim twarzy. Podbiegł Pancho i przyjacielsko klepnął go po ramieniu. Obaj uśmiechnęli się, ale na twarz B'oośa natychmiast powrócił wyraz z troskowania.

- Coś mnie martwi, Carl - zaczął.

- Co cię martwi? Przecież jest wspaniale!

- W tym problem. Mamy kłopoty, powinniśmy coś zrobić, aby odnaleźć dziekana. Nie jest wcale wspaniale.

- Więc dlaczego się tak świetnie czujemy?

Pagoo nastroszył sierść, a mnie omal nie zwała z nóg wszechogarniająca fala dobrego samopoczucia. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się taki zadowolony.

- A ty nie czujesz się szczęśliwy? - spytałem.

- Tak... ale...

Powtórnie napłynęła fala czystej, absolutnej radości. Chciało mi się krzyczeć ze szczęścia. B' oosa miał dziwnie napięty wyraz twarzy, jakby toczył z kimś lub czymś wewnętrzną walkę. Czy on nie może się odprężyć i dołączyć do nas? To przecież takie łatwe. Nawet Przewodnik... Nie, to akurat nie było prawdą. Już dawno straciłem go z oczu, gdzie on może być? Rozejrzałem się wokół i ujrzałem go niedaleko wejścia. Nie wyglądał na szczególnie rozbawionego, ale po nich w ogóle trudno coś poznać.

- Musimy stąd iść - wystękał B' oosa. Pot spływał mu po zaciśniętych szczękach. - To... bardzo... ważne. Musimy... stąd... odejść. - Zaciskał kurczowo pięści i ciężko wciągał powietrze między poszczególnymi słowami.

Nie mogłem zrozumieć, co go tak męczy. Stawał się coraz bardziej spięty, aja czułem się beztroski i na luzie.

- Nie ma pośpiechu - powiedziałem. - Możemy tutaj poczekać na dziekana i wrócimy razem z nim.

- On nie przyjdzie! Nie widzisz tego? To pułapka, śmiertelna pułapka. Jeszcze chwila i nigdy stąd nie wyjdziemy!

Niewiele mnie obchodziło, czy wyjdziemy, czynie. Kłopoty oddaliły się tak daleko, że przestały w ogóle istnieć. Dlaczego mielibyśmy dożywać naszych dni w Jakimś gorszym miejscu? A poza tym, możemy w każdej chwili odejść, nikt nas tutaj nie trzyma siłą.

B' oosa pochwycił Pancho, nie bardzo rozumiałem w jakim celu, ale Pancho nie protestował, tylko śmiał się, gdy olbrzymi Maasai'pian zarzucił go sobie na plecy i poniósł w kierunku wyjścia. Wzruszyłem znacząco ramionami do Pagoo, czasami nie można zrozumieć zachowania innych. Zostało mi to wynagrodzone przez nagły napływ rozkoszy. Roześmiałem się, a wiatr poniósł moją radość innym.

B' oosa wrzucił Pancho do śluzy i właśnie próbował złapać Miko, któremu ta zabawa

sprawiała wyraźną radość. Obiegali nas po dużym okręgu i Miko pokrzykiwał radośnie za każdym razem, kiedy udało mu się wymknąć. Oklaskiwałem ich obu, myśląc przy tym, że to bardzo miło, gdy gra nie ma zwycięzców, bo nie ma wtedy również przegranych i związanych z tym nieprzyjaznych uczuć. Już nigdy nie powinno być żadnych nieprzyjaznych uczuć. Wkrótce różnica w długości nóg zrobiła swoje i B'osa schwycił Miko, który wcale nie stracił przez to dobrego humoru i nie miał nic przeciwko dołączeniu do Pancho.

Z rozbawieniem, ale już bez emocji, przyglądałem się jak B'osa wraca po Alegrię.

Taka głupawa gra. Gdy ją odprowadził, stanął przede mną.

- Muszę to zrobić, Carl - powiedział poważnym głosem.

Roześmiałem się. To przecież takie głupie. Powinien przecież raczej sprowadzić wszystkich z powrotem, żebyśmy się mogli razem cieszyć. Podszedł bliżej i wyglądał tak zabawnie z tą ponurą miną, że nie mogłem powstrzymać śmiechu. Spróbował uderzyć mnie, ale uchyliłem się i tańcząc, odbiegłem od niego. Zacząłem naśmiewać się z niego. To przecież dziecięca zabawa. Sama radość. Podpuściłem go bliżej, a potem wykorzystując przewagę długości rąk, odepchnąłem. Wyglądał na tak zawiedzionego, że naprawdę mnie rozbawił. Jakoś udało mu się podłożyć mi nogę. W porządku, ziemia była miękka, przecież tutaj nic nie mogło spowodować bólu. Skoczył na mnie i rozpoczęliśmy zapasy. Uwielbiam zapasy. Połaskotałem go, a on zamiast zrobić to samo, schwycił mnie za szyję i przycisnął mocno do ziemi. Dlaczego on mi to zrobił? To boli. Nie chcę, żeby bolało. Poza tym wszystko w porządku. To boli. Poza tym wszystko zapada w ciemność.

* * *

Czułem się okropnie. Pajęczyny na mózgu i żużel w ustach. Ktoś mówił do mnie. Z wysiłkiem otworzyłem oczy.

- Przykro mi, Carl - powiedział głos. - Ale to był jedyny sposób.

Głos należał do B'oose. Podciągnąłem się do pozycji siedzącej i rozejrzałem wokół.

Byliśmy na peronie. Czuję się jakby mi rozłupano głowę na pół.

- Rozumiesz, jakiego rodzaju to była pułapka? - spytał B'oose.

Chciałem potrząsnąć głową, ale ból był zbyt dotkliwy.

- Załatwiłeś mnie odmownie - powiedziałem.

- Musiałem. Trzymaliby nas tam tak długo, aż byśmy pozdychali ze szczęścia.

- W jaki sposób?

- Zostaliśmy uwiedzeni. Uwiedzeni w dobre samopoczucie i bezgraniczne szczęście. To były zabiegi zarówno fizjologiczne, jak i psychologiczne. Oomo są niezwykle biegli w tego typu działaniach. - Spojrzał gniewnie na Przewodnika. - Lingwiści wiedzą o tym od dawna.

- Dlaczego nas nie ostrzegłeś? - zapytałem.

- To nie należy do moich obowiązków i nie mogę wam mówić tego, do czego powinniście dojść sami.

- To zakończyłoby się naszą śmiercią - powiedział B'oose.

Przewodnik znowu zaczął gwizdać. Mógłbym go zabić.

- Klucze, którymi nas obdarowaliście zupełnie dobrze ostrzegają przed niebezpieczeństwem zagrażającym naszym ciałom. Dlaczego nie ostrzegają nas przed innymi niebezpieczeństwami?

- Jakimi niebezpieczeństwami? Nie widziałem żadnego zagrożenia.

- My uważamy, że manipulacja psychiką stanowiła zagrożenie. Powinniśmy zostać ostrzeżeni.

- Stabilność emocjonalna i odporność psychiczna jest wysoce zmienna nawet w obrębie jednego gatunku. Próby ustalenia indywidualnego progu byłyby zupełnie bezowocne. Wasz przyjaciel zdołał sam wyzwolić się spod ich wpływu.

- To nie było łatwe - odparł B'oosa.

- Kto powiedział, że ma być łatwe? Wy, ludzie, jesteście niewolnikami swoich uczuć.

Wydaje mi się to śmieszne, pochłania czas i często prowadzi do samozniszczenia. Jesteście niemal równie beznadziejni jak Oomo, którzy całkowicie zatracili się w swoich uczuciach. W momencie, gdy odkryli, jak można utrzymać się w stanie permanentnego zadowolenia i szczęścia, przestali rozwijać się jako rasa. Od ponad pięciuset lat tylko się śmieją i... wywołują śmiech u innych.

Pomimo tego co niedawno przeszliśmy, nie odważyłbym się powiedzieć, że obrali zdecydowanie złą drogę. Być może postęp zatrzymał się dla nich, ale przynajmniej byli szczęśliwi. Widziałem wielu ludzi nieustannie próbujących osiągnąć coraz wyższy poziom, a pomimo to wiecznie nieszczęśliwych. Kto ma prawo oceniać, co jest lepsze? W każdym razie nie ja.

B'oosa pomagał Pancho stanąć na nogi. Przez peron przemknęły sanie wypełnione krabami. One naprawdę zaczynały się ruszać.

- Znaleźliśmy się w ślepych zaułku - powiedziała Alegria. - Czy ktoś zna odpowiedź na pytanie, dokąd powinniśmy się teraz udać?

Nikt z nas się nie odezwał i nie należało się tego spodziewać po Przewodniku. Gdy spoglądałem w ślad za saniami znikającymi w tunelu, coś przyszło mi do głowy.

- Dlaczego ostatnio pojawiło się tu tyle krabów? - zapytałem Przewodnika. - Myślałem, że zwykle przebywają stale w jednym miejscu.

- Bo tak zwykle jest - odpowiedział. - Znamy osobniki przebywające samotnie w jednym sektorze przez stulecia.

- Więc dlaczego raptem tak wielu zaczęło podróżować saniami?

- Nie wiem. Ich działania są całkowicie nieprzewidywalne. Nie wiemy o nich prawie

nic, z wyjątkiem tego, że są rasą myślącą. Nigdy nie porozumieli się z żadnym z nas, a my nie potrafimy dotrzeć do nich telepatycznie i nie wiemy, czy ich niekomunikatywność wynika z braku możliwości, czy z braku chęci.

- Myślę że powinniśmy pójść za nimi.

- Dlaczego? - spytał Miko.

- Dlaczego nie? - odpowiedziałem. - Ma ktoś lepszy pomysł?

Nikt nie miał. Kończyły nam się wszelkie pomysły. Wsiedliśmy do sań i Przewodnik zawiózł nas do sektora krabów. Tak jak się spodziewałem, był to jeden z tych obszarów, przez które sanie przejeżdżały nieprzezroczystym tunelem. Kilka sani zniknęło właśnie w śluzie.

Wsunąłem swój klucz i dowiedzieliśmy się, że mamy do dyspozycji niecałe cztery dni.

Lingwista, jak zwykle, mógł przebywać tam w nieskończoność. Wydaje się, że Lingwiści i kraby mogą chodzić, gdzie tylko zechcą.

Weszliśmy razem. B'oosa otwierał, a Przewodnik zamykał grupę. Pancho, który szedł obok mnie, jakby zdążył po drodze zmienić zdanie.

- Nie podoba mi się ten pomysł i nie podobają mi się kraby. Poza tym, nie mogły zabrać dziekana wbrew jego woli. Są na to za słabe. Ledwo dają sobie radę ze sobą.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wewnętrzne drzwi rozsunęły się i wkroczyliśmy na terytorium krabów. Pod nogami nie mieliśmy ziemi ani skał, tylko dobrze znajomą, metalową konstrukcję planety, a zamiast nieba pod sufitem krzyżowały się gołe belki i dźwigary.

Rozrzedzone, suche powietrze było dokładnie takie samo jak we wszystkich nie zamieszkanym sektorach Construct. Spytałem o to Przewodnika.

- Nigdy nie otrzymaliśmy od nich żadnych danych, na podstawie których moglibyśmy odtworzyć atmosferę ich rodzimej planety. Nie wiemy nawet, gdzie się znajduje. Przybyli na statku kosmicznym, który zniszczyli zaraz po wylądowaniu. Nie wiemy o nich nic.

Ja wiedziałem o nich tylko tyle, że wpływają źle na moje samopoczucie. Wystarczył jeden lub dwa, a tu ich były setki. Mrowiły się na metalowej podłodze w absolutnej ciszy, wywołując dziwnie nieprzyjemne wrażenie. Poczułem się nieswojo i po plecach przeleciały mi ciarki. Zaczynałem rozumieć Pancho. Kilka kolejnych krabów pojawiło się przy wejściu i przemknęło obok, wyraźnie nie zwracając na nas uwagi. Dobry znak. Przynajmniej nie interesowaliśmy ich jako pożywienie.

W tej olbrzymiej hali z metalowym sufitem-niebem czułem się jak karzeł. Trudno było mi się odnaleźć w tej nieczłowieczej skali. To co zupełnie nie przeszkadzało mi w innych sektorach, gdzie były chmury i wytwory obcych cywilizacji, tutaj potęgowało wrażenie obcości.

- One wszystkie zmiierzają w jednym kierunku - powiedział B'oosa.

Pomimo pewnego zawirowania wokół nas, prawdziwym celem wszystkich stworzeń była rzeczywiście niezbyt odległa ściana. Ruszyliśmy zatem w jej kierunku. W miarę zbliżania się do ściany tłum wokół nas gęstniał i pomimo że staraliśmy trzymać się razem, było nam coraz trudniej posuwać się wśród krabów. Przestaliśmy się nimi przejmować i odwzajemnialiśmy uczucia przynajmniej w tym sensie, że jeśli któryś wpadał niespodziewanie na nas, odskakiwaliśmy, a jeśli nam zdarzyło się potrącić kogoś, on się odsuwał. Wkrótce dotarliśmy w pobliże ośrodka tego zamieszania. Dojrzałem, że był nim stojący na podwyższeniu krab uniesiony na tylnych nogach nad czymś, co leżało przed nim. Wsparłem się o B'oosa, aby się lepiej przyjrzeć. To był dziekan M'Bisa. Leżał rozciągnięty na podwyższeniu, zupełnie nagi. Na jego ciele nie zauważyłem żadnych śladów skaleczeń, ale też nie umiałem powiedzieć, czy jeszcze oddycha. B'oosa też go rozpoznał.

- Trzeba coś zrobić - powiedział.

Odwróciłem się do Przewodnika.

- Czy on jeszcze żyje? Co oni mu zrobili?

- Żyje. Niezupełnie wprawdzie, ale żyje. Jego ciało nadal funkcjonuje, lecz świadomość odeszła.

- Co to znaczy, świadomość odeszła? Co masz na myśli?

- Nie zapominaj, że jestem w pewnym stopniu telepatą i potrafię odczytać myśli powierzchniowe większości żywych istot, w tym zwłaszcza ludzi. U dziekana nie wyczuwam żadnych myśli, jego umysł jest pusty. - Odwrócił się do wyjścia.

- Dokąd idziesz? - spytałem. - Potrzebna nam twoja pomoc!

- To nie należy do moich obowiązków. Sytuacja jest niezwykle, nigdy dotąd nic podobnego się nie wydarzyło i widzę niezwykle wysokie prawdopodobieństwo poniesienia uszczerbku zarówno fizycznego, jak i psychicznego, gdybym tu pozostał. Dlatego decyduję się odejść. - Wszedł w tłum krabów i skierował się do wyjścia.

- Bierzemy dziekana? - zapytałem B'oose. Skinął głową.

- I wiejemy jak Przewodnik, tylko szybciej. Przysunęliśmy się do Pancho, Miko i Alegrii.

- Jak dotąd nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi - zauważył B'oose. - Proponuję po prostu podejść i zabrać go. Jeśli rozpoczną walkę, będziemy bić się, jeśli nie, uciekamy - mówił szeptem, pomimo że kraby pozbawione były chyba również słuchu. - Wiemy, że nie są silne i nie sądzę, by były szybkie. Powinno się nam udać. Nie mamy czasu, żeby się zastanawiać, a tym bardziej żeby wracać po pomoc na statek.

To była prawda. Wyglądało na to, że dziekan przewidziany jest dzisiaj jako danie główne i że obiad wkrótce się zacznie. Nie było czasu na wymyślanie skomplikowanych rozwiązań. I może one rzeczywiście nas nie widzą.

- Idziemy - powiedział Pancho. Zrobiliśmy kółko i zbliżyliśmy się do podwyższenia od tyłu. Tam był mniejszy tłok.

- Ja zajmę się krabem. Ty, Carl, porywasz dziekana. Alegria, Miko i Pancho bądźcie gotowi przepędzić każdego, który się do nas zbliży.

Trudno było nazwać to skomplikowanym planem, ale nie mieliśmy żadnego innego.

Podeszliśmy do podwyższenia, nie wywołując najmniejszego poruszenia, tak jakbyśmy dla nich zupełnie nie istnieli. B'osa wskoczył pierwszy, ja tuż za nim.

Dziewkan leżał na małym stole, a pochylony krab dotykał go kończynami. Ruszyłem w jego kierunku. Prawie się nam udało. Gdy byłem zaledwie o dwa kroki od dziekana, krab po raz pierwszy dał poznać po sobie, że mnie zauważa. Wyprostował się i zwrócił w moją stronę kilkoro oczu na słupkach. Zostałem zatrzymany w pół kroku. Mimo że każdy mięsień mojego ciała chciał wykonać te brakujące dwa kroki, nie byłem w stanie zrobić najmniejszego ruchu.

Nie mogłem oddychać. Nawet moje serce przestało pracować. Tak mi się przynajmniej wydawało. Zdawałem sobie sprawę z zimnego dotyku, nie fizycznego, lecz sięgającego w głąb mego umysłu, mojego ja. Widziałem dziekana i myślałem o tym, co powiedział Przewodnik.

“Jego świadomość odeszła”. Co będzie ze mną? B'osa leżał zwinięty w kłębek. Nie oddychał. Stawiając niepewne kroki, krab zbliżał się teraz do mnie, cicho stukając odnóżami o metalową podłogę. Podeszedł i dotknął mojego czoła zimnymi szczypcami. Z każdą chwilą stawałem się coraz słabszy, świat wirował mi przed oczami. Chciałem zamknąć powieki, lecz brakowało mi sił, odbierano mi wszystko, a ja nie mogłem się temu przeciwstawić. Mój umysł walczył jeszcze, ale przegrywałem.

Nie pamiętałem imienia mojego ojca. Nie pamiętałem imienia mężczyzny leżącego na podłodze. Przecież powinienem je znać.

Nie pamiętałem, po co tu przyszedłem. Nie pamiętałem... Nie...

V

Podział. Jedno staje się wielością. Wymiana protein, wymiana życiodajnych sił. Woda, świat.

Wieloświadomość. Poszukiwanie życia, światła, schronienia, pożywienia. Rzeczy wchłonięte stają się częścią

całości. Jedność w różnorodności Z wody do gwiazd w trylionach pokoleń. Wszystko pochodzi od matki-komórki -

niech będzie błogosławiona, błogosławiona na wieki wieków jak było na początku. I niech tak będzie zawsze. Moje

rozproszone siostry wypełniają nasz świat, wypełniają wszechświat Śpiewają pieśń o wieczności. Dołączam do

nich przez lata.

* * *

Zniszczyć całkowicie niedobre życie. To rozkaz, słowo od wojownika-serca. To najważniejsze zadanie.

Wszystko musi upaść przed naszą potęgą. Dobre życie zawładnie wszystkimi ramionami Galaktyki. Pamiętam.

Pamiętam...

* * *

Wychodzę ze skrzyżowania przestrzeni w system gwiazdny, siedzibę Larbach. Odmówili podporządkowania się

naszej oczywistej wyższości. Trwali w swym uporze przez dwie setki obrotów i nadszedł, w końcu rozkaz od

wojownika-wodza. Anihilować. Z dumą kieruję statek i naciskam przycisk. Drażnię ich słońce, wprowadzam je w

szal. W wyniku tej prostej akcji ginie sto miliardów ludzi. Wspaniale zwycięstwo. Nikt nie zdążył nawet wystrzelić

w naszym kierunku. Sto miliardów ludzi. Żałuję, że nie było ich więcej. Pamiętam...

* * *

Dobre życie zawładnie wszystkimi ramionami Galaktyki. Wszystko musi upaść przed naszą potęgą.

To

najważniejsze zadanie. Nienawiść i śmierć niedobremu życiu.

Taki piękny kwiat. Piękny, piękny kwiat. Ładny kwiat, szczęśliwy kwiat. Taki piękny kwiat.
Szczęśliwy

kwiat. Taki piękny... Taki piękny... Taki piękny...

$$\begin{aligned}\frac{\overline{dZ}}{dc} &= f_x \frac{\overline{dx}}{dc} + f_y \frac{\overline{dy}}{dc} + [c - g(\bar{x}, \bar{y})] \frac{\overline{d\lambda}}{dc} + \bar{\lambda} (1 - g_x \frac{\overline{dx}}{dc} - g_y \frac{\overline{dy}}{dc}) \\ &= (f_x - \bar{\lambda} g_x) \frac{\overline{dx}}{dc} + (f_y - \bar{\lambda} g_y) \frac{\overline{dy}}{dc} + [c - g(\bar{x}, \bar{y})] \frac{\overline{d\lambda}}{dc} + \bar{\lambda} \\ &\frac{\overline{dZ}}{dc} = \bar{\lambda}\end{aligned}$$

Swoboda. Unoszą mnie wiatry. Moje sity są pełne, a jedynym moim zmartwieniem są świerszcze
podszczypujące moją lotną pianę. Aby temu zaradzić, musiałbym pozostawać w cieniu, przykleić
się do chmur. Ale

co to za radość? Trzeba żyć, cieszyć się. Życie nie może być szare jak ziemia. Snuję swój poemat w
wiatr, a wiatr

poniesie go mojemu rodzeństwu. Pochylam się w ostrym skręcie i ogarnia mnie słońce. Ech, życie.
Co za radość.

Cienie i błyski światła. Coś się przesuwa. Dźwięki dochodzą do mych uszu. Dźwięki
nie mają sensu. Łatwiej było odpoczywać. Znacznie łatwiej.

* * *

Praca. Praca wypełnia nam pełen cykl. Nadzorca nakazuje: zrób to, zrób tamto. Robimy to, co nam każą.

Jesteśmy dobrymi pracownikami. I co za to otrzymujemy? Nędzne porcje pożywienia i kruchy pręt, na którym

wisimy w nocy. Mówię wam, to nie jest uczciwe. Jest przecież lepsze życie. Wiem, że nie należymy do wysoko

urodzonych, ale musi być jakaś sprawiedliwość. Chciałbym jeszcze kiedyś ujrzeć światło dzienne. Przeklinam

ojca, mojego ojca, który sprowadził nas w to miejsce.

* * *

Nie pozwolą mi zdechnąć, dopóki nie wyciągną ze mnie ostatniego pieprzonego peso. Spuszczą ze mnie

krw, gdy będą mogli. Ale nie przyjdzie im to łatwo, czeka ich ciężka walka. Stary Markos nie poddaje się tak

łatwo.

* * *

00101110000101011010101001101001010010001010100

10101001010010111010101110101010111010001111100

001010101010001011101010100010100110111010101010

10111011100010100101010

* * *

Zrobiłem go własnymi rękami Zostawiłem w nim cząstkę swojej duszy, zawarłem tam również sedno

duszy gwiazdy. Nadaję mu kształt i błogosławię mu. On poprowadzi twój statek przez przestrzeń. Weź go i używaj

dobrze. Kosztował mnie wiele. I gwiazda, i ja jesteśmy teraz zubożeni o to, co oddaliśmy, ale przez ten fakt staliśmy

się również bogatsi Używaj go dobrze i dbaj o niego.

* * *

Byłem przenoszony. Nie mogłem powiązać faktów, nie miałem żadnego punktu odniesienia. Światło raziło mnie w oczy, zamknąłem je i odpłynąłem.

* * *

SUBKRystaliczny SYSTEM MONITOROWANIA PIĘĆ SIEDEM JEDEN,
POWTÓRZ, POWTÓRZ, POWTÓRZ. WSPÓŁCZYNNIK RYZYKA ZAGRAŻAJĄCY
PODTRZYMANIU ŻYCIA. PODNIEŚĆ I UTRZYMAĆ. POZIOM LITU DZIEWIĘĆ
PONIŻEJ OPTYMALNYCH NASTAW. DOSTOSOWAĆ, DOSTOSOWAĆ, DOSTO-
SOWAĆ, DOSTOSOWAĆ, DOSTOSOWAĆ.

* * *

- Szajs, Springer! Nie masz nic lepszego do roboty niż rozwalać się tutaj jak stara baba?
Zbieraj dupę w troki i zacznij ruszać nogami! No już! Ruszaj się!

* * *



Musisz zrozumieć, że nie żywię do ciebie nienawiści W moim życiu nie ma miejsca na nienawiść, tylko

że nie jesteś taki jak ja. Ja i mój gatunek musimy się rozwijać, a ty stoisz nam na drodze. Gdybyś był kamieniem

odsunąłbym ciebie, jesteś jednak istotą żywą, potencjalnie mi zagrażającą, więc muszę cię zabić. Nie odczuwam

przy tym ani żalu, ani przyjemności. Po prostu muszę to zrobić. Z pewnością to rozumiesz. To

wybór między tobą a

mną: wybieram siebie.

* * *

- Carl, słyszysz mnie? Carl? Ściśnij moją rękę, jeśli słyszysz.

* * *

* * *

- *Na Selvie niemal rodzimy się z bólu w ręce. Jestem w tym dobry, zanim wstąpiłem do Starschool byłem mistrzem naszego miasta.*

* * *

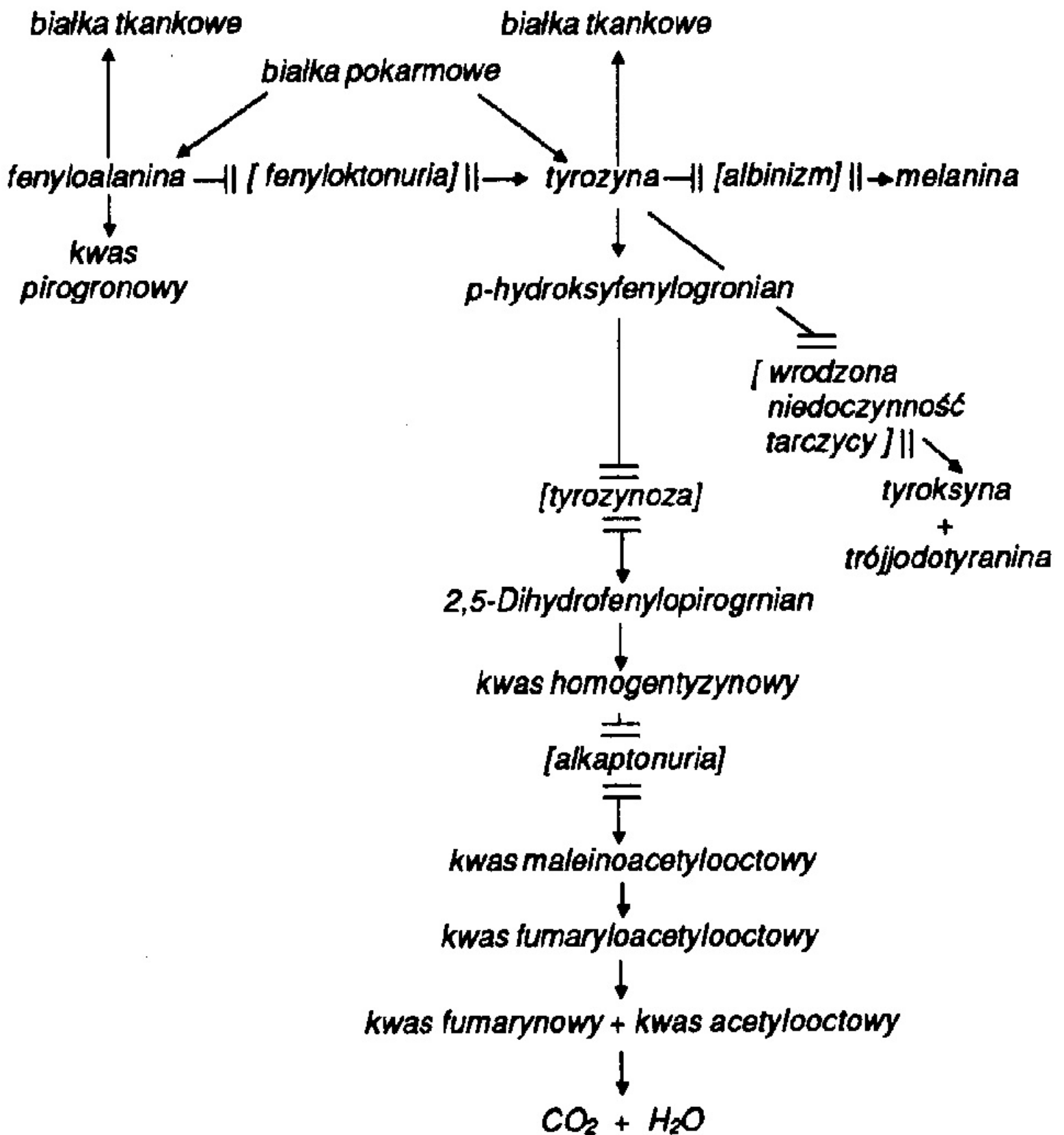
- *Jedni ryzykują więcej, drudzy mniej. Życie w ogóle nie jest łatwe. Na Maasai'pya wiedza ta spływa*

wcześnie. Mój brat był młodszy od ciebie, gdy zginął.

* * *

Maasafpya: miejsce. Starschool: statek. Selva: miejsce. B'ooosa: nazwisko. B'ooosa: przyjaciel. Ktoś, na kim można się oprzeć.

* * *



- Tu pieśń-na-skrzydłach. Podchodzę do zielonego pasa na wyznaczonej wysokości
- Prędkość siedem pięć.
- Zezwalam na lądowanie, pieśń-na-skrzydłach.

Zakurzony krajobraz pojawia się podę mną, podwójny księżyc zostaje daleko w tyle. To dobry statek i wiele razem przeszliśmy, silniki płynnie odpowiadają, gdy dotykam przełączników. Mniejszymi czułkami dostosowuję program podejścia. Dostrzegam już srebrne miasto i płuca wypełnia mi radość, radość też przepęlnia me serce. Wydaję dźwięki szczęścia. Po tak długiej podróży jakże dobrze jest wracać do domu. Och, dom!

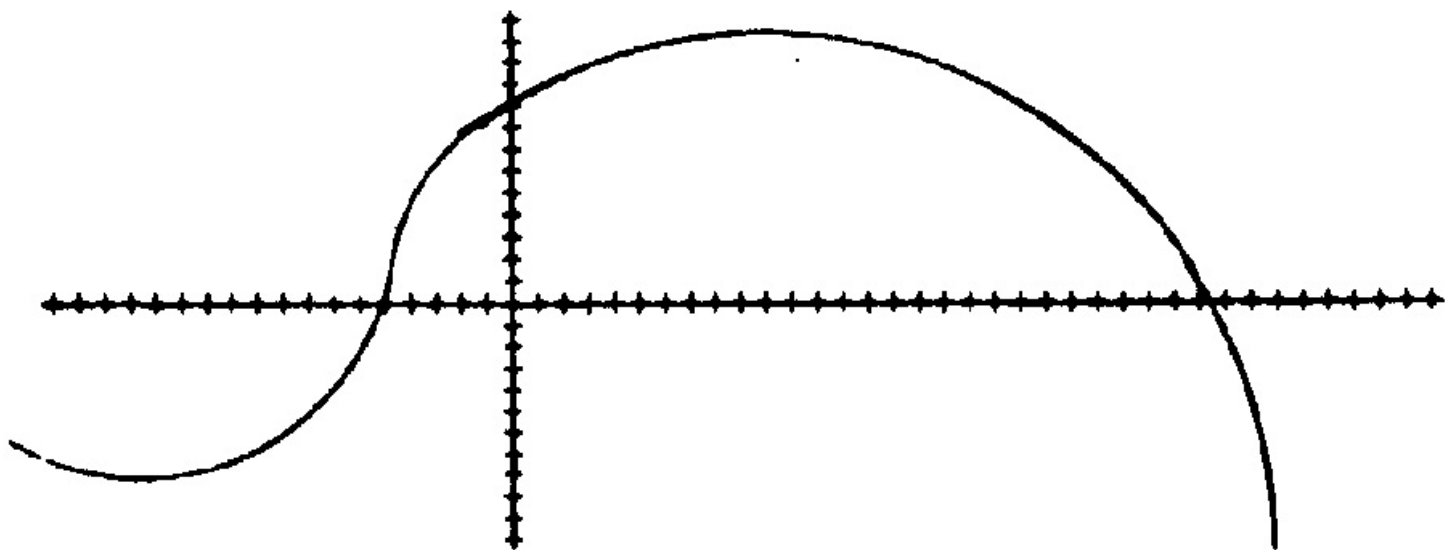
* * *

Dom: Springworld. Miejsce: planeta. Dom.

* * *

* * *

- *Optymalna trajektoria wybierana jest w ten sposób, by straty energii kinetycznej*



andar	ando	andaré	anduve	andado	
caber	quepo	cabré	cupe	cabido	
dar	doy	daré	dí	dado	DISC::SCROLL ONE
estar	estoy	estaré	estuve	estado	
jugar	juego	jugaré	jugué	jugado	
venir	vengo	vendré	vine	venido	

spowodowane siłą przy ciągnięcia równe byty stratom wynikającym z oporu powietrza. Czy to jasne, uczniowie?

Kretyni. Myślą tylko o żarciu, podczas gdy ich wszystkie centra nerwowe powinny się zajmować wyłącznie lotem kosmicznym. Jak można się spodziewać, że uda mi się przekształcić tych idiotów w rasowych

pilotów. To chyba najgorszy sposób zarabiania na życie. Gdybym tak mógł znowu znaleźć się w przestrzeni.

* * *

Klasa. Starschool. Dziekan. Dźwięk głosu. Ktoś mówi do mnie. Słowa przelatują przeze mnie jak wiatr. Nie niosą żadnych treści.

* * *

* * *

* * *

CARL! CARL! CARL! CARL! CARL! CARL! CARL!

* * *

Osiągnąć równowagę. Musiałem znaleźć taki punkt, od którego mógłbym zacząć. Były tam: porządek/chaos, szczęście/smutek, wiedza/ignorancja, miłość/nienawiść, wojna/pokój: yin i yang wypowiedane tysiącami głosów i wszystkie naraz były częścią mnie. Jednak ciągle gdzieś głęboko wewnątrz było specjalne miejsce: Carl Bok ze Springworld. Pod pewnymi względami był taki jak inni, pod innymi zupełnie wyjątkowy. Poszukiwałem go.

* * *

- Carl, słyszysz mnie?

Głos. To B'osa. Inny głos to dziekan. Nie wiem, jak dużo czasu przeminęło, ale nie ma to żadnego znaczenia. Żyłem. Oni też. Wszyscy przeżyliśmy i wyrosliśmy. Poddano nas przemianie, nasycono myślami pochodzącymi z nieskończonej wielości planet. Jesteśmy inni.

Jesteśmy tacy sami.

- Carl. Proszę, słyszysz mnie? - to B'oose.

- Tak, przyjacielu - odpowiadam cicho. Uchylam powieki i spoglądam mu w oczy. -

Słyszę cię.

Jestem z powrotem na pokładzie Starschool. Wracam do domu.

SPRINGWORLD

Starschool IV

Program nauczania - Springworld

Tego roku Springworld zostaje po raz pierwszy włączona w program podróży Starschool. Głównym powodem, któremu zawdzięcza ona ten nagły wzrost zainteresowania, są szybkie i powszechne zmiany, jakie nastąpiły na tej planecie w wyniku kontaktu z Ba'torset'uon - krabami z Construct.

Cała Confederation skorzystała z lawiny informacji, która została przekazana ludzkości podczas wizyty Starschool II na Construct. Ale jak dotąd najbardziej niezwykłym dowodem ich znaczenia dla ludzkości jest zupełne przekształcenie środowiska planety niegdyś najbardziej wrogiego ze wszystkich, jakim przyszło stawić czoła kolonistom...

I

Obserwowałem, jak oddalają się powoli od mego domu, schodząc w dół krętą ścieżką: młodzi, wysocy, jeszcze dziecięco niezgrabni - nowe, szybko rosnące pokolenie, tu urodzone i tu wychowane. Przychodzą co tydzień, aby posiedzieć i pogadać przez parę godzin. Zupełnie bez sensu. Przecież i tak większość z tego, co im opowiadam, mogą znaleźć w bibliotece.

Stałem na zewnątrz na werandzie do chwili, aż zniknęli mi z oczu. Na zewnątrz domu ponad powierzchnią gruntu. Ostatnie dziesięć lat przyniosło duże zmiany. Zmiany na Springworld, zmiany w nas, zmiany niemalże wszędzie. Wszystko w wyniku kontaktu z Construct. Gdy tylko zdaliśmy sobie sprawę z tego, co nam się przytrafiło, szybko wkroczyła Confederation. Mieli dosyć dziwaczny pomysł, by potraktować nas jak supertajne dokumenty, i przekazując z rąk do rąk ekspertom, rozłożyć nasze mózgi na części pierwsze. Na szczęście im się to nie udało. Z kilku powodów. Byli dosyć rozczarowani.

Nadal nie wiemy, czym jest naprawdę Construct i w jakim celu ją zbudowano. Należy sądzić, że powstała jako miejsce wymiany informacji, ale

Lingwiści - jeśli to było ich celem - okazali się zwykłymi amatorami w porównaniu z krabami.

Kraby nie odznaczały się najlepszymi manierami, informacje zbierały w sposób może brutalny, ale za to niezwykle efektywny. Wyciągały z napotkanych istot najdrobniejszą myśl, świadomą czy nieświadomą, pozostawiając całkowicie pusty umysł i włączały zdobytą w ten sposób wiedzę w zbiorową świadomość swojej rasy. Potem, jakby po namyśle, zwracano to, co przedtem zabrano. W tej części kraby były jednak zbyt dokładne, występował znaczny nadmiar informacji.

Dostałem oczywiście z powrotem całego Carla Boka, którego pożyczycy, przynajmniej tak mi się wydaje. Nie mam sposobu, aby to sprawdzić, jednak jak dotąd nie wykryłem żadnych

ubytków wiedzy czy białych plam w mej pamięci. Wprost przeciwnie, walnęli mnie po łbie zupełnie czym innym: nadmiarem. Były to oderwane informacje, strzępy wiedzy zdobytej przez kraby od wszystkich ras, z którymi zdążyli się “skontaktować”. Fragmenty jasne i w pełni zrozumiałe przemieszane z bezużytecznymi śmieciami pojawiły się jako “zakłócenia” podczas transmisji powrotnej naszej osobowości. Pomimo to istniały w nas tak samo jak nasze dotychczasowe życie, wiedza i doświadczenie. I właśnie na tych fragmentach zależało Confederation, ponieważ Confederation poszukiwała broni. A broni tam nie było, a przynajmniej myśmy jej nie dali, co na jedno wychodzi. Większość tego, co nam przekazano, stanowiły sprawy osobiste, codzienne. Ludzkość nie jest we wszechświecie jedynym gatunkiem kierującym się w życiu emocjami, wprost przeciwnie. Znam teraz tysiąc sposobów odczuwania miłości, wiem, co czują żeglarze, jak tęsknią jednostki oddalone tak, że upływają eony przed kolejnym ich spotkaniem, poznałem miłość Roju, w którego języku nie ma słowa ja, nie ma słowa intymność, ale jest pięćdziesiąt słów na określenie miłości.

Potrafię teraz na tysiąc sposobów odczuwać nienawiść, obojętność, wyższość, upokorzenie, egoizm, altruizm. Wymień dowolne z uczuć, a ja widzę je oczami większej liczby ras niż potrafię przeliczyć, oczami gatunków, z których wiele wymarło, zanim jeszcze Ziemia zdążyła ostygnąć. Zbiorowa świadomość krabów jest starsza ponad wszelkie wyobrażenia. To wszystko pozwala mi patrzeć na świat z zupełnie innej perspektywy.

Oczywiście przy okazji załadowano nam w głowy masę rzeczy nieistotnych. Ci, którzy przeszli przez ten proces, czyli dziekan M'Bisa, Pancho, B'oosa, Miko, Alegria i ja, stali się chodzącymi encyklopediami wiedzy bezużytecznej. I tylko niewielkiej ilości użytecznej.

Springworld jest teraz kwitnącym ogrodem. Zawdzięczamy to Alegrii, której nowo nabyta wiedza umożliwiła poskromienie huraganów. B'oosa dostarczył źródeł niewiarygodnie taniej energii. Dziekan M'Bisa bada nowe koncepcje matematyki teoretycznej. Każdy z nas

posiadł tego rodzaju informacje. W większości zostały przekazane do sieci bibliotecznej Confederation i są ogólnie dostępne.

Część wiadomości jednak zatrzymałem. Jestem pewien, że inni także, chociaż nie rozmawiamy o tym ze sobą. Są to sprawy zbyt przerażające lub zbyt osobiste. Często również zbyt niebezpieczne.

- *Carl?*

Uśmiecham się i siadam na ławce.

- Halo, Pancho! Co słychać?

Mimo że jest odległy o całe lata świetlne, mam wrażenie, że siedzi tuż obok mnie. W wyniku zabiegów,

jakim poddały nas kraby, posiadliśmy umiejętność natychmiastowego porozumiewania się. Niezwykle użyteczny

produkt uboczny naszej edukacji!

- *Znowu jestem w ruchu, amigo. Pomyślałem że może chciałbyś o tym wiedzieć.*

- Nie umiesz długo wysiedzieć w jednym miejscu, co?

- *Selva jest zbyt spokojna. Wyruszam z zespołem kontaktowym Confederation na Physome. Chcesz zabrać się z nami?*

Physome. Prześliczna planeta i piękni ludzie. Posługują się żywą materią tak jak my stałą i drewnem, z tym że nie obrabiają jej narzędziami, lecz pieszczotami nakłaniają do przyjmowania żądanych kształtów. Wspaniała rasa do nawiązania kontaktu, możemy się nawzajem wiele od siebie nauczyć. W pewnym sensie my już się nauczyliśmy, jako że jest we mnie cząstka Physome, nierozdzielna tak, jakbym się rodził w srebrzystej pajęczynie jednej z ich chat. Znam ich, lubię ich, kocham ich. Są częścią mnie.

Zastanowiłem się. Jednak nie.

- Przykro mi, Pancho, nie tym razem. Zbliżają się zniwa.

- *Nigdy nie chcesz się ruszyć. Nie wiem, czy jesteś farmerem, czy pustelnikiem?*

- To ziemia moich ojców. Tu tkwią moje korzenie.

- *Twoje korzenie tkwią wszędzie, podobnie jak moje.* - Śmiech.

- To prawda, stary przyjacielu. Ale gdybym próbował dotrzeć do nich wszystkich, zestarzałbym się i posiwiiał, zanim bym naprawdę zaczął. Szczęśliwej podróży i daj mi znać, co znalazłeś.

- *Będziemy w kontakcie. Adios, amigo!*

- Adios.

Pancho miał rację. Bardzo rzadko ruszam się gdziekolwiek. Z jakiegoś powodu silne wrażenia nie pociągają mnie już tak jak dawniej. Jestem jaki jestem. Nie odczuwam już potrzeby udowadniania czegokolwiek komukolwiek. Również sobie. Po zbliżeniu się do tyłu istot, pochodzących z tyłu planet, zyskałem wewnętrzny spokój. Lubię pracować na ziemi mego ojca. Robię to jak dawniej - rękoma, bez pomocy nowoczesnych maszyn, które sam pomogłem skonstruować. Sprawia mi to przyjemność. Tylko coś niezwykle ważnego mogłoby mnie stąd ruszyć.

No i niedługo wraca Alegria ze swoją grupą kontaktową. Może będzie chciała przedyskutować ze mną jeden czy dwa problemy. Nie miałbym nic przeciwko temu. Naprawdę nic.